

# EUGENIUSZ DĘBSKI

Poznań 1997

## Rozdział I

Ostry świergot telefonu wbił się w ciszę. Milt drgnął, słupek ciepłego popiołu złamał się i opadł mu na brodę, a potem, w postaci niewielkiej, sypkiej lawiny, zaproszył kołnierza mundurowej bluzy. Na złość rozmówcy odczekał siedem sygnałów i pokonany przez niezawodny eskalator dźwięku, wcisnął taster odbioru.

- Z przyjemnością słucham - powiedział słodko. - Tu Niclas...

Milt gwałtownie uderzył się pięścią w pierś, następnie -hałasując możliwie mocno - opuścił jedną nogę na płyty patio i tupnął nią dwukrotnie.

- Porucznik Brownell! - zameldował energicznie, zupełnie nie zmieniając pozycji.

- Czy jest ktoś w pobliżu? - pytanie padło dopiero po kilkusekundowej przerwie.

- Nie, panie generale - zaczął sprężyć się.

- No to po co mnie bierzesz na sztorc? Jestem w gabinecie Lettsa. Doskonale stąd widzę twoje nabrzmiałe od piwskiego cielsko rozwalone na hamaku...

Milt zachichotał i pomachał w powietrzu palcem. Ułożył się wygodnie.

- To nie to... - powiedział łagodnie, jakby po raz nie wiadomo który tłumaczył dziecku oczywistą prawdę. - Klatkę piersiową rozsadza mi powietrze. Wiesz, że mam zwyczaj kwitować każde piwo dziękczynnym westchnieniem, a część tego powietrza zawsze zostaje mi w płucach. O!

- Nie boisz się, że kiedyś ulecisz w powietrze niczym balon wypełniony tym dziękczynieniem? - zapytał Niclas Morr i nie czekając na odpowiedź, zmieniwszy ton, zapytał: - Wiesz, że od niedawna mamy nowego prezydenta? Pewnie nie...

- Domyśliłem się tego. Miałem takie przeczucie...

- Zostaw. Przyjeżdża do nas. Więc szybko przyjdź do mnie. I jeszcze... Możesz w ciągu pół godziny zrobić u siebie coś na kształt porządku, Mister Augiasz?

- Nawet o tym nie marz. - Milt zamachem nóg przemieścił się do siadu i od razu wstał. Zgarnął do kieszeni papierośnicę. - Zaraz u ciebie będę - rzucił w stronę telefonu i ruszył na ukos, przez gęstwinę nisko ścielących się flawioli, w stronę wejścia do swojego biura. Sprężynujące łodygi niemal podrzucały mu stopy, i zaraz potem na chwilę wystawiły płaskie talerze pstrych kwiatów ponad dywan innych, a po chwili, jakby zadowolone z przeglądu, opadły niżej, znikając w zwartej gęstwinie płatków, liści i łodyg.

Brownell, nie czekając, aż flegmatyczne drzwi całkowicie zejda mu z drogi, bokiem wsunął się w korytarz i niemal biegiem dopadł swojego służbowego pokoju. Było to jedyne pomieszczenie na terenie bloku DEU, w którym zawsze panował wzorcowy porządek. Z tego pokoju korzystał tylko w ostateczności i zachowywał się wówczas jak malajskie dziewczęta, które tańczą wśród ostrych jak skalpele, wirujących nieustannie szabel, przemieszczał się na palcach, wyginał i kręcił bez przerwy, byle tylko nie zahaczyć o jakiś mebel i nie przesunąć go ani o milimetr; dotykał tylko tych przedmiotów, których musiał, i natychmiast odstawiał je na właściwe miejsce. Dzięki temu mógł swoje biuro w każdej chwili pokazać dowolnej inspekcji. W progu zatrzymał się, obrzucił pomieszczenie uważnym kontrolnym spojrzeniem, kilka razy wciągnął powietrze nosem i, niezadowolony z odczuć, wśliznął się miękko do środka. W szufladzie biurka odnalazł kilka małych słupków z aerożelami i wprawnie nasycił atmosferę słabym zapachem wody kolońskiej, świeżej skóry i nowego lakieru. Klasyczna mieszanka biurowa. Wycofał się za drzwi i choć trąciło to już paranoją, jeszcze raz zlustrował pomieszczenie. Zamknięcie biura wpłynęło na niego radykalnie - energicznie rzucił się do swojej kwatery. Po drodze zdarł z siebie bluzę i odpiął w biegu pas. Obie te rzeczy już od progu płaskim łukiem wystartowały w kąt pokoju, natomiast spodnie poszybowały w innym kierunku. Milt nie dbał o to. Wydarł z

uchwyty w drzwiach szafy nieskazitelnie świeży mundur, rzucił go na podłogę i podszedł do kostki telefonu. Trzema zerami wywołał okólną z priorytetem.

- Dyżurny? Ktoś teraz pracuje?

- Nie, wszystkie stanowiska wolne. Sierżanci Kusley i Federiz są w pogotowiu. Sierżant Seykowitz nieobecny: przepustka. Pozostali na terenie bloku DEU.

- Dziękuję. To, co powiem, dotyczy wszystkich... - Milt westchnął. - Wiele albo nawet wszystko wskazuje na to, że nowy prezydent zechce zaszczyścić nas swoją wizytą. Wobec tego jestem zmuszony przerwać wam niezasłużony odpoczynek i prosić, abyście zrobili, jak powiada generał, coś na kształt porządku w swoich pokojach. Proszę również o przebranie się w jakieś tam resztki mundurów. Jeśli ktoś nie wie, gdzie ma mundur, albo jak taki garnitur wygląda, może się udać do oficera kwater...

- Z tym porządkiem to serio?! - Ostry, wysoki, szczekliwy głos i rozmazane końcówki słów wskazywały na Butterwotha. Miał wymowę człowieka stojącego z wyciągniętą szyją i zadartą do góry brodą. Przerwijąc Miltowi, wyprzedził o kilka sekund pełne oburzenia wrzaski pozostałych sierżantów.

- Cicho! - krzyknął Milt, mocując się z uchwytyami munduru. - Innym razem pobawimy się w dowcipną konwersację. Macie uprzątnąć tylko pokoje, do szafek nikt nie będzie zaglądał. Opuśćcie wam na to godzinę albo mniej, więc... - Brownell zawiesił głos, zamykając dyskusję.

- Myślisz, że ona... - łagodnie odezwał się któryś z Volpertów.

- Ona ma służbę! - przerwał porucznik. - Kto pierwszy skończy, zabierze się do jej pokoju albo ona sama popracuje, słyszysz? Ma być porządek. Koniec.

Plaśnięcie dłoni ucięło jakieś słowa dobiegające jeszcze z głośnika, które dotarły do uszu w postaci szczątkowego jęku. Milt dwoma skokami zdobył łazienkę, pół minuty prysznic i drugie tyle ciepłego powietrza tornado. Niecałe dziesięć minut później nieco nonszalancko, ale w ramach panującego luzu, nic więcej, zameldował się w sekretariacie generała Niclasa Morra. Po pierwszych słowach meldunku sekretarza drzwi do gabinetu otworzyły się i Milt energicznie przekroczył próg - kontaktową szynę.

- Porucznik Brownell melduje się na... - Usłyszał z tyłu sapnięcie pneumoklamki, natychmiast przerwał meldunek, zwiotczał. Dwoma krokami dopadł fotela i usiadł, nie czekając na zezwolenie.

- Robicie ze mnie durnia - westchnął Morr. - Szczegóły są następujące... - przeszedł gładko do sedna. - Nie jest to utajniona wizyta ani specjalna inspekcja, ale też nikt jej wcześniej nie planował. Znaleźliśmy się w tak zwanej delikatnej sytuacji: z jednej strony nie możemy przesadzić w staraniach i wypaść na błysk, bo od dawna już nikt w to nie wierzy, nie powinniśmy również dać pyskiem w błoto. W końcu to armia, co by tam o niej nie myśleć. Jednocześnie... - westchnął znowu i umilkł. Milt odebrał to jako wezwanie do kontynuacji.

- Jednocześnie, ponieważ prezydent ma pod nosem kilkanaście takich jednostek jak nasza, a jednak jedzie tutaj, może to oznaczać, że sumiennie zabiera się do swoich obowiązków i ma zamiar obejrzeć sobie to, co w siłach zbrojnych w ogóle jest warte obejrzenia - czyli nas.

- Jak to ludzie potrafią za pomocą kilku słów nakreślić przeraźliwie szczegółowy obraz, - Morr pokiwał głową.

- Czy to inteligentna osoba? - Milt pominął pochwałę.

- Jasne. Pięć lat praktyki adwokackiej, później prokurator stanowy, dwa lata w kongresie. Błyskawiczna kariera.

- No to nie musimy się podniecać: w razie czego możesz w kilku słowach wyjaśnić specyfikę naszej sytuacji.

- Tu akurat się nie zgadzamy. - Generał uśmiechnął się szeroko. - To ty, gdyby co, wyjaśnisz. Ja zajmę się świtą. Nie ma potrzeby wpuszczać tam za dużo luda.

Brownell zmrużył oczy i poruszył kilka razy żuchwą, jakby rozcierał problem między zębami. Błyskawicznie wymodelował sobie przed oczami sytuację w wersji generała Morra. Skinął głową.

- Dobrze. Rozumiem, że zachowana zostaje procedura z hasłem i tak dalej?

- Oczywiście. Bez hasła...

- Wiem, wiem. Nawet Pan Bóg będzie musiał przypomnieć sobie hasło, jeśli zechce się czegoś ode mnie dowiedzieć.

Milt wstał i strzelił obcasami.

- Kiedy możemy spodziewać się ekscelencji?

- Za godzinę.

- Świetnie. Zdążę jeszcze walnąć piwo i wyczyścić zęby. Zasalutował kciukiem.

Szarpnął się do zwrotu, ale przerwał ten ruch w pierwszej sekundzie wykonania.

- Coś się stało? Niclas?

- Nie wiem... Starość. I jeden z jej symptomów: przecucia.

- Co do starości, to rzeczywiście... - Milt pokiwał głową. - I jeden z jej symptomów, płaski starczy dowcip.

Machnięciem dłoni podkreślił swą wypowiedź i skręcił w kierunku drzwi. Szedł w przekonaniu, że zaraz, już, w tej sekundzie usłyszy drwiący głos generała, doczeka się kwestii rozpoczynającej kolejny malutki pojedynek, pojedyneczek na drwinki, kpinki i subtelne złośliwości, generał Morr milczał jednak. Porucznik Brownell nie pozwolił więc sobie na odwracanie się i jakiegokolwiek dodatkowe uwagi, wyszedł przez otwarte drzwi, przez sekretariat z pozornie zdyscyplinowanym sekretarzem markującym oddawanie honorów, przez krótki korytarz i kilka stopni na rozświetlony południowym słońcem plac. Pobieżna, własnoręcznie wykonana rewizja osobista upewniła go, że papierośnicę zostawił w mieszkaniu, a mina wartownika - delikatny jak mgiełka uśmiezek - zniechęciła do próby pożyczania jakiegokolwiek papierosa. Przywołał kodowym gestem przejeżdżający nie opodał osobowy wózek i po dwóch minutach, zabrawszy po drodze papierośnicę z mieszkania, zjechał bezpośrednio windą do ulokowanej cztery metry pod poziomem gruntu centrali.

Dziesięć z jedenastu foteli ustawionych na połowie linii owalu co czterdzieści sekund testowało swoje obwody, kusząc łagodnym, zielonym światłem. Wystarczyło usiąść i, po podłączeniu się do wzmacniacza, ulecieć duchem w barwną, niepokojącą, niezmierną, straszliwą krainę walki. Wszystkie ścianki na żądanie izolujące fotel od reszty centrali z wyjątkiem jednej były podniesione, wszystkie wzmacniacze ustawione w pozycji CZUWANIE - POSZUKIWANIE. W jedynym zajętej foteli - Day Federiz. Swobodnie rozpostarta, kask zsunięty na tył głowy, lewa ręka zwisa luźno, w prawej wałek stroika, palce wolno, z przerwami, jakby niechętnie przesuwają o pół milimetra potencjometr - również pracowała bez obciążenia. Układ jej ciała bardziej przypominał sielankowe wylegiwanie się nad brzegiem ruczaju; dłoń zakłóca wytyczony przez Naturę nurt strumyka, melancholijne spojrzenie romantycznie utkwione gdzieś w dalekiej przestrzeni. To skojarzenie można zapewne łączyć z pewnym przeświadczeniem, którego Milt nabrał półtora miesiąca temu, mniej więcej w drugiej sekundzie znajomości z Day. Było to mianowicie przekonanie o zdecydowanej wyższości strojów kąpielowych nad jakimikolwiek mundurami.

Zachowując maskę służbowego zainteresowania na twarzy. Brownell podszedł do Simiego Lazy Kusleya, gestem zatrzymując sierżanta w pozycji siedzącej.

- Spokój? - zapytał, jakby mu mało było wzrokowej lustracji.

- Jak w piwnicy - półgłosem odpowiedział Simi. - Albo naprowadzanie śpi... - skrzywił się - ...albo, po prostu, przerywa. Na mój nos: to drugie.

Milt, zajęty rozpalaniem papierosa, zerknął na niego spod brwi. Najpierw zaciągnął się głęboko, jeszcze raz obrzucił spojrzeniem corral i rozpartą na „sedesie” Day.

- W innej sytuacji zwolniłbym was ze służby, ale za godzinę powinni się tu zjawić goście, właściwie jeden. Nieładnie byłoby pokazać mu pustą centralę, właściwie sądę, że jeszcze ktoś będzie musiał tu zejść.

- Jasne. Nie przejmuj się. Zrobimy trochę ruchu.

Simi rozciągnął w pulchnym dzieciennym uśmiechu swoje nabrzmiałe wargi tłuściocha. Właściwie tłuściochem był tylko z twarzy, reszta ciała sprawiała wrażenie o numer za chudej w stosunku do niemal okrągłej twarzy z nadmuchanymi policzkami i małymi radosnymi oczkami, przyjaźnie spoglądającymi na świat. Nawet podczas walki jego spojrzenie zmieniało się tylko o tyle, że pojawiała się w nim niewinne zaciekawienie, na zmianę z zalem, nieodmiennie widocznym po każdym pojedynku, bez względu na wynik. Milt pokiwał głową i nie odpowiedział. Na kilka sekund wyłączył się i wyobraził sobie, że czyjeś - wiadomo czyje! - dłonie ułożą się na jego ramionach, a jej głos, melodyjny, dźwięczny, ale z lekką chrypką (Jasper, obejrawszy ją pierwszego dnia, powiedział: „Ma za dużo powietrza w płucach, stąd ten pogłos”) powie: „Dzień dobry, poruczniku Brownell”. Milt poruszył wargami, omal sam nie powiedział tych słów, ocknął się w porę i rzekł:

- Nie przesadzcie, nie chciałbym, żeby ktoś wpadł w lejek tylko dlatego, że będzie się popisywał przed prezydentem.

- Zrobimy to na zimnych piecach...

- Aha. Tak właśnie to sobie wymarzyłem. - Zaciągnął się dwa razy pod rząd i spróbował puścić kółko. Powietrze, będąc w nieustannym ruchu, w pół sekundy rozprawiło się z jego dymem. - Chyba dodam jeszcze bliźniaków.

- Oni są najbardziej widowiskowi - zgodził się Simi. Milczał chwilę. - Przejmujesz się czymś?

- Właśnie, cholera, sam nie wiem dlaczego. Geni był jakiś dziwny...

Zgasił papierosa i wstał. Mieli jeszcze kwadrans czasu, najbliższą windą wyjechał na poziom mieszkalny, przeszedł korytarzem w kierunku ostatnich drzwi. Po drodze sięgnął do zegaretki i wystukał okólną drzwi zewnętrznych.

- Otwórzcie swoje pokoje, muszę je zobaczyć. Zaczynam od Hala - powiedział, zbliżając zegaretkę do ust.

Z tyłu buchnęła muzyka - ktoś otworzył już drzwi. Milt ominął otwierające się właśnie drugie, do pokoju Butterwotha, i zbliżył się do ostatnich. Otworzyły się dopiero, gdy kilka razy przycisnął płytkę sygnałną. Hal Barnaba ubrany tylko w obcisłe kąpielówki, spocony, z oczami pełnymi rozpaczliwej determinacji, rzucał się w beznadziejnej walce z bałaganem panującym w jego pokoju. Podłogę zakrywała warstwa niekoniecznie brudnej odzieży - mundury, trykoty, szlafrok ogromny jak płachta namiotowa, w niektórych miejscach szmaty wypiętrzały się ku górze - tam mogły czaić się hantle i sztangi Hala, o czym przekonał się kiedyś Milt, pokazując Halowi, jak można stosunkowo szybko, stosunkowo wygodnie, nie wyjmując rąk z kieszeni, uprzątnąć tę kotłowaną. Usztyniający opatrunek zdjęto mu po czterech dniach.

Brownell chwilę przyglądał się z mściwą satysfakcją, jak Hal miota się, potykając o pozornie niewinne koszule, podnosi je i upuszcza z zadziwiającym hukiem, rzucając się w stronę innej rzeczy, która wydaje mu się bardziej niebezpieczna dla wyglądu jego pokoju.

- Za dziesięć minut przebierz się w świeży mundur, to ważniejsze niż pokój. Prędzej dam się odznaczyć, niż wpuszczę prezydenta do tego saloniku.

Zaczął cofać się wzdłuż korytarza. Zatrzymując się w progach kolejnych izb, lustrował je pobieżnie. Sabo i Delf Volpertowie siedzieli uśmiechnięci w pokoju, który

faktycznie zajmowali; nic jego wyglądowni nie można było zarzucić. Milt darował sobie pokój Delfa, który od początku pobytu bliźniaków w jednostce nie był używany. Simi Laza Kusley, siedząc w corralu, zdalnie otworzył swój pokój; był w porządku. Następny, narożny, był pusty. Cztery miesiące temu sprawna brygada oczyszczania wyniosła stamtąd migiem dwie skrzynie pełne rzeczy Kosty Schankara, którego dzień wcześniej inna brygada wyniosła z corralu i zapakowała do błękitnej karetki. Milt skrzył w lewo, zatrzymał się przed drzwiami Day. Albo nie słyszała, albo nie chciała otworzyć swojego pokoju. Milt jeszcze raz uniósł lewą rękę i wystukał na zegaretku kod Day. Musiał odczekać pół minuty, zanim w się końcu zgłosiła. Nie raczyła włączyć wizji.

- Otwórz pokój, Day. Muszę wiedzieć, czy można tam wpuścić kogoś, kto być może ma wypaczone pojęcie o armii.

- Nie lubię mężczyzn w swoim pokoju - usłyszał niedbale rzucone słowa.

- Niech ci się nie wydaje, że rzucę się na twoje rzeczy i będę wdychał ledwo uchwytny aromat ciała.

Postarał się, by intonacja idealnie odpowiadała treści tego wyznania. Z efektu mógł być zadowolony. Day otworzyła drzwi, a ciche pyknięcie zegaretki zasygnalizowało rozłączenie. Brownell od progu obejrzał pokój - niby standardowy koszarowy living, niby można było spodziewać się słabego zapachu kobiecych kosmetyków, niby nic nie kłóciło się z tradycyjnym pojęciem izby żołnierskiej, ale Milt miał ogromną ochotę wejść i dokładnie obejrzyć inne pomieszczenia po to tylko, żeby dłużej tu pobyc. Zapytał samego siebie, kiedy przyjmuje psychiatra i szybko poszedł dalej. Drzwi do mieszkania Jocka Seykowitza ominął z kilku powodów. Po pierwsze dlatego, że Jock znajdował się na przepustce, co zdarzało mu się niezwykle rzadko i Milt nie widział powodu, by akurat wtedy zaglądać mu do pokoju; po drugie - Jock cierpiał na kilkanaście, a może i więcej rodzajów alergii, z tego powodu ograniczał do minimum kontakty z innymi ludźmi. Nie zapraszał nikogo do siebie i niesłuchanie rzadko kogokolwiek odwiedzał. Najchętniej spotykał się z ludźmi na wolnym powietrzu, ustawiał się z wiatrem i pilnował kierunku. Ostatni mieszkaniec bloku, Jasper Butterwoth, stał na korytarzu przy otwartych drzwiach.

- Lepiej nie wchodź do środka - powiedział, gdy Milt zbliżył się do niego. - Zbyt kruchy jest ten ład. - Wskazał dłonią pokój.

Milt podał mu rękę i zerknął przez ramię.

- W porządku - rzucił. - Ten alarm zarządzam na wszelki wypadek. Mamy nadzieję, że w ogóle nikt tu nie wejdzie, a jeśli już, to raczej pokażemy mu centralę, zasymulujemy poważną akcję i szybko wyprowadzimy gościa na powierzchnię. A! Właśnie... - Jeszcze raz uruchomił zegaretkę i wywołał Volpertów. - Zejdźcie za pięć minut do corralu i rozkręćcie tam dużą robotę, jeśli zjawią się goście. Na „zimno”, oczywiście.

Nie czekał na potwierdzenie. Bliźniacy byli solidni.

- Masz dla mnie zadanie? - spytał Jasper.

- Bądź gdzieś w pobliżu, może wysoka komisja zażyczy sobie alarmu albo przyjaznej pogawędki. Oni nie mogą się wyzwolić ze schematów.

Jasper skinął głową i odszedł.

Przez łącznik między pierwszym i drugim patiem Brownell wrócił do części biurowej i rozsiadł się w fotelu przy swoim, ale właściwie obcym biurku. Usunął z blatu wczorajsze wydruki meldunkowe i zażądał nowych, po czym złożył je pod przezroczystą szybą korektora i naniósł kilka podkreśleń. Zadowolony z wyniku ułożył jeszcze na biurku papierośnicę, chcąc złamać nadzwyczajny porządek, i włączył komunikator. Monotonny głos spikera jednostki rozproszył ciszę. Milt ułożył się wygodniej w fotelu, spojrzeniem wycelował w blok monitorów; szesnaście sztuk:

cztery na cztery, dawało podgląd na centralę, oba patia, wszystkie korytarze opasujące sekcję mieszkalną i biuro. W corralu nic się nie zmieniło, Day ciągle niedbale gmerała w eterze, niby szukając przeciwnika, ale - na tyle Milt już ją znał - w gruncie rzeczy pozorowała działanie. Simi wgryzał się w jakieś nuty, poruszał wargami, palce prawej ręki zginały się, jakby przebierał nimi po strunach, co jakiś czas kiwał głową zadowolony, a po chwili zły na siebie wracał o kilkanaście taktów i ponownie „przegrywał” je na sucho.

Sierżant Jasper Butterworth wyszedł na drugie patio i z marszu wskoczył do basenu. Ekran korytarzowe wyglądały, jakby we wszystkich naraz naciśnięto stopklatkę. Cisza i bezruch. Milt zagwizdał głośno. Jeden z monitorów jakby zareagował na ten głos, w ciemnej płaszczyźnie widoczny na ekranie ściany rozjarzył się prostokąt drzwi, wskazując pośrodku ciemną sylwetkę. Milt zaklął, widząc, że to kobieta, i szarpnął do siebie sterownik, w podnieceniu mylił się dwukrotnie, zanim udało mu się wciągnąć obraz twarzy kobiety w ekran jednego z monitorów. Chwilę wpatrywał się w europejskie rysy Murzynki, a potem, gdy ją rozpoznał, gdy dotarło do niego, kto zjawiał się niespodziewanie w bloku, gdy przetrawił tę informację, zerwał się i wyskoczył z biura. Biegiem dotarł do części mieszkalnej. Tu, niewidoczny dla Elli Readlef Trewinkard, podbiegł do rogu, zwolnił i spokojnie wyszedł na prostą.

- Milt! - krzyknęła Ella, widząc go kilkanaście metrów przed sobą i puściła się biegiem w jego kierunku, prawie nie hamując, rzuciła mu się na szyję i uściśnięła mocno.

Milt usłyszał za plecami uderzenie o podłogę małej torebki. Czule poklepał Ellę po plecach i pocałował w szyję tuż pod uchem; pisnęła i przytuliła się mocniej. Delikatnie odsunął ją od siebie i uśmiechnął się, próbując złagodzić pytanie, które musiał zadać:

- Skąd się tu wzięłaś?

- W żargonie wojskowym znaczy to: „Serdecznie witam”, tak? - pulchne wargi rozciągały się w uśmiechu, odsłaniając drobne, oślepiająco białe zęby.

- „Serdecznie witam” w żargonie wojskowym znaczy: „Odpieprzcie się”. Natomiast: „Skąd się tu wzięłaś” znaczy: „Skąd się tu wzięłaś”. Nie dziwisz się chyba, że jestem nieco... hm, zaskoczony...

- Dziwię, ale mniejsza o to. Po prostu... - Ella schyliła się i podniosła swoją torebkę. Milt usiłował ją wyprzedzić, ale nie zdążył. - Jak tylko się dowiedziałam, że tu jesteś, od razu postanowiłam cię odwiedzić. - Wzruszyła ramionami. - Nie widzieliśmy się... Ile? - Zmarszczyła nos. - Dwanaście: Tak, dwanaście lat.

Milt skinął głową i przygryzł wargi. Rzucił spojrzenie za plecy Elli. Obejrzała się.

- Czekasz na kogoś?

- Taak, wiesz co? - Położył rękę na jej ramieniu. - Chodźmy do mnie, będę mógł czuwać nad sytuacją i porozmawiać z tobą. - Pociągnął ją lekko. Wyczuł coś, jakby lekki opór, ale po sekundzie Ella uśmiechnęła się i bez protestów pozwoliła się poprowadzić. - Mamy wizytację - wyjaśnił Milt. - Nic szczególnego, ale armia, jakakolwiek by ona aktualnie była, powinna się jakoś prezentować. - Minęli już prawie cały korytarz. - Poczekasz u mnie w pokoju, to nie powinno potrwać długo, potem urwę się i pojedziemy gdzieś na kolację, dobrze?

- Może... - Ella powiedziała to jakoś dziwnie, figlarnie, jakby się tylko przekomarzała i jednocześnie zastanawiała nad czymś. - To ktoś ważny?

- Jak by ci to powiedzieć... Ważny, sam nowy prezydent... - Jej ramię, czuł to, trzymając ją za łokieć, drgnęło i na pół sekundy zeszywniało. - Jednocześnie, wiesz chyba, co obecnie znaczy armia i co znaczy prezydent. - Wzruszył ramionami i pociągnął ją w prawo, zamierzając przez łącznik wejść do biura.

Ella szarpnęła się w kierunku drzwi na patio z basenem.

- Co tam jest? - zapytała i zanim Milt zdążył ją powstrzymać, uwolniła rękę i wyszła

na patio. - Ho, ho! Nieźle tu macie! - Zatrzymała się w progu i obejrzała przez ramię na zbliżającego się Brownella. - Jesteście jednostka specjalna? - zapytała.

- Jaka tam jednostka specjalna... - Machnął pogardliwie ręką. - Do służby w armii, nawet takiej, jaką jeszcze podobno jest nasza, nie znajdziesz wielu specjalnie chętnych, dlatego musimy stwarzać przynajmniej takie warunki, żeby ktokolwiek zechciał zająć się choćby konserwacją sprzętu. Chodźmy lepiej do...

Ella szybko wyszła na patio i zatrzymała się po przejściu kilku kroków. Rozglądała się po basenie, leżakach, parasolach, palcami prawej dłoni łagodnie przebiegając po kwiatach krzewu aglicji. Milt westchnął i podszedł do niej.

- Ella... - powiedział, kładąc dłoń na jej ramieniu. - Zrozum...

Zza pstrego parawanu wyłonił się Jasper, jakby potknął się, zawahał, zerknął na swoje błyszczące od solenizatora ciało i podjął decyzję. Dziwnym, marszowym niemal krokiem podszedł i wyprężył się. Milt pokręcił z politowaniem głową i otworzył usta. Nie zdążył nic powiedzieć. Trzymał je otwarte jeszcze chwilę.

- Pani prezydent! - wyskandował Jasper. - Sierżant Jasper Butterwoth. Oddział nasłuchu i dekodowania.

Patrzył prosto w oczy Elli, ale Milt, choć oszołomiony do granic możliwości, spostrzegł, że Butterwoth kątem oka widzi jego otwarte usta i wytrzeszczone oczy i z tego zapewne powodu usta wyginają mu się w dziwnym uśmiechu. Zamknął swoje, natychmiast uświadamiając sobie przyczyny dziwnego zachowania generała i cień uśmiechu na jego twarzy przy pożegnaniu. Generał zrozumiał, że Milt nie ma pojęcia, kim jest nowy prezydent i nie chciał psuć sobie widowiska. Kamery znajdowały się również na patio. Milt zawył bezgłośnie.

- Teraz, jeśli pani prezydent pozwoli, chciałbym zaprosić panią do swojego biura. Sierżancie Butterwoth - energicznie, już opanowany, rzucił w kierunku Jaspera - jesteście wolni. Dziękuję. Tędy, pani prezydent...

Wskazał kierunek i wykonał krok do tyłu wraz ze zwrotem w kierunku Elli. Przygryzła wargi i poszła przodem, nie patrząc na niego. Milt pogroził pięścią czerwonemu z wysiłku Jasperowi i ponuro pomaszerował za panią prezydent. Dogonił ją dopiero przed drzwiami biura, smętnie kiwając głową, trzasnął w klamkę i pełnym rezygnacji gestem zaprosił ją do wnętrza. Po wejściu szybko dopadł konsoly i wyłączył cały obwód podglądu, dopiero potem energicznie otworzył oficjalny barek i, nie troszcząc się o czystość tacki, nalał nieco koniaku Elli i cztery razy więcej sobie.

- No, zaklnij, nie przejmuj się mną - powiedziała, gdy podał jej kieliszek. - Widzę, że pękiesz, jeśli sobie nie ulżysz.

Jednym łykiem opróżniła swój kieliszek i przekrzywiła nieco głowę, patrząc radośnie na Milta. Prawie tak samo szybko wypił swój koniak i popatrzył na nią poważnie.

- Gdyby gdzieś w tej jednostce był jakiś czołg, kazałbym wsadzić sobie lufę w tyłek i wystrzelić. Dla pewności ze trzy razy - dodał po chwili milczenia. - Nikt tak jeszcze nie zrobił w plecym Milta Brownella.

- Nikt prócz niego samego nie mógłby tego tak zgrabnie zrobić - uzupełniła Ella i podała mu swój kieliszek. - Na pewno masz ochotę jeszcze się napić...

Milt skinął głową i napełnił oba kieliszki. Usiedli na kanapie. On kręcił w podziwie głową, ona przyglądała mu się z lekkim radosnym uśmiechem.

- Niclas zrozumiał, że nie mam pojęcia, kto wygrał wybory, zresztą sam mu to powiedziałem - ponuro oświadczył Brownell. - Musiał mieć cholerną radochę... Co prawda jeden z moich podwładnych chciał mnie ostrzec, ale myślałem, że ma na myśli naszą koleżankę.

- Nie powiem, generałowi dziwnie skrzyły się oczy, gdy podprowadził mnie pod blok i zabrał asystę gdzieś na pokaz. Spodziewałam się jakiejś niespodzianki, jeśli tak można powiedzieć, ale... - Wzruszyła ramionami.



- Niezły ze mnie dureń! - Milt się roześmiał. - Przecież mam zastrzeżony adres, a ty sama powiedziałaś, że dowiedziałas się, gdzie jestem. Należało mi się, nie?

- Czy ja wiem? Trochę tak. Szczerze mówiąc, poczułam się leciutko urażona, że nie wiesz, w jakiej roli składam ci wizytę. To dla mnie też cenne odkrycie, dotychczas wydawało mi się, że nie jestem próżna.

Stuknęli się kieliszkami i wypili po łyku. Chwilę chichotali.

- Wypijmy, bo się rozleje - zaproponował Milt.

- Zgoda - parsknęła Ella.

Wypili, Milt wyjął papierośnicę i podsunął ją Elli, a gdy pokręciła przecząco głową, zapalił sam.

- Oddział nasłuchu i dekodowania - powiedziała Ella. - Tu wylądowałeś... - Pokręciła w niedowierzaniu głową. - Miałeś raczej skłonności humanistyczne, przynajmniej dwanaście lat temu?

- Niewiele się zmieniło. Nie naprawiam tu przecież komputerów. - Wzruszył ramionami Brownell.

- Milt, przestańmy się wygłupiać. - Ella postawiła na podłodze swój kieliszek i przesunęła się na kanapie, aby siedzieć na wprost porucznika. - Sześć a, cztery be, dwa ce - powiedziała.

- W porządku - westchnął Milt. - Choć łudziłem się, że nie użyjesz hasła.

- To oczywiście że nowy prezydent po otrzymaniu hasła, które ma mu otworzyć oczy na największą tajemnicę państwa, chce to jak najszybciej zobaczyć... O Boże! - Nakryła dłonią usta. - Milt!

- Nie martw się, nie ma tu podsłuchu i jesteśmy akustycznie odizolowani na wszelki możliwy sposób. Nie jestem aż takim gamoniem

- O Boże - powtórzyła - całe szczęście. To ze mnie fujara...

- No to skoro oboje już wiemy, z kim mamy do czynienia - Milt zawiesił na kilka sekund głos, zapalając papierosa - słucham pytań.

- Pytań mam aż za dużo. - Ella również przerwała na chwilę, sięgnęła do torebki i szybko połknęła jakąś drażetkę. - Gdy pełna otuchy i napęczniała z dumy po objęciu gabinetu, w którym nigdy jeszcze gospodarzem nie była kobieta, w dodatku wyraźnie czarnoskóra... - Westchnęła.

- Daj spokój - jęknął Milt. - Ilu znasz wyraźnie białych? Każdy ma jakąś domieszkę innej krwi, to musiało nastąpić i od dawna już nikt nie ma o to do losu pretensji.

- Zgoda, ale tak sobie myślałam. No i wiesz... Jestem realistką, wiem czym jest urząd prezydenta, to nie to samo co sto lat temu. Po serii wielkich układów antywojennych i rozbrojeniowych stał się on funkcją niemal wyłącznie reprezentacyjną.

Mówiła spokojnie, Milt nie mógł, choć czujnie słuchał, dopatrzeć się w jej wypowiedzi żalu czy pretensji do losu, że tak zdeprecjonował stanowisko najważniejszej osoby w państwie. Mimo to, odruchowo, powiedział:

- Ella, nie przesadzaj..

- Poczekaj, muszę się wygadać. - Powstrzymała go, nakrywając jego dłoń swoją. - Komu mam się wyplakać, jak nie byłemu kochankowi?

Milt uniósł brwi i zrobił minę: „No cóż, skoro tak mówisz...”

- Po prostu chcę cię wprowadzić w moje odczucia poprzedzające... Skoro nie wiedziałeś, kim jest nowy prezydent - nawiasem mówiąc, to znakomicie potwierdza moje przekonanie o randze tego urzędu - to pewnie nie wiesz i tego, że poprzedni, precedens w naszej historii, zrzekł się swojego stanowiska z niewiadomych powodów. Nawet najdociekliwsi dziennikarze nie mogli niczego sensownego dostarczyć obywatelom. Tylko kilka osób wiedziało, ja się dowiedziałam po objęciu urzędu, Sam Deveraux, żegnając się ze swym gabinetem, powiedział mi, dlaczego to zrobił. Teraz to już nie jest ważne, był po prostu chory, zostało mu najwyżej pół roku normalnego

życia, potem najprawdopodobniej krótkie szaleństwo zakończone śmiercią w męczarniach. Tydzień potem odbył samodzielny lot zakończony „nieudanym lądowaniem”. On sam najgoręcej namawiał mnie do wzięcia udziału w wyborach nadzwyczajnych. Nie było zbyt wielu kandydatów, to też symptomatyczne. Wygrałam. Wtedy Sam zaprosił mnie na kieliszek i bez świadków wprowadził w, jak to nazwał, jedyną rzecz, dla której warto się postarać o mądrego prezydenta. Domyślasz się, że chodzi o „Topsy”, czyli o tych kilka jednostek, kilkadziesiąt osób prowadzących, wbrew wszelkim traktatom, najbardziej utajnioną, najbardziej problematyczną wojnę. Mam rację?

- Tak...

- Spędziłam noc nad raportami... Daj mi papierosa. - Trzęsącymi się palcami nieomal łamiąc, wydostała go z papierośnicy. Nawet nie zauważyła, że jest samozapłonowy, czekała, aż Milt poda jej ogień, dopiero gdy wskazał palcem dymiący czubek, podziękowała ruchem głowy i nerwowo zapaliła papierosa. Zaciągnęła się bez wprawy i bez przyjemności. Milt postanowił dać jej czas na opanowanie się, wstał i przyniósł dwie szklaneczki napełnione do połowy ostrą mieszanką spirytusu i dużej ilości cepsu. Ella opanowała się nieco, umoczyła wargi w alkoholu i starannie je oblizała. Odetchnęła głęboko.

- Posiadłam makabryczną tajemnicę, omal nie oszalałam. Miotalam się po mieszkaniu, wywołując panikę kilku osób, musiałam skorzystać z seansu hipnozy. Byłam taka roztrzęsiona, że nawet nie skojarzyłam znanego mi nazwiska z twoją osobą. Dopiero po dwóch dniach coś sobie przypomniałam, przejrzałam jeszcze raz tę nieszczęsną dokumentację, zorientowałam się, że jedną z ośmiu osób całkowicie wprowadzonych w sprawę o kryptonimie „Topsy” jest pułkownik Milt Brownell, pełniący obowiązki porucznika w pewnej peryferyjnej bazie. Już nieco spokojniejsza odczekałam dla przyzwoitości dwa tygodnie i jestem.

- Ale nie rozumiem, czego ode mnie chcesz, Elli. Wiesz tyle co i ja, może więcej.

- Nie żartuj! - przerwała. - Po pierwsze, część raportów była zaszyfrowana, więc tylko pobieżnie je przejrzałam, po drugie, chciałabym po prostu porozmawiać z kimś zorientowanym...

Zaczęli mówić szybciej, przerywając sobie nawzajem, on wyraźnie usiłował uniknąć rozmowy, ona - przełamać jego opór.

- Jest jeszcze jedna osoba...

- Wolę ciebie!

- Pani prezydent, pozwoli pani...

- Zamknij się!

Na chwilę zapanowała cisza, unikali patrzenia na siebie, potem jednocześnie zaczęli:

Ella: - Przepraszam...

Milt: - Zrozum, taka rozmowa musi doprowadzić do jakichś podsumowań, rezolucji, może decyzji, a ja nie chcę brać w tym udziału. Zafunduj sobie ekspertów, możesz mieć ich na kopy. Zwołaj referendum albo w końcu podejmij jakąś decyzję sama. Ja mogę być wykonawcą, jestem nim i zostanę, ale nie chcę mieć najmniejszego wpływu na losy programu „Topsy”. Tego nie możesz ode mnie żądać.

- Ale możesz porozmawiać prywatnie? Wyobraź sobie, że sprawa jest powszechnie znana i rozmawiamy o tym jak tysiące czy miliony innych ludzi, komentujemy posunięcia rządu. Jak wtedy, gdy zapadały decyzje o wojnach czy traktatach rozbrojeniowych. Możesz?

Milt wstał i przespacerował się po pokoju, obchodząc wokół biurko, zrobił przystanek przy barku, ale nie wyciągnął ręki. Splótł ręce na karku i westchnął głęboko. Kilka sekund przyglądał się martwym monitorom. Odwrócił się do Elli.

- Od czego zaczniemy? - zapytał.

- Streść mi genezę „Topsy”, w popularnej, jak to się mówi, formie. Będzie mi łatwiej zatrzymać się na decydujących momentach.

- Krótko. Osiem lat temu pewna grupa uczonych zajmowała się problemem telepatii: nowoczesny sprzęt, najzdolniejsi espowie, czyli telepaci, i tak dalej. Wzmacniali emisję, doszli do pewnych wyników... Podczas jednego z seansów niejaka Koetsveld, Jane Koetsveld poczuła się gorzej, zamilkła, straciła kontakt z otoczeniem; z jej zachowania, właściwie z EEG i innych danych, można było sądzić, że walczy z czymś lub kimś. Trwało to niecałe trzy minuty, szybko zemdląła. Po godzinie udało się doprowadzić ją do przytomności, ale nic nie pamiętała. Nic, prócz bólu i strachu. Pod hipnozą wyciągnięto z niej pewne rzeczy. Twierdziła, że spotkała podczas transmisji inną, cudzą transmisję, i że ten drugi człowiek usiłował ją zabić. Zabrali się do niej lekarze, przerwano na jakiś czas prace nad telepatią, natomiast sprawdzono, czy ktoś jeszcze pracował w tej dziedzinie. Delikatnie zasięgnięto opinii zagranicznych ośrodków. Nic. W tym czasie nikt niczego nie nadawał i nie odbierał. Przyjęto założenie, że to prawda, namówiono Koetsveld do ponownej pracy. Odbyła cztery seanse, trzy normalne, podczas czwartego stało się to samo co wcześniej: biedaczka zeszywniała, zaczęła się dusić, jęknęła. Błyskawicznie wyłączono piece, czyli wzmacniacze, ale już było za późno. Katalepsja, katatonია... W skrócie rzecz ujmując pełne wyczyszczenie mózgu. Ktoś - Coś wysssało jej umysł, inteligencję, pamięć, doświadczenie... Zostało ciało ledwo radzące sobie z podstawowymi czynnościami, nawet odżywianie sprawiało trudności. Dwa miesiące później umarła. Przez ten czas i wiele miesięcy potem trwała wyteżona praca wąskiego grona specjalistów z różnych dziedzin, której jedynym wynikiem było sformułowanie kilku hipotez, przy czym jedna wyprzedzała o kilka długości inne - nieznany przeciwnik posiada aparaturę i zespół ludzi zdolnych do telepatycznego pokonywania innego człowieka o określonych parametrach, założono, że telepatycznych. Logiczne wydały się w tej sytuacji inne założenia: jeśli dzisiaj przeciwnik może wyłapywać telepatów, jutro dopadnie zwykłych ludzi, być może będzie mógł nawet wybierać. Przy takim założeniu, a nie było powodu uważać je za zbyt ponure, sprawa stała się makabrycznie poważna. Nietrudno sobie wyobrazić, jak przeciwnik paraliżuje nasz kraj. Najpierw sięga po ludzi ze szczytu piramidy władzy, potem eliminuje jej środek, aż w końcu zajmuje całe państwo, zamieszkane przez bezwonną masę, pozbawioną jakichkolwiek przywódców.

Podczas swojego wykładu Brownell ani razu nie spojrzął w stronę Eili Trewinkard, uciekał spojrzeniem na ściany, barek, przyciemnione okna. W miarę upływu czasu wyłączał się, zapominał o słuchaczce, mówił sam do siebie, przewijał taśmę wspomnień.

- W tej fazie, przy tych założeniach, sformułowanych w obecności kilku osób, nastąpiło całkowite utajnienie badań. Od tej chwili o całości miało pojęcie pięć osób, w tym ówczesny prezydent. Ta piątka musiała podjąć decyzję co do dalszych działań. Mieli kilka możliwości - ogłosić światu, że staliśmy się celem espataku, oskarżyć resztę współmieszkańców globu i liczyć na to, że zawstydzony przeciwnik zaniecha dalszych działań, a może nawet się przyzna i tego rodzaju badania zostaną zakazane. Druga możliwość - rozwinięcie własnych esbronii. Inne warianty właściwie były pochodnymi dwu pierwszych. Obie możliwości miały swoje wady i zalety. W pierwszym wariantcie bylibyśmy czyści, ale bez cienia pewności, że przeciwnik okaże się szlachetnym rycerzem, który spieczę raczka przyłapany na gorącym uczynku i obieca poprawę. Nie można było przy tym liczyć na pomoc reszty świata: przecież wszyscy byli spętani, na pozór mocno, traktatami i nikomu nie wolno było rozwijać jakichkolwiek broni.

- W traktatach nie było mowy o tym rodzaju walki - powiedziała Ella, korzystając z przerwy w monologu Milta.

- No to co? Kraj, który atakował inne, nieważne za pomocą jakiej broni, dawał świadectwo swojej złej woli i musiał stać się obiektem potępienia reszty świata. W drugim wariantcie my dołączyliśmy do naszego przeciwnika, brudziłyśmy nasze ręczki i musieliśmy zamknąć pyszczki na kłódkę. Tak. Sprawa, w gruncie rzeczy, sprowadzała się do wybrania jednej z tych dwu możliwości. Oczywiście! Uruchomiliśmy wywiad, ale też nie mogliśmy tego zrobić tak, jak byśmy chcieli. Wzmoczona działalność naszych agentów prędzej czy później musiałaby doprowadzić do wzmoczenia czujności i naszego agresora, i innych państw. No i jeszcze dochodziły do tego wszystkiego wątpliwości typu: czy to w ogóle był atak, bo nie można było na tym etapie wykluczyć błędu w aparaturze czy czegoś jeszcze innego, co też nie było takie głupie - czy był to atak z Ziemi? Literatura SF dawno już wymodelowała kilkaset wariantów ataku pozaziemskiego na nasz glob. Nie było przesłanek do wykluczenia takiej możliwości. Jeśli subtelnie zaatakowały nas jakieś trzynożne flądry z Aldebarana, popełniliśmy błąd, nie dzieląc się tym odkryciem z resztą Ziemi. Podsumowując, mieliśmy do wyboru: raz - narazić Ziemię na okupację lub eksterminację, dwa - narazić na okupację swój kraj, trzy - wyjść na potężnych durni i, na dobrą sprawę, przyznać się, że prowadzimy badania w dziedzinach ocierających się o strefy zakazane. Na pozór to trzecie było złem najmniejszym, ale tylko na pozór. Zdradzalibyśmy wrogowi, ziemskiemu czy niezemskiemu, że wiemy o jego ataku, ale nic nie mielibyśmy do obrony. Przyjęto więc następujący plan. Po pierwsze, przygotować odpowiednik takiej broni i zespoły ludzi, naszych espów; po drugie, wyjaśnić naturę tego zjawiska i za pomocą wywiadu wytropić, kto bawi się w teleagresję, i po trzecie, delikatnie wzmóc zainteresowanie kosmosem i możliwością niebezpiecznych wizyt z tej strony, głównie za pomocą mass mediów. I tak już zostało, punkt pierwszy doczekał się realizacji - powstały takie jednostki jak moja, punkt drugi do dziś nie został zrealizowany, co dodaje wagi wariantowi pozaziemskiemu. Punkt trzeci, sama wiesz...

Milt zeskoczył z biurka i usiadł na kanapie, bliżej swojego kieliszka, z czego od razu skorzystał. Ella milczała chwilę, papieros zgasł jej w palcach.

- Straszna sytuacja - powiedziała. - Nie tylko nie można było wybrać najlepszego wariantu, nie mogli wybrać nawet najmniejszego zła.

- To dotyczy również ciebie - powiedział wolno Milt. - To wszystko jest aktualne do dziś. Właściwie nic się nie zmieniło.

- Nie bardzo. Przecież stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że jednak ktoś nas atakuje...

- To szczegół, Elli. Drobiazg. To, że mamy tę pewność, że mamy własnych espów walczących z wrogimi espami, niczego nie zmienia. Nadal nie wiemy, kto nas atakuje, może to być nawet nasz odwieczny sojusznik, podobnie jak my wystraszony i niemal bezradny wobec sytuacji.

- A ten pierwszy atak?

- Pierwszy mógł być przypadkowy. - Machnął dłonią z pustym kieliszkiem. Odstawił go na stolik. - A po naszych odpowiedziach nie mieli wyboru. Teraz, bez pewnych kroków towarzyszących, żadna ze stron nie może się wycofać. Poza tym... Kiedyś rozważano jeszcze inne możliwości wyjaśnienia, na przykład, że to wyłącznie nasi telepaci walczą ze sobą; choć to brzmi idiotycznie i zostało w dużej części wykluczone, nie jest do końca odrzucone. Być może żyje wśród nas kilka osób, które bez żadnych nadajników i pieców, być może nawet same o tym nie wiedząc, na przykład we śnie lub w jakimś rodzaju transu, atakują rządowych espów i są przez nich atakowane. Nie udało się dotychczas racjonalnie zanegować tej możliwości. Co tam jeszcze? - Zmarszczył brwi i myślał kilka sekund. - Aha! Ktoś zapytał, czy nie mogą to być po prostu, podkreślam: po prostu dusze zmarłych, być może z czyśćca. Dusze pętające się po eterze i zmagające się z myślami telepatów, które w jakiś sposób są im

nieprzyjemne. Niby to głupie, ale musimy najpierw przyjąć w ciemno serię religijno-filozoficznych dogmatów, żeby tę hipotezę ewentualnie odrzucić. W tej gmatwaninie wszystko jest dla ciebie jasne?

- W każdym razie dużo jaśniejsze niż po przeczytaniu suchych raportów.

- No to się cieszę. I mam nadzieję, że decyzję, jakakolwiek by ona była, podejmiesz po dogłębnym przeczytaniu całości materiałów. Być może niepotrzebnie akcentowałem brak wyjścia z tej sytuacji, ale nie chciałem ci niczego nawet nieświadomie podpowiadać. Wykonam, co postanowisz.

- A jeśli nic nie postanowię? - Natychmiast zrozumiała, że palnęła głupstwo i zarumieniła się ze złości.

- To też będzie decyzja, przecież rozumiesz to. Chcesz jeszcze łyeczek? Może piwa? Ja niestety nie mogę. Po mieszance piwa z koniakiem albo kawą nie mogę się odczepić od pisuaru.

- Nie, dziękuję.

Ella wstała i przeszła się po pokoju, niemal krok po kroku odtwarzając trasę Milta sprzed kilku chwil. Skorzystała ze ślepych oczu monitorów, by prawie nieświadomym gestem zanurzyć palce dłoni we włosach nad prawym uchem i ułożyć je nieco inaczej. Patrzyła przez chwilę przez spolaryzowane w tej chwili jednostronnie szyby.

- Powiedz mi coś o samej walce. O tym nie ma ani słowa w materiałach, jakie odziedziczyłam po Samie. I swoich ludziach.

- O walce? Cóż...

- Poczekaj. A ty? Ty też walczysz? - przerwała na samym początku wypowiedź Milta.

- Tak. Nieco przypadkowo okazało się, że jestem espem. Zresztą nie-esp nie byłby najlepszym dowódcą tego oddziału. Co nie znaczy, że jestem dobrym...

- Więc jak wygląda taka walka?

- Nie bardzo można to opisać... Nie jesteś pierwsza, która chce to usłyszeć. Sam dla siebie próbowałem to zrobić. Można tego dokonać dwojako: po prostu opisowo, sięgając do pewnych analogii, porównawczo, i to mogę zrobić, albo relacjonując tak, jak się ją czuje, ale to jest dużo trudniejsze. Każdy z nas przeszedł specjalny kurs personifikacji, to bardzo ułatwia robotę, jeśli można sobie jakoś wyobrazić przeciwnika i każdy robi to na swój, czasem bardzo osobisty sposób. Mam kilka takich opisów, nie spodziewaj się po nich wiele, ale mogę ci je dać.

- Nie bardzo rozumiem?

- No... Jedni wyobrażają sobie, że są rycerzami walczącymi ze smokiem, inni, że tępą siekierą ścinają twarde drzewo, jeszcze inni angażują się w jakieś wymyślne rodzaje gier matematycznych, logicznych, biorą udział w wyścigu samochodowym lub biegu maratońskim. Wariantów jest tyle, ilu espów. Znałem takiego, co po prostu rysował koła bez użycia cyrkla.

- I co?

- Jeśli narysował koło, to wygrał, bo ten drugi, przeciwnik, przez cały czas kołysał mu stołem.

- I to jest trudne, Milt?

- Raczej tak. Wyobraź sobie, że jesteś w absolutnie ciemnym, olbrzymim pokoju. Nie wiesz, gdzie są ściany, ale wiesz, że w podłodze jest cała masa dziur różnej wielkości. Wiesz, że wyjdiesz z pokoju, dopiero gdy pokonasz przeciwnika. Masz w rękę ostrą szablę, ale nie wiesz jak jest długa i czy nie pęknie od pierwszego ciosu. To są założenia, tak esp podłącza się do pieca. Zaczyna ostrożnie przesuwając się po pomieszczeniu, delikatnie stawiając stopy, bezgłośnie, bardzo ostrożnie. Niektóre dziury są zasłonięte niepewnymi pokrywami. Szuka przeciwnika, węszy, nasłuchuje, wodzi szablą. Wie, że tamten robi to samo. Czasem przeciwnika nie ma, czasem trafia

na ścianę, trzymając się jej jedną ręką, chodzi i chodzi. Czasem słyszy świst ostrza tuż przed twarzą, wtedy sam uderza. Niekiedy zderza się z przeciwnikiem, obaj rzucają szable i tarzają się po podłodze, dusząc się i starając strącić wroga do jednej z dziur bez dna... Tak to wygląda.

- Przecież to okropne, Milt. Po co nam to? Jak można tak męczyć ludzi? - Ella oparła się plecami o ścianę obok okna, oddychała szybko, płytko, w głosie pojawiła się chrypka.

- To są ochotnicy. - Wzruszył ramionami Brownell.

- Ochotnicy?! Przecież trzeba być pomylnym.

- To są dewianci - wyraźnie wyskandował Milt. - Nie ma wątpliwości. Chcą tego z różnych powodów, albo wyzwalają się z kompleksów, albo kochają walkę, albo... - Wzruszył ramionami.

- A ty?

- ...albo czują się odpowiedzialni za losy swojego kraju czy Ziemi - dokończył swą wypowiedź, pomijając milczeniem jej pytanie.

- Niewiele z tego rozumiem. - Odbiła się od ściany i podeszła do rozwalonego na kanapie Brownella. - Opowiedz mi jeszcze o swoich ludziach.

- Cóż... Tacy jak we wszystkich czterech jednostkach. Najczęściej w jakiś sposób niedostosowani do społeczeństwa, bez wiary w możliwość normalnego życia, zawiedzeni, rozczarowani.

- To ogólniki.

- No... Na przykład jest tu facet, który zbierał piwo, w ciągu czterech lat zebrał prawie trzydzieści siedem tysięcy gatunków piwa z całego świata. Jak już zebrał, to odechciało mu się robić cokolwiek innego. Albo co byś powiedziała o gościu, który ni z tego ni z owego napisał powieść uznaną za powieść dziesięciolecia, zażył sławy i pieniędzy, co tak dało mu w kość, że próbował pobić rekord świata w skoku samochodem do oceanu. Jest też taki, który postanowił przespać się z żonami wszystkich swoich znajomych i przyjaciół, a dokonawszy tego poczuł, że nie ma już znajomych i przyjaciół, zwłaszcza, że zaprosił ich wszystkich na party i ogłosił zakończenie tego wewnętrznego konkursu z wynikiem pozytywnym. Wystarczy?

Po raz pierwszy od piętnastu minut Ella Readlef Trewinkard uśmiechnęła się. Pokiwała głową i parsknęła cicho.

- Nic rewelacyjnego. Klasyczne życiorysy ludzi, którzy znudzili się życiem.

- To jest skrócony życiorys jednego człowieka - uzupełnił charakterystykę Milt. Nie dodał, że ten człowiek był założycielem i naczelnym redaktorem gazety drukującej wyłącznie dobre wiadomości. Ella mogła wiedzieć, że to on powołał do życia „Only Good News”.

Pani prezydent otworzyła usta, poruszyła nimi, ale nie znalazła odpowiednich słów. Patrzyła uważnie na Milta, oczekując dalszych wyjaśnień, jakby liczyła na to, że Milt mrugnie nagle i powie: Żartowałem. Ale on milczał, zaciągając się ponuro papierosem. Słupek żaru wydłużył się nadmiernie, psując smak papierosa.

- Mam tu również faceta, który jest totalnym alergikiem. Nie ma chyba rzeczy, na którą nie byłby uczulony. Nie może żyć w normalnym społeczeństwie, a w zamkniętych grupach dusi się z bezczynności. Tu znalazł cel życia: może coś robić, być pożyteczny, udowodnić sobie i światu, że za wcześniej skreślono go z listy żywych. Jest też młoda dziewczyna. Niedawno tu przyszła. Panicznie boi się śmierci.

- I dlatego codziennie ryzykuje życie? Nie rozumiem.

- W ten sposób wydaje się jej, że panuje nad własnym życiem, steruje nim, żegluje po Styksie, nie godząc się z rolą pasażerki na łodzi Charona.

- Boże... - Ella ujęła swoją twarz w dłonie stykające się nadgarstkami. - Co za... - urwała.

- Panoptikum? - podpowiedział Milt. - Tak... Może. Są jeszcze bliźniacy, do niedawna wzięci tekściarze. Homoseksualizm i kazirodztwo. Walczą zawsze razem, wspomagają się, łączą jakoś tam w eterze - nawiasem mówiąc, innym to się nie udaje - i czerpią z tego niewątpliwą satysfakcję. Pobudki może i niskie, ale rezultat szlachetny. Jest też namiętny hazardzista znudzony ruletką, kartami, wyścigami koni, psów, pcheł, dżdżownic, slalomami nietoperzy i tak dalej. Została mu rosyjska ruletka albo nasze seanse. W ten sposób... - zaciągnął się i ze smakiem, wolno wypuścił dym z płuc - ...opisałem ci prawie wszystkich tu obecnych. Osiem osób. Zupełnie podobnie jest w innych oddziałach. Wyłapujemy espów podczas badań u psychologów, o ile tam się zgłoszą albo za pomocą kilkudziesięciu tysięcy przemyślnie zamaskowanych czujników esppola, rozmieszczonych w miejscach potencjalnie sprzyjających wyzwaniu emocji: stadionach, szpitalach, cmentarzach, salach koncertowych, torach wyścigowych, kasynach i tym podobnych.

Prawie minutę w pokoju trwała cisza, potem pisnął sygnał i na ekranie pojawił się standardowy południowy meldunek. Głowica kopiarki odcumowała z pomostu postojowego i bezszelestnie przeleciała nad nieruchomą płaszczyzną folii.

- Mam jeszcze jedno pytanie. - Ella odchrząknęła i nabrała powietrza w płuca.

- Jeśli chcesz zapytać, co w moim życiorysie skłoniło mnie do podjęcia tej roboty... - Milt oczekiwał tego pytania - ... to daj sobie spokój. Możesz dowiedzieć się tego w każdej chwili, ale nie ode mnie. Jestem bardzo zadowolony z tego, że tu nie ma moich znajomych, przyjaciół. Że nie muszę odbywać szczerych rozmów, rozwiązywać czyichś problemów, rozumiesz? Ślizgam się po powierzchni życia, nic nie mówiąc, albo mówię o niczym. Niczym się nie przejmuję, myślę kiedy chcę, nie myślę, gdy nie mam na to ochoty. Mamy bardzo dużo swobody, to jasne - esp to bardzo delikatny mechanizm, nie wolno go niczym denerwować, walczymy, kiedy chcemy, ogłasza się alarmy, na które nikt nie reaguje, wolno nam wszystko, z wyjątkiem mówienia o naszej pracy. Z obcymi, rzecz jasna. - Wyciągnął w jej kierunku rękę i pokazał zegaretkę. - Widzisz? Niby zwykła zegaretką: telefon, micressor i cała reszta. I mikroinjektor z porcją usypiacza-paralizatora, gdyby któryś z nas zaczął gadać głupstwa o jakiś fantastycznych walkach w eterze, espach i innych bzdurach.

- Najemnicy...

- Dobrowolni. Ochotnicy. Nie wiesz, jak to fajnie robić co trzeba, w taki sposób, w jaki się chce. I nic więcej! To komfort nie do osiągnięcia poza oddziałami espów.

- Nie rozumiem... Nie wierzę.

- Nie dziwię się.

- A mogłabym zobaczyć, jak to się odbywa? Skoro już tu jestem.

Milt podniósł się i uśmiechnął zadowolony, że wreszcie uwalnia się od trudnej rozmowy na rzecz prostej demonstracji. Podał rękę Elli.

- Chodźmy do centrali, może akurat będzie się coś działo - powiedział i podszedł do biurka. Kilka ruchów palcami przywróciło łączność ze światem, a jeden z nich świetlnym sygnałem odezwał się w centrali. - Jedna prośba: nie używaj wzniosłych słów i nie dziw się wulgarnemu słownictwu. Oni są nieco przesądni, nie mówią: walka, atak, zwycięstwo, mówią: seans, kop, na zwycięstwo nie ma w ogóle określenia. O tym się nie mówi.

- Dlaczego?

- Przecież jeśli ktoś z nas wygra, to tam ktoś przegrał. Możesz... - był wyraźnie zły, ale dokończył: - Możesz sprawdzić w swoim raporcie. Przeciętna działalność wynosi osiem miesięcy. To oczywiście bzdura. Przeciętną zaniżają nowicjusze wykluczeni z działań po pierwszej walce. Ale i tak dobry esp utrzymuje się tylko około dwóch lat.

- A potem?

Milt zacisnął wargi i dłuższą chwilę patrzył na Ellę. Potem, widząc, że otwiera usta,

zamierzając się wycofać z pytania, szybko powiedział:

- Wymóżdzenie. Idziemy.

Gdy Ella wstała, ruszył pierwszy do ściany szafek, drzwi jednej z nich otworzył, wskazał gestem walec windy i zaraz potem, przypomniawszy sobie coś, skoczył do biurka i szybko wystukał jakiś kod na klawiaturze. Zanim Ella weszła do kabiny i odwróciła się, zdążył już zakończyć manipulację i szedł do niej. Cylinder windy sapnął z ulgą i ruszył w dół.

- Musimy być realistami, panie generale. - Senator Lindeman jakby nadał tytuł swojej wypowiedzi; zrobił przerwę niby na rozpalenie cygara, w rzeczywistości, tak przynajmniej podejrzewał Niclas Morr, dał czas swoim rozmówcom na przygotowanie się do wysłuchania ważkich słów. Lindeman nigdy nie mówił: wygłaszał kwestie, ferował wyroki, wydawał opinie. Jeśli już otworzył usta, jeśli zdecydował się coś powiedzieć, to mówił, smakując własne słowa jak cukierki, odwijając je, napawał się widokiem, wdychał aromat, niemal cmokał z zachwytem, prawie słychać było mlaskanie. - Zbrojenia, cokolwiek by o tym mówić, nakręcały koniunkturę, to raz. - Uniósł do góry cygaro trzymane jak packa na muchy. - Korzystali na tym wszyscy: przemysłowcy, pracownicy, naukowcy, kraj i konsumenci. Prędzej czy później nowości trafiały na rynek, jak na przykład teflon, mikrokomputery, silniki elektryczne, koncentraty spożywcze, nie mówiąc już o całej masie półfabrykatów. I dwa - wysunął do przodu mały palec - trzymały w kupie naród. Wiadomo było: ta strefa, ten kraj jest ci obcy, siedź, chłopie, między swoimi, tu wiesz, co jest grane, tu znasz ludzi i siebie znają. Zrób coś, żebyśmy nie byli gorsi, żebyśmy nie przegrywali, żebyśmy byli najlepsi. Więż społeczna, honor, ojczyzna... - wyrecytował, prawie dzieląc słowa na głoski. - Teraz? Przemysł nastawiony na pokojowe wytwarzanie to błędne koło. Cóż nam może dać? Jak długo można powiększać ekrany telewizorów? Jak długo jeszcze będzie modna stereowizja? Co potem?

- Teleportacja - zaproponował generał. Sięgnął do tacki z kieliszkami i podał jeden ministrowi skarbu, Dudleyowi, a drugi, w nadziei, że to zamknie na chwilę jego usta, Lindemanowi.

- Nawet jeśli... - Terence Lindeman płynnym ruchem podniósł kieliszek do warg i łyknął. Nie zajęło mu to tyle czasu, aby Morr czy Dudley zdążyli się wtrącić i przerwać mu perorę. - Nawet jeśli, powiadam, to co dalej? - kontynuował senator. - To samo co i teraz, może na nieco wyższym poziomie - jeszcze krótszy dzień roboczy, jeszcze więcej możliwości rozrywki. I koniec!

- Jako zawodowy wojskowy powinienem panu przyklasnąć - wpadł mu w słowo Morr, zaczął szybko i od razu zwolnił w obawie, że Lindeman zorientuje się, jak bardzo chciał mu przerwać. - Ale produkcja coraz to lepszego sprzętu i oddawanie go na przemiał co jakiś czas również nie bardzo ma sens i gdy odpowiedni ludzie zrozumieją, że to nie ma sensu, wtedy wybucha konflikt. Tu ma pan rację: zbrojenia stymulują gospodarkę, a związana z nimi filozofia jednoczy naród. Tylko po co? Żeby po wojnie kilkadziesiąt albo kilkaset lat wylizywać się z ran, uzbroić się i znowu pomachać maczugami czy laserami?

- Zakłada pan, że przegramy. - Lindeman uśmiechnął się z pewną wyższością.

- A jeśli wygramy, to jeszcze gorzej - wtrącił się niespodziewanie Dudley. - Wtedy dochodzimy, prędzej czy później, do degrengolady, jaką nam pan tu przed chwilą opisał.

Lindeman powiększył nieco swój uśmiech, milczał jakieś pięć sekund, wymyślał nowy tytuł albo szukał w kieszeniach cukierków. Morr szybko wstał i podszedł do biurka. Miał nadzieję dotrzeć doń, zanim Lindeman zacznie mówić i dobre



wychowanie każe mu poczekać na koniec jego oracji.

- Czy pani prezydent zakończyła już wizytę w oddziale nasłuchu i dekodowania? - rzucił w przestrzeń nad biurkiem.

- Obecnie kapitan Bigerstaff pokazuje pani prezydent nasz klub - zameldował odpowiednio poinformowany sekretarz.

- Dziękuję. Proszę mi dać znać, kiedy skończy. Chcemy do niej dołączyć - powiedział Morr. Wiedział już, że pani prezydent zdecydowała się na uważne wniknięcie w sprawy bloku DEU. Musiał jeszcze jakiś czas słuchać Lindemana. Uśmiechnął się do gości, rozkładając ręce - wyjaśnił w ten sposób, że pani prezydent jest osobą dociekliwą i trzeba się z tym pogodzić, panowie.

- Nie tak dawno temu było jeszcze co oglądać w jednostkach wojskowych. Zwiedzanie klubu oznaczało koniec wizyty. - Lindeman, mówiąc to, jakby nabierał jednocześnie powietrza do dalszych tyrad. - Teraz też. Ale to nie to samo.

Morr obiecał sobie, że zaraz po wyjeździe gości zaprosi Brownella i upije go piwem. I sam spróbuje choć raz zrobić to samo. Bez względu na grożący potem najcięższy gatunek kaca. Uśmiechnął się z ubolewaniem do Lindemana i wsłuchał w szelest papierka od cukierków.

W czasie kilku sekund jazdy na poziom centrali Milt zdołał się nieco opanować, nie na tyle jednak, aby mógł z całkowitym spokojem przyjąć obecny wygląd centrum walki espów. Gdy tylko drzwi windy zostały wchłonięte przez ściany, zamarł wraz z Ellą na progu. Corral jarzył się kaskadą różnokolorowych świateł niczym dzieło szurniętego scenografa filmu SF. Fotel Jocka, osłonięty szczelnymi ścianami, które pulsowały falowo przebiegającymi pasmami karminowej czerwieni, był najspokojniejszym punktem centrali. Pozostałe fotele, pięć zajętych i sześć wolnych, intensywnością barw mogły ściąć z nóg nawet daltonistę. Milt, patrząc ponad ramieniem skamieniałej Elli, zrozumiał, że wolne fotele mają zwarte obwody testowe i dlatego bezgłośnie wrzeszczą światłami. Zajęte fotele Day Federiz, braci Volpertów, Simi Kusleya i - czego Milt się nie spodziewał - Jaspera Butterwotha, miały uruchomioną większość zakresów i wszystkie możliwe, choć w każdym z foteli nieco inne, zestawy pomocnicze - nagrywanie, koncentracja, selektory, PT-xery, liftingi, decolizery i co tylko tam jeszcze było. Spora część tych peryferii była chyba po raz pierwszy w użyciu. Radośnie wirowały wskaźniki poboru mocy. Z całą pewnością powodowały drżenie palców anonimowego kontrolera czuwającego nad wykresem konsumpcji energii. Całości obrazu dopełniali sami espowie. Bliźniacy, niczym do perfekcji dostrojone humaszyny, wykonywali identyczne gesty: co do sekundy dostrojone ruchy prawych dłoni, w których trzymali pałki stroików, lewymi jednocześnie sięgali do kolejnych wyłączników, uruchamiając i wyłączając zimne peryferie. Bezcześnie przy tym słuchali muzyki z jedyne go rzeczywiście podłączonego urządzenia - odtwarzacza bilonowego. Day pólleżała w swoim fotelu z zamkniętymi oczami, przygryzając dolną wargę; but z prawej nogi leżał obok fotela, a stopa spazmatycznie naciskała jeden z trzech pedałów regulatora temperatury w fotelu, bezustannie ustalając ją na wcześniej już zaprogramowaną. Wyglądała jednak tak, jakby odpalała kolejne rakiety w przeciwnika, który już zaciskał palce na jej szyi. Kusley wybrał spokojniejszy wariant, być może chciał zrównoważyć szaleństwo kolegów. W napięciu wpatrywał się w centralny ekran przed swoim fotelem i, używając trzech palców, intensywnie malował barwne plamy na sensorowym ekranie leżącym na kolanach!

Brownell odetchnął cicho i lekko dotknął ramienia Elli.

- Tak to wygląda - szepnęła, marząc o możliwie szybkim wyprowadzeniu pani prezydent z jaskini wariactwa. - Niczym nie różni się od zwykłego gniazda kompów. Chodźmy...

W tej samej chwili Jasper pochylił się w kierunku swojej płyty i uroczystym

trzaśnięciem w wyłącznik przerwał „walkę”. Chwilę siedział nieruchomo z twarzą w dłoniach, przez szparę między palcami - Milt widział to wyraźnie i cierpła na nim skóra - obserwował w wygaszonym ekranie centralnym parę przy windzie. Potem westchnął i szybkim ruchem wstał z fotela. W pół obrotu „zobaczył” panią prezydent i porucznika, kilka sekund stał bez ruchu, jakby przypomniał sobie, gdzie jest, i nagle, otrząsnąwszy się, ruszył w ich kierunku. Milt, za plecami Elli, podniósł do góry pięść i pogroził Jasperowi.

Tamten jednak nie zareagował na ostrzeżenie. Uśmiechając się coraz bardziej, stanął przed nimi i powiedział:

- Tu właśnie pracujemy, pani prezydent!

- Nie chcę wam przeszkadzać - nabożnym szeptem powiedziała Ella Readlef Trewinkard.

- Ależ oni i tak nic nie widzą i nic nie słyszą. - Machnął niedbale ręką Butterwoth. Unikał wściekłego spojrzenia Milta i jego coraz wyrazistszych min. - Czy pozwoli pani, że krótko wyjaśnię, co tu się dzieje? - Zręcznie, półobrotom odsunął się z drogi Elli i nie czekając na jej zgodę, zaczął wylewać z siebie strumień informacji. - No więc... na tych właśnie sedesach odbywamy swoje seanse. Przed każdym z nas, jak pani prezydent widzi, znajdują się cztery pyski, niektórzy nazywają je bardachami, można na nich obserwować przebieg seansu, ale najczęściej marzną - nie lubimy, gdy ktoś obcy nas „podgląda”. Tu akurat ma pani okazję zerknąć na pysk sierżanta Kusleya. - Wskazał ekran przed Simim. - Zazwyczaj posługują się nim lebiody, łysi wolą na zimno, to mimo wszystko dekoncentruje. Mamy w dłoniach banany. - Niedbałym gestem wziął Ellę pod ramię i podprowadził do fotela Day. - Falujemy za ich pomocą, grzebiemy w szambie właśnie za pomocą bananów i pieców, a gdy uda się nam wymacać wrespa, kopujemy. Różnie bywa... - westchnął teatralnie, ale z wycuciem. - Czasem trafi się spaghetti i wtedy po jakimś czasie albo wresp albo my zaczynamy się sypać, albo on łapie kóregoś z nas w choundoun albo my jego, czasem trzeba zrobić plecy, czasem zjeżdżamy z górki. Zdarza się i pochwica. Cóż...

- Pani prezydent... - sapnął Milt.

- Proszę poczekać, poruczniku. - Ella uniosła dłoń nie patrząc na Milta. - To szalenie interesujące. Nie rozumiem tylko jednego... Piec... To wzmacniacz? - zapytała nieśmiało.

- Tak, oczywiście. - Poważnie skinął głową Jasper. Brownell zauważył, że Sabo i Delf wyłączyli muzykę

I przełączyli się na nagłośnienie zewnętrzne, zresztą na wszystkich pulpitych cienka fioletowa kreska pulsowała w rytmie słów Jaspera.

- Metody, jakimi posługujemy się w czasie seansów, są bardzo różne, sprawa indywidualna. Jedni wolą klin, inni walec. Day najbardziej lubi szczypanki, a Simi - zawroty.

Są tacy, co zmieniają metody walki. Prawie wszyscy mają opanowanych kilka, a są i tacy, co trzymają się jednej. Usiłowaliśmy kilka razy zrobić mszę - wrzucił ramionami - ale jak dotychczas to się nie udaje. Oni - wskazał ruchem głowy Volpertów - pracują razem, ale nie potrafią wyjaśnić, jak to robią. Może to specyfika ich charakterów. - Pochylił się w kierunku pani prezydent i szepnął na całą centralę: - To pedały, pani prezydent. - Wytrzeszczył oczy i pokiwał głową dla wzmocnienia efektu.

Milt odchrząknął i zdecydowanie włączył się do rozmowy.

- Dziękuję wam, sierżancie. Bardzo szczegółowo wprowadziliście panią prezydent w temat. Dziękuję! - powtórzył z wyraźnym naciskiem, nie kryjąc tego.

Jasper oddał honory pochYLENIEM głowy i sztywno odmaszerował do stolika z fotelami przy ścianie z szeregiem wind. Zanim oddalił się na odległość wykluczającą nasłuch, Ella wyszeptała naiwnie:

- Jaka szkoda, że nie mogę powiedzieć tym dzielnym ludziom czegoś krzepiącego. Oni są tak dzielni, tak wspaniali... - Wzniosła się na wyżyny subtelnej kpiny. - Zaiste, nigdy jeszcze tak niewielu nie czyniło tak wiele dla tak wielu! - powiedziała głośniej, tak by wszyscy ją usłyszeli.

Porucznik Milt Brownell odsunął się od niej na pół metra i przyjrzał kpiąco. Potem pociągnął nosem i powiedział:

- No dobrze. Pobawiliśmy się trochę, ale już wystarczy. Przyjemności należy sobie dozować, bo mogą się skończyć. Chodźcie tu wszyscy, moi wy dzielni espowie.

Po chwili cała piątka zgrupowała się półkolem przed Ellą.

- Wszyscy poza mną mają stopień sierżantów, więc będę je opuszczał w trakcie prezentacji - wyjaśnił Milt. - Day Federiz...

Day zrobiła dwa kroki i uściśniła dłoń pani prezydent.

- Simi Laza Kusley... - uścisk dłoni.

- Jasper Butterwoth...

- Delf Volpert albo Sabo Volpert, niestety, nie odróżniam ich, ale powinni się ustawić alfabetycznie...

- Zgadza się: ja jestem Delf. - Łagodnie uśmiechnięty pierwszy z bliźniaków płynnie zbliżył się do Elli i uściśnił jej dłoń. Jego brat wykonał identyczny gest.

- Nieobecni są jeszcze dwaj członkowie naszej ekipy - Jock Seykowitz i Hal Barnaba. To jego fotel - Milt wskazał palcem zasłonięty ściankami sedes Jocka. - Może to i lepiej - dość dziwnie wygląda z tymi swoimi filtrami w nozdrzach, ale to wspaniały esp. No i to wszyscy. Oczywiście wam nie muszę przedstawiać pani p rezydent Elli Readlef Trewinkard.

- Ja... - Jasper udawał speszonego. - Przepraszam za swoje wygłupy. Inspekcje zdarzają się nam tak rzadko, właściwie za mojej pamięci nie było ani jednej, że nie mogliśmy sobie odmówić przyjemności... Wątpliwej, rzecz jasna... Przepraszam.

- Robił pan to znakomicie, naprawdę. Wcale nie jestem obrażona, zwłaszcza, że dość szybko się zorientowałam. Ale chciałabym, żeby w ramach rewanżu przetłumaczył pan teraz wszystko, co było powiedziane, na ludzki język. Co to jest piec, już wiem.

- No więc... - Jasper otworzył usta i spojrzał w sufit, przypominając sobie swoją wypowiedź. - W tych właśnie fotelach odbywamy swoje walki. Przed każdym z nas znajdują się cztery ekrany, na których można obserwować przebieg walki, ale zwykle są wyłączone. Posługują się nimi najczęściej nowicjusze, wygi wolą nie włączać ich, bo to dekoncentruje. W dłoniach trzymamy stroiki, szukamy za ich pomocą fali, wyciszamy szumy w eterze właśnie za pomocą pieców - wstawił umyślnie określenie wzmacniacza - i stroików, a gdy uda nam się znaleźć przeciwnika, atakujemy. Walka może być długa i wtedy, po jakimś czasie, któryś z nas zaczyna tracić siły albo wpada w sieć, albo musi się bronić, czasem wygrywamy. Zdarzają się paty. No i jeszcze o metodach: klin to ostre gwałtowne uderzenie wtedy, gdy uda nam się namierzyć wrespa, wrogiego espa, wcześniej niż on nas. Walec z kolei to płaskie szerokie natarcie, jeśli przeciwnik wydaje się być słabszy od nas. Day najbardziej lubi niespodziewane ciosy, do tego trzeba udawać, że się jest słabym, a gdy przeciwnik radośnie uderza, należy zasypać go całą masą uderzeń i liczyć na jego dezorientację. Zawroty to seria zmyłkowych wycofań i uderzeń, a msza - seans grupowy. Teoretycznie powinno to wzmocnić nasze ataki... - dodał wyjaśnienie - ...ale na razie nie udaje się tego osiągnąć. Tamtym zresztą też.

Kilka sekund trwała cisza. Ella przebiegła spojrzeniem twarze całej szóstki.

- Rozumiem, dlaczego posługujecie się slangiem - powiedziała. Jej głos kontrastował z atmosferą, jaka jeszcze minutę temu panowała w centrali. - W trakcie twojego tłumaczenia przechodziły mnie ciarki po plecach, zupełnie inaczej niż gdy

słuchałam tego w pierwszej wersji. - Popatrzyła na Milta i choć wiedziała, że najchętniej zabrałby już ją stąd, dodała: - Nie będę wam dziękować, nie będę was podnosić na duchu... Nie jestem idiotką. Chciałabym tylko zapytać was... Jestem niby wprowadzona w szczegóły „Tipsy”... Ale wciąż nie mam odpowiedzi na najważniejsze pytanie: czy to ma sens? Co robić dalej? Może wy - jesteście przecież ludźmi o szczególnie subtelnej psychice i wyczuciu, nazywają was motylami bojowymi, macie rozwiniętą intuicję, przecież rozumiem, że cała walka polega na intuicji - może wy macie jakieś odczucia, może trzeba na tym właśnie się oprzeć? Nie na wyrachowaniu, kalkulacji... - patrzyła na Day, ale esp milczała.

- Trafiła pani w sedno, ale niestety nie znamy odpowiedzi na pani pytania - odezwał się Simi. - Sami zastanawiamy się nad tym, ale o ile wiem, nikt nie może sformułować nawet cienia odpowiedzi. Nie ma żadnych przesłanek przemawiających za zmianą bądź utrzymaniem status quo. Po prostu jest, jak jest. - Kusley rozłożył ręce i złożył je modlitewnym gestem. Chciał coś jeszcze dodać, ale nie zdążył. Delikatnie, mgliście pisnął hunter. Temperatura w centrali w ułamku sekundy spadła o kilka stopni, przynajmniej dla szóstki espów. Ella natychmiast zorientowała się, że coś się stało i zaraz potem zroszczyła co.

- No to do zobaczenia. - Uśmiechnęła się swobodnie i pierwsza ruszyła w kierunku windy.

Milt odczekał sekundę, gdy zobaczył, że Day z martwiejącą twarzą i zaciśniętymi wargami odrywa stopy od podłogi i sztywno maszeruje w kierunku swojego fotela, kilkoma krokami dogonił panią prezydent tuż przed oczekującą ich kabiną.

W biurze Ella Readlef Trewinkard wyciągnęła dłoń do Milta. Popatrzył na nią zdziwiony, widząc, że nie chodzi jej o pożegnanie. Ella pokiwała z politowaniem głową:

- Mówiłeś, że możesz mi dać impresje swoich espów. Schowałeś je nawet do kieszeni, gdy wsiadałam do windy. - A kiedy speszony Milt wygrzebał mnemonetę, dodała: - Co najmniej trzy razy zostałam tu dzisiaj znieważona. Odkuję się, gdy przyjdiesz do mnie - mówiąc to, nie uśmiechała się już.

Brownell zrozumiał, że to zapowiedź zaproszenia do pani prezydent. Podał mnemonetę i, podczas gdy zajęta była pakowaniem zapisu do torebki, objął ją i pocałował w szyję, tuż pod uchem. Nie odskoczyła, nie oderwała się od niego, ale jej sztywność zinterpretował, jak było mu wygodniej. Zrobił krok do tyłu.

- Ostatnia impresja wyraźnie odbiega od innych - powiedział, wskazując brodą torebkę z mnemonetą. - To moje dzieło. Nie spodziewaj się cudu, to tylko jeden z wariantów opisu walki, więc nie dorabiaj do niego ideologii. Generał Morr znalazł w tym opowiadaniu aluzję do mocy piekielnych zaplątanych w naszą wojnę. Bzdura. Chciałem tylko być oryginalny.

Ella skinęła głową.

- Do zobaczenia, Milt. Proszę mnie nie odprowadzać, poruczniku. Ma pan chyba ważniejsze sprawy na głowie. - Na ułamek sekundy położyła mu dłoń na ramieniu i szybko wyszła.

Brownell powiadomił sekretarza generała Morra, że należy wysłać wózek po panią prezydent i ze zdziwieniem, które szybko minęło, wysłuchał polecenia zwierzchnika. Porucznik Brownell miał o siedemnastej zjawić się u generała w celu odbycia narady nad awansami dla swoich podkomendnych. Milt zamówił na piątą trzy kartony ciężkiego, czternastoprocentowego Portnoya i obserwując Ellę na ekranach swoich monitorów, wypił duszkiem półlitrową Puskę Special, Especial, jak je nazywał na własny użytek, i z zapalonym papierosem wszedł do windy.

## Rozdział II

Już podczas pierwszej wizyty w barze „Plus” Jasper, który przypadkowo odkrył ten lokal na przedmieściach Monahoo, zapytał właściciela, dlaczego bar tak właśnie się nazywa.

- Zrozumie pan, regulując rachunek - uprzejmie odpowiedział właściciel barman.

Miał zawsze straszliwie zaplamione spodnie i wyraz zaferowania na twarzy; jego małżonka, dla odmiany, uśmiechała się na okrągło. Rachunki rzeczywiście były słone, ale mimo to Jasper namiętnie polecał wszystkim ten bar. Podczas pierwszego pobytu odkrył specjalność knajpy - gin z dwoma ziarnkami żółtego pieprzu przegryzany twardą jak kość zapiekanką. Nazywało się to sahoj i roztarte między zębami, splukane odrobiną ginu wprawiało smakoszy w ekstazę. Swego czasu Jasper, namiętny hazardzista, wygrał niezliczoną ilość kolejek, ponieważ wszyscy przyznawali po degustacji, że niczego równie dobrego w życiu nie kosztowali.

Simi Kusley upił odrobinę ze swojej szklaneczki i westchnął.

- Słuchaj, Simi... - Jasper popatrzył z zalem na swoje puste naczynie.

- Nie zakładam się - flegmatycznie rzucił Kusley.

- Przecież nawet nie wiesz o co.

- Powiedziałem... - Simi gestem uciął dyskusję i nagle poderwał głowę i chytrze zmrużył oczy. - Mogę się ostatecznie założyć... - powiedział wolno.

- No?! Może...

- Mogę się założyć o nie wiem co, że się z tobą o nic nie założę. Przez rok.

Butterwoth wydał wargi i pokręcił głową we wszystkie strony. Z boku wyglądało to, jakby ktoś podciął mu wszystkie mięśnie utrzymujące głowę w normalnej pozycji.

- A po cholere mi taki zakład?

- Lepszy ten niż żaden - spokojnie mruknął Kusley, z wysiłkiem odgryzając kawałek sahoj.

- Nie, ten nie. Ale każdy inny - zapewnił podniecony Jasper. - Zgadzam się na wszystkie inne!

- Dobrze! - Simiemu rozbłyły oczy. - Jeśli przegrasz, to do końca życia odczepisz się ode mnie z zakładami i będziesz tu zawsze siedział cicho. Jeśli wygrasz, zalejesz się dzisiaj na mój koszt. No?

- Zgoda - szybko zapewnił Butterwoth.

- No to zakładam się, że nie zapytasz szefa, dlaczego ma zawsze poplamione spodnie... - dzieląc słowa na sylaby, powiedział Kusley.

- Zdurrniałeś?!

Simi odgryzł kawałek boskiej deseczki i zabrał się do miażdżenia jej zębami.

- Wyobraź sobie, że on... - Jasper gorączkowo przebierał w powietrzu palcami. - Wyobraź sobie, na przykład, że on, widząc jakąś ładną klientkę, biegnie do piwniczki i zajmuje się rękodziełem. Ty wiesz, co on mi w takim wypadku zrobi? Pozbawi mnie placka i jestem załatwiony! Nie potrafię już pić ginu bez tego suchara!

- Rzeczywiście jest to dobre - zgodził się Simi.

- Słuchaj, każ mi sprawdzić, jakie majtki ma jego żona. Dobrze? - Butterwoth był niemal bliski płaczu. - Dogonię panią prezydent i powiem jej, że jest...

- Albo... plama... albo... cisza - Simi oddzielał poszczególne słowa dwusekundowymi przerwami, w których energicznie żuł zapiekankę.

Jasper potarł dłonie, jakby mu zgrabiały, i osuszył chusteczką pot z czoła. Potem, rzuciwszy spojrzenie, które mogłoby spalić dzielnicę, odetchnął głęboko jak przed skokiem do przerębla i niedbałym krokiem podszedł do baru.

Dwie godziny później, gdy Simi Laza Kusley dumny ze swego wyczynu, przymulony sześciora zapiekankami, wolno, starannie prowadził niewielkiego

godarda w stronę jednostki, Jasper Butterwoth usiłował go złapać za włosy na karku i potrząsnąć, aby do Simiego wyraźniej dotarło to, co miał mu do powiedzenia. Niełatwo było go zrozumieć, ale ponieważ powtarzał swoją kwestię od półtorej godziny, Simi wiedział, o co chodzi Butterwothowi.

- Ma córeczki, r-rozumie... szcz? Takie dwie małe dzidzie... malutkie... wszystko mają malutkie... rączki... nóżki... Wszystko... Cip... Maluśkie buzie, takie malusieńkie... I... i... i jak on je karmi... R-rozumiesz... ty bydlaku... Im się wylewa... z tych buzzz... - Jasper niespodziewanie się rozplakał. - Leć... - zaszlochał - ...ci mu na spodnie. Na wszystkie spodnie! - ryknął rozpaczliwie. - Plamię temu wspa... wspa... niałemu człowiekowi... On jest bozia... Ty! Ty mu więcej nie wylewaj, kapujesz?

Hal Barnaba, który niepotrzebnie, jak się okazało, uprzątnął swój pokój i daremnie oczekiwał inspekcji, dowiedziawszy się, że przyjemność poznania swego prezydenta i oglądania dwóch kapitalnych scen ominęła go, odprężył się i zabrał jak co wieczór do zrzucania zbędnych warstw tłuszczu. Po kilkunastu minutach słodka woń potu wypełniła pokój, ponieważ Hal zawsze blokował klimatyzację. Odgłos opuszczonych na podłogę hantli i głośne piski mierników mimo znakomitej izolacji docierały do pokoju Sabo. Gospodarz siedział na podłodze, trzymając głowę brata na jednym udzie, a płaską klawiaturę pisaka na drugim. Delf leżał z zamkniętymi oczami. Co jakiś czas Sabo czytał kilka napisanych słów i w zależności od oceny brata poprawiał coś lub zapisywał w pamięci. W swoim pokoju Day siedziała w kucki na łóżku, ugniatając palce od chwili zakończenia swojej drugiej prawdziwej walki. Zapisywała je jako zwycięstwo; w rzeczywistości Day Federiz, jako jedyny dotychczas esp, opanowała sztukę uciekania przeciwnikowi i w obu pojedynkach skorzystała z tej umiejętności. Po raz tysięczny zastanawiała się, jak powiedzieć o tym Brownellowi, jak się przemóc i walczyć do końca, jak rzucić to wszystko... Jak żyć...

Generał Morr kończył trzecią puszkę piwa z miną człowieka, któremu już jest wszystko jedno. Milt Brownell rugał go za tę minę i odgrażał się, że ostatni raz dał się skusić na takie tępe, ciężkie, ponure upijanie się z facetem, który w gruncie rzeczy... Och, nie ma o czym mówić. Pomiedzy tym wszystkim wyczuwało się niemal skrzydła toczących wojnę bojowych motyli.

Trwała wokół nich niewidzialna, niesłyszalna, niewypowiedziana.

Zegaretką rozjazgotała się, gdy Milt leciał głową w dół z wieżyczki do basenu, nie zdążył nawet zakląć w duchu, przebił wyprostowanymi palcami tafłę wody, uderzył głową, najszybciej jak potrafił przekreślił się w wodzie i wypłynął na powierzchnię.

- Rzuć mi telefon! - krzyknął do Hala rozwalonego na dwóch matach leżących na płytkach, którymi otoczony był basen.

- Brownell... - parsknął do ociekającej wodą słuchawki.

- W drodze do budynku DEU znajduje się kapitan Screwbury - zatrajkotał Merkel, sekretarz generała Morra.

- A co to ma...

- Dużo ma. To wasz nowy dowódca - przerwał Merkel. - Właśnie przedstawił swoje dokumenty... Nie ma wątpliwości. - Niemal widoczne wzruszenie ramion.

- Daj mi generała! Pośpiesz się, człowieku!

Milt zdążył dopaść drabinki i wyskoczył na brzeg. Rzykując upadek na śliskich płytkach, biegiem dopadł suszarki i niemal wgniół przycisk w obudowę. Tarmoszony mocnymi uderzeniami strug suchego powietrza, ze słuchawką przy uchu, uniesionymi łokciami tańczył wokół własnej osi, usiłując przyspieszyć proces wysychania. Gestami

drugiej ręki ponaglał Barnabę, który długimi susami pędził w jego kierunku z ubraniem zwierznika w dłoniach.

- Właśnie o to chodzi, poruczniku... Generała nie ma. Wyjechał na trzy dni.

- Możesz wstrzymać tę nominację?

- W żadnym wypadku. Generał nie zostawił nikomu żadnych instrukcji na tę okoliczność. Ten Screwbury już jest pańskim dowódcą.

- Dobrze. Dziękuję za ostrzeżenie.

Brownell rzucił słuchawką o trawiasty dywan. Rozczochrany, purpurowy z wściekłości wyglądał tak niezwykle, że Hal, nie oczekując żadnych dyspozycji, wbił się kilkoma ruchami w swoje szorty i luźną bluzkę.

- Co się stało? - zapytał, doganiając Milta tuż przed drzwiami do części mieszkalnej.

- Lepiej nie pytaj - mruknął Brownell. - Mamy nowego dowódcę. - Podniósł zegaretkę do ust i powiedział wyraźnie: - Alarmowa zbiórka w mojej kwaterze. Obecność obowiązkowa i najpóźniej za minutę!

Nie zwalnając, spojrzął z ukosa na Hala, przy największej porcji najlepszej woli z umundurowania można było znaleźć na Barnabie jedynie zegaretkę, ale nie było już czasu na maskowanie.

- Będzie, co musi być - powiedział zrezygowany.

Był dziwnie przekonany o wadze wydarzenia, o którym go przed kilkoma chwilami poinformowano. Formalnie Brownell, oficjalnie porucznik, w rzeczywistości pułkownik, mógł zażądać natychmiastowego ujawnienia swojego prawdziwego stopnia i w ten sposób uchronić eszespół przed nowym dowódcą i jednocześnie pogrzebać program „Topsy” oraz doprowadzić do międzynarodowego skandalu z niedającymi się przewidzieć skutkami. Traktaty pokojowe w ramach gwarancji zapewniały dostęp do całości dokumentacji i nagły przeskok porucznika Brownella do pułkownika Brownella musiałby być wykryty przez specjalne programy szperające. Dalej wszystko potoczyłoby się już z udziałem ludzi. Z drugiej strony, samo pojawienie się kapitana świadczyło o tym, że gdzieś w precyzyjnym planie zrobiła się dziura - kapitan z całą pewnością nie mógł być osobą nieświadomą swoich nowych obowiązków i to było niebezpieczne, dużo bardziej niebezpieczne, niż gdyby znalazł się tu przypadkiem jakiś zwykły łącznościowiec, tego dałoby się unieszkodliwić stosunkowo łatwo.

- Zobaczmy - dodał bardziej dziarskim tonem. Dziesięć sekund później do livingu Milta bez pukania wpadł Jasper, zaraz za nim Day, wyprzedzająca bliźniaków o grubość ubrania. Simi przybiegł przedostatni, tuż za nim wszedł niski, drobny Seykowitz z twarzą pokrytą nieusuwalnymi już alergicznymi plamami, z małymi filtrami w nozdrzach i zaciśniętymi ustami.

- Mamy mało czasu, więc krótko. Jest nowy dowódca. Idzie podobno do nas jakiś kapitan Screwbury. Żadnych pytań i protestów. - Wysuniętym do przodu podbródkiem i gestem dłoni z wyprężonymi palcami uciszył tych podwładnych, którzy robili głębokie oddechy przed zabraniem głosu. - Nie ma w tej chwili Morra, nic nie da się zrobić. Musimy wytrzymać z nim kilka dni, zresztą niewykluczone, że nie będzie najgorszy. Bardzo was proszę - bez protestów, demonstracji, ostentacji, dobrze? Niech tylko wróci Morr, to wszystko się wyjaśni. No... Rozchodzimy się i zachowujemy normalnie. Wy jesteście w pogotowiu? - zapytał Volpertów.

Skinęli jednocześnie głowami i popatrzyli na siebie.

- Dobrze. Dziękuję wszystkim... - nie wytrzymał i dodał: - Postarajcie się zachowywać tak, jakbyście byli w wojsku, dobrze?

- Bardzo śmieszne - prychnęła Day i pierwsza wyskoczyła z pokoju. Po niej bardziej lub mniej energicznie opuściła mieszkanie Milta reszta oddziału, gospodarz zapalił papierosa i poczekał chwilę. Usiłował zebrać myśli, naszkicować jakąś taktykę działania, przewidzieć kroki dowódcy, bo jakieś na pewno będą, ale zbyt był

zaskoczony rozwojem wypadków. Rzucił spojrzenie na odbicie w lustrze i szybko pomaszerował do swojego biura. Zdążył skalać nieskazitelny dotychczas porządek, wprowadził kilka elementów nieładu, nadał pomieszczeniu cechy użytkowania i gdy zastanawiał się co jeszcze trzeba przestawić, aby uzyskać najlepszy efekt, czujnik ruchu z korytarza wypełnił pokój niepotrzebnie głośnym terkotem. Kapitan Screwbury zbliżał się energicznym krokiem do drzwi biura Milta. Porucznik zdecydował, że nie będzie udawał zapracowania, podszedł do drzwi i otworzył je. Precyzyjny krok, wykształcone, wypracowane ruchy, szczupła, czujna twarz zbliżającego się oficera spowodowały, że chłodny dreszczyk przemknął po plecach Milta i zaginał gdzieś na granicy włosów na karku. W osobie kapitana Screwbury'ego wkroczyła do budynku DEU stara, dobra armia. Niczego bardziej Milt Brownell się nie obawiał.

- Mam swoje zdanie o tej wojnie - obwieścił kapitan Tomas Screwbury. - Pół roku dosłownie walczyłem o każdy strzęp informacji, zdobywałem je i układałem mozolnie w całość. - Zerknął na Milta, jakby oczekiwał pochwały podwładnego, Brownell milczał. Od kilku minut nie wtrącał się do monologu kapitana, słuchał i koncentrował się na utrzymaniu na twarzy wyrazu uprzejmego zainteresowania.

- Sądzę, że wiem, dlaczego ciągle nie możemy przejść do jakiejś użytecznej z naszego punktu widzenia ofensywy. Mam pewność, że się nie mylę. Potrzeba mi pół roku, poruczniku. A co do pana... - Tomas Screwbury energicznie zgasił papierosa i płasko położył dłonie na blacie biurka Brownella. - Wiem mniej więcej, co pan czuje...

Milt pomyślał, że kapitan jest człowiekiem o dużej wiedzy. W ciągu dziesięciu minut pochwalił się przed porucznikiem swą pewnością przynajmniej co do czterech spraw.

- Był pan faktycznym dowódcą jednostki, może pan mieć pretensje do komputera kadrowego, że wykrył ten etat, nawiasem mówiąc dziwne, że dopiero teraz, ale to szczegół. Mimo wszystko mam nadzieję, że nasza współpraca ułoży się znakomicie. W końcu wspólnym celem jest walka i zwycięstwo, prawda?

- Co do tego nie ma wątpliwości - w swoim przekonaniu właściwie zareagował Milt. - Mam jednak jedno pytanie, proszę się nie obrażać, odpowiedź jest ważna dla nas wszystkich. Chodzi mi o to, jak pan osiągnął dostęp do materiałów, przecież to wszystko jest ściśle tajne, musimy się zastanowić, czy w systemie blokady nie ma jakiejś dziury...?

- Nie sądzą, poruczniku. Jak panu wiadomo, co jakiś czas komputer kadrowy uruchamia program szperający, który ma za zadanie wyszukać wszelkie odstępstwa od normy. Wykrył wolny etat, nie wiadomo, dlaczego przegapiony wcześniej, znalazł odpowiedniego człowieka i po wyrażeniu przeze mnie zgody udzielił mi priorytetu. Nie ma dziury. - Rozłożył ręce i uśmiechnął się sympatycznie. - Na szczęście...

- Rzeczywiście, to wszystko tłumaczy. - Pułkownik Brownell uśmiechnął się szeroko. To zdanie nie mogło zabrzmieć w uszach kapitana jak rzucone przez zaciśnięte zęby. Idiotyczne zaniedbanie, chociaż nawet nie: programy szperające były szczególnie wrażliwe na próby grzebania w nich, komputery na całym świecie natychmiast wrzeszczały, zawiadamiając wszystkich o nieusankcjonowaniu ingerencji. Trzeba było raczej awansować Brownella... Nie, za krótko był porucznikiem. Ten sam szperacz natychmiast zdradziłby kontrolującym go ludziom, że stwierdził nieprawidłowość w funkcjonowaniu tabeli awansów. A ludzie ci, z kolei, byli szczególnie uczuleni na przyczyny takich drobnych nieprawidłowości, mogących być mizernym przejawem dużych spraw. Tak właśnie byłoby w tym wypadku. Nie było winnych. - Ma pan, jak sądzą, jakiś plan działania? Odstępuję, rzecz jasna, ten gabinet, z ulgą, mówiąc szczerze. - To wyznanie rzeczywiście było szczerze, ale tylko to.

- Dziękuję. Nie mamy tu jakiejś sali odpraw, prawda? -I zanim Milt zdążył chociażby skinąć głową, Screwbury popisał się szczegółową znajomością całości spraw jednostki. Po dwusekundowym zaznajomieniu się z pulpitem na swoim, już swoim, biurku,



włączył okólną i powiedział energicznie: - Proszę całość stanu o zameldowanie się za pięć minut w centrali. Dziękuję.

Popatrzył na porucznika, jakby oczekiwał jakiejś reakcji. Brownell wstał i zgarnął z blatu swoją papierošnicę.

- Pozwoli pan, że wpadnę na chwilę do swojego mieszkania?

Kapitan Screwbury milczał półtorej sekundy, jakby się zastanawiał nad tą ewentualnością i skinął głową.

- Dobrze. Mundur wizytowy, jak sam pan rozumie. Sięgnął do klawiatury i zajął się, jak zdążył zauważyć Milt, ustawianiem podglądu monitorowego w dogodniejszej dla siebie konfiguracji. Milt zacisnął zęby tak, że poczuł, jak korzenie zębów opierają się o swoje gniazda w kości szczęk i umyślnie wykonał niezręczny zwrot przez ramię. Wyszedł z biura wściekły na Tomasa Screwbury'ego, na siebie, że dał się ponieść nerwom, na Morra, bo nie przewidział docieklivości szperacza. W swoim pokoju znalazł za szeregiem mundurów podstawowych dwa wizytowe, nie używane nigdy dotąd, sztywne jak deska i dwie minuty ugniatał je starannie, usiłując nadać im wygląd przyzwoitego ubrania. Drugie dwie stracił na ubranie i porównanie odbicia w lustrze z wzorcem na monitorze i przekonany o daremności tych starań, wszedł do windy.

Kapitan dał czas swoim podwładnym. Wszyscy byli już na dole, ale w świetle tego, co już Milt wiedział o dowódcy, prezentowali się o włos od określenia: „najgorzej jak tylko można”. Volpertowie w swoich pastelowych szortach i luźnych bluzach, z długimi włosami w całkowitym nieładzie. Day we fragmentach munduru, na bosaka, w bluzie, wprawdzie mundurowej, ale za to zbyt ciasnej, opiętej na piersiach. Jasper - Milt dałby sobie głowę uciąć, że z premedytacją włożył spodnie garnizonowe do polowej bluzy i przy tym założył się jeszcze z kimś na okoliczność reakcji nowego dowódcy. Simi wyglądał jako tako, ale to nie ratowało sytuacji, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę wygląd Hala, a zwłaszcza Seykowitza w białego w cienutki kombinezon, z selekty żującą błoną na ustach i filtrami w nozdrzach. Milt otworzył usta z zamiarem powiedzenia im czegoś na temat całkowicie chybionych wysiłków, ale nagle uprzytomnił sobie, że dużo śmieszniej będzie, jeśli zrobi to sam kapitan. Uświadomił sobie również, że Morr wraca pojutrze, a przez ten czas Screwbury nie zdąży nikomu wyrządzić krzywdy. Trzeba się bawić tym, co jest zabawne. Chrząknięciem zwrócił na siebie uwagę oddziału, uniesionym palcem obiecał ciekawą wypowiedź, ale nie zdążył. Drzwi windy otworzyły się, co prawda bezszelestnie, ale kapitan wspaniałomyślnie chrząknął, dając Brownellowi do zrozumienia, że oczekuje działania. Milt stał nieruchomo. Screwbury zrobił dwa kroki i zatrzymał się, rozglądając po centrali.

Znał ją albo świetnie udawał, że zna. Przyglądał się fotelom i aparaturze, lekkimi kiwnięciami głowy dając do zrozumienia, że wszystko zgadza się z wcześniejszymi oczekiwaniami. Potem zrobił dwa kroki w stronę, gdzie nie było nikogo z espów i powiedział do Milta:

- Poruczniku, na słówko, proszę.

Odeszli w głąb centrali, Tomas Screwbury stanął tyłem do reszty obecnych i pochylił się w stronę Brownella.

- Rzecz jasna nie ma mowy o stawianiu oddziału na baczność w centrali, ale powinien pan jakoś zareagować na wejście dowódcy, zwłaszcza pierwsze wejście. Rozumiemy się?

- Panie kapitanie, to jest stanowisko bojowe. Tu się nie oddaje honorów i nie składa meldunków. Regulamin...

- Ma pan całkowitą rację. Jednakże regulamin również należy interpretować w zależności od sytuacji. Aktualnie, jak widzę, aparatura jest w stanie czuwania i namiaru, co - jak wiem - oznacza, że co najmniej przez kilka minut nikt nie będzie siadał do walki. Powinien pan wyczuć, pańskie postępowanie stawia mnie w dość

niezręcznym położeniu. - Zrobił przerwę, aby Milt dokładnie zrozumiał nieestosowność swego zachowania i zakończył wspaniałomyślnie: - No dobrze, mamy czas, więc chyba zdążymy zrozumieć się nawzajem, dotrzeć i tak dalej. Na obrażanie nie ma teraz czasu, chodźmy już do zespołu.

Energicznie ruszył, zgrabnym ruchem ręki ustawiając Milta po swojej lewej stronie i poganiając, żeby nie zostawał za bardzo w tyle. Przystanął przy fotelach Delfa i Sabo, cierpliwie czekał, aż uwolnią się z hełmów i staną, po czym uściśnął im dłonie, patrząc badawczo w oczy. Butterwoth nie czekał, aż kapitan zbliży się do niego - karykaturalny krok defiladowy wyniósł go na trasę marszu dowódcy. Screwbury nie spodziewał się jednak niczego dobrego po jego meldunku.

- Dziękuję, sierżancie - powiedział, o pół sekundy wyprzedzając Jaspera.

Uściśnął dłoń Simiego, nie zmieniając ani na ułamek milimetra układu skóry na twarzy, przywitał się z Day i Halem, po czym zrobił dwa kroki w kierunku Jocka. Alergik stał z nieszczęśliwą miną, rzucając rozpaczliwie ponagląjące spojrzenia na Milta. Porucznik dogonił kapitana w chwili, gdy jego prawa ręka drgnęła w kierunku Seykowitza.

- Sierżant Seykowitz choruje na kilkanaście rodzajów alergii, panie kapitanie - szybko powiedział Brownell, ustawiając się tak, aby móc złapać za rękę Screwbury'ego, gdyby mimo wszystko należał na wymianę uścisków dłoni. - Praktycznie każdy kontakt z otoczeniem kończy się dla niego atakiem, dlatego i on sam, i my, unikamy dotykania się. Dla dobra sprawy musimy się godzić z takim stanem rzeczy. Sierżant Seykowitz ma za sobą czternaście... - zawahał się i dokończył nieregularnie: - ...seansów.

- I wszystkie zwycięskie, co? - Screwbury uśmiechnął się raźnie, ktoś z tyłu niemal niesłyszalnie prychnął. Kapitan usłyszał jednak i zrozumiał swoją gafę.

- Oczywiście, że zwycięskie... - Milt pojął, że kolejna gafa będzie cięższego kalibru i nie pomylił się: - ...inaczej nie byłoby was z nami.

Screwbury cofnął się o krok i odwrócił tyłem do Jocka. Gestem wskazał sedesy.

- Siadajcie, proszę. Chciałbym powiedzieć kilka słów. - Odczekał, aż espowie przetasują się w drodze do swych foteli i usiądą w nich, choć z lekkiego zmrużenia oczu można było sądzić, że uważa to za zbędną krzątaninę. - Sądzę, że aby nasza współpraca dała maksymalnie dobre wyniki, trzeba zmienić tryb postępowania. Dotychczasowe metody działania nie dają zadowalających rezultatów. Co do tego chyba nikt nie ma wątpliwości. Zdaję sobie sprawę, że nie wszystko wam się spodoba. Jednak musimy szukać nowych rozwiązań. Eksperymentować. Musimy się uodparniać. - Drugi raz tego dnia skórę na plecach Milta zaatakował batalion zmarzniętych mrówek. - Dlatego... - Screwbury, dotychczas stojąc nieruchomo z rękami za plecami, uniósł się leciutko na palcach stóp i opadł po trzech sekundach - ...dzisiaj jeszcze proszę sprawdzić w swoich kompach wzorce wyglądu izb i uruchomić odpowiednie programy w cleanerach oraz umundurować się według tabeli 25/7. Od jutrzejszego dnia obowiązuje rozkład dnia według regulaminu. Wykaz 4-4/ 12. Tabelę i wykaz macie już w swoich kompach, gdyby ktoś nie zapamiętał tego, co teraz powiedziałem. Co jeszcze... - Zastanawiał się kilka sekund.

Milt nie wierzył, że mógł o czymś zapomnieć, raczej uważał to za chwyt ożywiający przemówienie.

- Za godzinę, jak tylko przejrzę dotychczasowy harmonogram walk i dyżurów, będziecie mieli do wglądu grafik na następny tydzień. Z konieczności będzie to rzecz nieco prowizoryczna, przez ten tydzień spodziewam się dostać od was, drogą służbową... - położył lekki nacisk na wtrącenie - ...listę życzeń. Uwzględnimy je. W miarę możliwości.

Od dłuższej chwili Milt czuł w pomieszczeniu niespodziewane, dziwne powiewy

powietrza o różnej temperaturze. Skorzystał z małej przerwy w tyradzie kapitana i zerknął na umieszczony na ścianie z drzwiami wind wskaźnik repesera. Przeczył jego odczuciom. Zrozumiał, że musiał odczuć falę niechęci albo wręcz nienawiści bijącą od espów. Zaczął się zastanawiać, czy to nie jest złudzenie, czy można aż tak wyraźnie manifestować swoją niechęć. Kapitan Screwbury mówił dalej.

- Panu, sierżancie - wycelował brodę w stronę Seykowitza - daję dwa dni na wykonanie szczegółowych badań. To wykluczone, żeby współczesna medycyna była bezsilna wobec pańskiej dolegliwości.

- Przepraszam, że się wtrącam! - prawie krzyknął wściekły Milt. - Sierżant Seykowitz ciężko odchorowuje każde badanie. Jego alergia obejmuje również tworzywa analizatora, a nawet metale anachronicznych igieł. Będzie unieruchomiony co najmniej na tydzień, już nie mówiąc o nieprzyjemnych doznaniach...

- Niemniej jednak proszę o odbycie badań. - Screwbury wycisnął ze znajdującej się gdzieś wewnątrz swojego organizmu tuby kilka kropel ołowiu do głosu. - To na razie wszystko. Poza sierżantami Volpertami wszystkim proszę o opuszczenie stanowiska bojowego. - Obciągnął odruchowo połą bluzy. - Może niepotrzebnie, ale jednak dodam, że bardzo nie chciałbym, żebyście posługiwali się tym swoim specyficznym slangiem - to niepoważne i deprecjonuje wasz własny wysiłek. Dziękuję.

Odwrócił się i kilkoma krokami przebył odległość dzieląca go od jego windy. Gdy drzwi się zamykały, na ułamek sekundy błysnęły stamtąd w kierunku centrali jego oczy. Były sztywne, nieruchome, pozbawione jakichś wyraźniejszych uczuć. Prócz złościwości.

Milt Brownell obudził się, zanim z budzika wyciekł przeznaczony na sen czas. Obudził się z ciężkim, przykrym uczuciem oczekiwania na coś niedobrego, jak gdyby czekał go dziś pogrzeb kogoś bliskiego. Wbrew swoim zwyczajom nie zerwał się natychmiast po uciszeniu budzika, ale leżał w łóżku jeszcze długą chwilę, usiłując zlekceważyć przykre odczucia. Próbował wprowadzić się w dobry, przynajmniej nieco lepszy nastrój. Dwadzieścia sześć minut do pobudki. Kpina - pobudka! Gdzie ten cholerny Morr?

Zerwał się z łóżka, zrzucił z siebie piżamę, wcisnął ją w gardziel spalarki i pomaszerował do kuchni. Myśl o śniadaniu zaowocowała napęczniałą w kilka sekund kulą, wystarczająco szczelnie wypełniającą przełyk. Pierwszą puszkę piwa wypił, stojąc przy otwartych drzwiach lodówki; zimno, które zaatakowało jego ciało od kolan do szyi, skutecznie przegnało resztki snu. Wyszarpnął papierosa z kuchennego gniazda i zapalił. Piwo, zimno z lodówki, nikotynowy dym, cała gama bodźców spowodowała, że poczuł duszącą wściekłość, ukierunkowaną na Tomasa Screwbury'ego. Wyjął drugą puszkę i wrócił do pokoju. Uruchomiona sygnałem budzika kasetą z umyślnie wypranym nowym mundurem czekała dyskretnie wysunięta z szafy. Pociągając z puszki, włożył mundur, wybrał czapkę, przymierzył ją i rzucił na stół. W poszukiwaniu sposobu zamordowania czasu wywołał na ekran wzorzec swojego pokoju i polecił wyszukać różnice. Z wyjątkiem jego samego i czapki nic nie różniło pokoju od wzorca. Milt, jego czapka i jego słownictwo, jakim teraz się posługiwał - te trzy rzeczy kłóciły się z wzorcami. Odczekał jeszcze cztery minuty. Wywołał Hala.

- Wszystko w porządku?

- Gówno tam, w porządku. Całą noc nie mogłem spać. On nas załatwi, wspomnisz moje słowa...

- Ja cię załatwię, jak nie przestaniesz pieprzyć głupot! -

Milt poczuł nagły przyływ adrenaliny do krwi, zdziwił się nawet, że tyle może jej wytworzyć. - Ubierzcie się.

- Od dwóch godzin jestem ubrany, co pół godziny zmieniam mundur, bo jest zlany potem.

- Uspokój się. - Milt wyobraził sobie nieszczęsnego niewyspanego niedźwiedzia w mokrym mundurze. - Jasne?! - wrzasnął.

Wywołał po kolei Sabo i Delfa, mówili cicho. Oddzielnie spędzona noc rozbiła ich zupełnie. Jasper, najbardziej odporny ze wszystkich, czego raczej należało się spodziewać, dopiero co się obudził, nie miał - co wyraźnie było słychać - kłopotów z apetytem, nie miał też zamiaru się zamartwiać. Jock ponuro zameldował, że nakłada na siebie maść i prosi, żeby mu nie przeszkadzać. Day mówiła z trudem, jakby omotała sobie twarz i usta kilkoma metrami sznurka albo, co było bardziej prawdopodobne, jakby z trudem wybierała słowa z grubych pokładów inwektyw zalegających usta. Raczej zadowolony, że nie szlocha histerycznie, Milt wywołał Simiego. Kusley, jedyny z oddziału, zgłosił się na wizji. Brownell włączył kamerę.

- Nic nie czujesz? - zapytał Simi.

- Staram się o to z całej siły.

- Ja nie. Czuję, że jest źle.

Milt przypomniał sobie wczorajszy powiew powietrza, którego w rzeczywistości nie mogło być. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Do tego nie trzeba być espem. Ten facet da nam zapłonu, zanim wróci geni.

- Nie - kategorycznie stwierdził Simi.

- Nie? To jeszcze lepiej - wykrztusił Brownell.

- Nie, to znaczy, że tak łatwo się nie skończy. Simi przeraźliwie poważnie patrzył w oczy Brownellowi.

- Przestańcie, sierżancie, bo was wyślemy do naszych Przeciwników, żebyście rozkładali ich morale. Dobrze ci to wychodzi. - I zanim Simi zdążył cokolwiek powiedzieć, Milt się rozłączył.

Ścisnął pustą puszkę w garści. Z chrzęstem poddała się naciskowi palców i po kilku sekundach potrzebnych do zadziałania katalizatora wymknęła się z zaciśniętej pięści Milta w postaci strużki błyszczącego proszku. Oczekujący podobnych wydarzeń cleaner ochoczo wypadł z najniższej części szafy i rzucił na płamę metalicznego pyłu. Milt ominął go i po raz drugi tego ranka wszedł do kuchni. Lodówka zamknęła się, jakby była na usługach Towarzystwa Abstynencji. Brownell pokręcił się bezmyślnie, walcząc z chęcią zakończenia śniadania trzecią puszką piwa. W końcu wystukał numer sekretariatu Morra.

- Porucznik Brownell, to rzeczywiście ja, choć może trochę wcześniej - powiedział do zaskoczonego sekretarza. - Generał zostawił wiadomość, gdzie go można znaleźć w razie potrzeby?

- Tak... - Wbrew swoim słowom sekretarz pokręcił głową. - Ale nic z tego nie wyjdzie. Wywoływałem go już. Miał zejść do jakiejś jaskini i chyba to zrobił. Ma zadzwonić za siedem godzin.

- Masz mnie znaleźć, gdziekolwiek bym był, to bardzo ważne. Jasne? - upewnił się Milt.

- Tak jest. Na pewno.

- Dziękuję.

Pięć minut przed zbiórką Milt wyszedł na placyk apelowy. Oddział nasłuchu i dekodowania znajdował się już tam w komplecie. Stali luźną grupą jak ludzie pogrążeni w rozmowie, ale pracownicy milczeli. Brownell uświadomił sobie, że nikt ich nigdy nie ustawiał w szeregu, posłał w przestrzeń kilka ciężkich przekleństw pełen nadziei, że przynajmniej jedno trafi pod właściwy adres i zbliżył się do grupki nieszczęśliwych espów.

- Hal na prawe skrzydło, za nim Jock, potem Delf i Sabo, w tej właśnie kolejności.

Dalej Day i Simi. Dobrze... - pochwalił, gdy ustawili się w szeregu. - Teraz posłuchajcie mnie przez chwilę. Podstawy musztry są wam znane i Screwbury o tym wie, zatem oszczędźcie sobie wysiłku, bo to nie jest facet skłonny do żartowania z armii...

- Uważaj: idzie! - mruknął półgębkiem Jasper, zerkając za plecy Milta, który westchnął i wykrzyknął:

- Oddział! Baczość!

Wykonał zwrot w tył i pomaszerował w kierunku kapitana. Screwbury miał minę świadcząca o umiarkowanym zadowoleniu z manewrów Brownella. Wysłuchał spokojnie meldunku i oddał honory o wiele bardziej zręcznie niż jego podwładny.

- Dajcie spocznij, poruczniku. Mamy trochę roboty, niech pan spojrzy na ekwipunek. - Wskazał brodą na wyprężony na różne sposoby oddział.

Milt nie musiał patrzeć. Widział już, że Hal nie podopinał połowy lekkiej uprząży plecaka, że szelki zjechały, musiały zjechać z dużego biustu Day na boki, ściskając przy tym piersi i wypychając je, zupełnie niepotrzebnie, jeszcze bardziej do przodu, Jasper wyglądał jako tako, Jock, z twarzą i dłońmi pokrytymi grubą warstwą politaxu, wyglądał tragicznie albo przynajmniej jakby wykapał się w beczce z olejem, Simi Laza Kusley - może dlatego, że stał na końcu szeregu - identyfikował się bez trudu jako oferm garnizonowa i zupełnie nie można było odgadnąć, co zawierają pasowe obejmmy bliźniaków. Milt odwrócił się bez specjalnej troski o precyzję ruchu i bąknął:

- Spocznij.

Kilkanaście sekund wcześniej zrozumiał, że żadne wysiłki nie są w stanie uchronić oddziału i jego samego od katastrofy. Kapitan Tomas Screwbury nie miał zamiaru odkładać czegokolwiek na później, pozwolić im doczekać w miarę spokojnie powrotu generała Morra. Milt odpędzał od siebie jak mógł myśl o tym, że nawet generał może mieć kłopoty z neutralizacją zupaka. Błyskawicznie rozważył kilka wariantów działania i wybrał ten, który pozwalał utrzymać kapitana w przekonaniu, że ma do czynienia z bandą oferm. Tylko oferm. Broń Boże, by do pamięci kompa trafił meldunek o buncie.

- Pozwólcie sobie powiedzieć... - uprzejmym, suchym niczym gleba Księżycy tonem zaczął Screwbury, stając przed frontem oddziału - ...że wyglądacie fatalnie. Wykażę, co w waszym wyglądzie jest sprzeczne z regulaminem i nawet zdrowym rozsądkiem. Potem będziecie mieli pół godziny czasu na poprawki i zaczniemy od początku. - Dwa sprężyste kroki ustawiły go na wprost Hala.

- Sierzancie Barnaba!

Hal zmarszczył brwi i myślał kilka sekund, potem szarpnął się i wyprężył. Kapitan powstrzymał się od komentarzy.

- Uprząż numer sześć, a wy macie najwyżej pięć. W kłapie nie widzę identyfikarty. Kanty na spodniach zgubiliście po drodze na zbiórkę. - Tomas Screwbury wyraźnie rozpalał się w miarę punktowania uchybień. - Blotka na szyję jest tak pomyślana, że nie ma możliwości stroną licową patrzeć na zewnątrz. Wam, sierzancie, udało się dokonać tego, co wykluczają wynalazcy. Gratuluję.

Barnaba nie wydawał się zadowolony z pochwały kapitana.

- Wasz pas biegnie z lewej do prawej, zupełnie odwrotnie niż być powinno. Buty zastębnował pan prawidłowo, aczkolwiek dużo za luźno. W marszu na pewno będą po każdym kroku zostawały za panem. Na razie tyle. - Przesunął się o krok w prawo. Zerknął na resztę espów. - To, co powiedziałem, dotyczy w dużej części pozostałych, będę wobec tego wykazywał tylko inne błędy. - Długim spojrzeniem oblizał od góry do dołu Jocka. - Czapka zjeżdża wam na nos. Powinniście mieć numer mniejszą. - Przeszedł w styl telegraficzny: - Pas o dwie dziurki. Ośmiornica w agonii zamiast uczciwego stębnowania obuwia. - Przesunął się przed Jaspiera Butterwotha. -

Wypchane kieszenie spodni. Nie trzymajcie w nich rąk, bo wam koń paznokcie obgryzie.

Krok w bok. Zachwiał się, jakby chciał stanąć odruchowo między bliźniakami, ale w ostatniej chwili powstrzymał się.

- Wyjęty rozpiercz z czapki. Metalowe kolczyki w uszach, nie wydaje się wam, że będą zakłócać odbiór? - Nie dając możliwości odpowiedzi, kontynuował: - Pas z innego kompletu, wyraźnie starszego. Wy jesteście Delf Volpert?

- Tak... jest... - z dużą pauzą pomiędzy słowami potwierdził Delf.

- W takim razie proszę zgłosić się po zajęciach do kwatercera i założyć zegaretkę w innym kolorze niż sierżant Sabo Volpert.

Nie zwracając uwagi na nabrzmiałą oburzeniem twarz Delfa, przesunął się płynnie przed jego brata. Zlustrował go uważnie, wyraźnie szukając czegoś, co dałoby się wytknąć.

- Jak poprzednio - rzucił w końcu. Zatrzymał się przed Day. - Z tymi szelkami to zupełny absurd, sierżancie. Nie mogą tak... - Szybkim ruchem wysunął rękę i wsunął dwa palce za szelkę na lewym ramieniu Day. Zanim zdążyła zareagować, przesunął palce w dół, usiłując przemieścić pasek w prawo. Dopiero teraz Day oprzytomniała. Szarpnęła się do tyłu i trzasnęła kapitana w twarz. Screwbury, jakby oczekiwał takiej reakcji, prawie się nie poruszył, nawet nie opuścił wiszącej w powietrzu dłoni.

- Model męski jest w tym wypadku zupełnie nieodpowiedni - powiedział spokojnie. - Proszę pobrać u kwatercera model kobiety, sądzę, że odpowiedni będzie numer cztery.

Stał przed nachmurzonym Simim. Milt słyszał, że coś mówi, ale podobnie jak wczoraj, skoncentrował się na niespodziewanym powiewie chłodnego wiatru. Tym razem nie był zaskoczony, więc nie tracił czasu na zastanawianie się nad przyczynami, zauważył, że flaga na maszcie wisi nieruchomo, jakby była odlana z żeliwa. Niemniej jednak skóra twarzy wyraźnie sygnalizowała powiew chłodu. Jednak ten powiew nie działał zupełnie na gałki oczne, nie zmuszał do częstszego mrugania czy opuszczania powiek. Brownell zrozumiał, że odbiera, po raz drugi w swoim życiu, emanację zespołu. Zjednoczona w nienawiści szóstka espów czyniła to uczucie odczuwalnym jak powszednie zjawiska atmosferyczne. Spazmatycznie zaczerpnął powietrza. Zdjął czapkę i przejechał rękawem koszuli po lepkiem czole. Screwbury odwrócił się i odczekał, aż Milt nałoży czapkę na głowę.

- Proszę nie brać sobie tego tak do serca - pocieszył. - Ale, jak pan widzi, jest sporo do zrobienia. Proszę zwolnić oddział na godzinę. Może... - zerknął na zegaretkę - do dziesiątej. Zrobimy przegląd ekwipunku alarmowego. Mam nadzieję, że z mundurami wszystko będzie już w porządku.

Zasalutował i wykonał zwrot, w którym wzorowo uczestniczyły również fałdy ubrania. Milt nawet nie usiłował odpowiedzieć na jego pożegnanie. Stał oszołomiony odkryciem sprzed kilkudziesięciu sekund. Wolno oderwał wzrok od pleców kapitana i przeniósł na rozbity przeglądem espeszpół.

- Zabiję tego wymiota! Skurwysyna jednego... - rzuciła Day.

Zazwyczaj jej głos barwiła oryginalną barwą lekka chrypka, sprawiająca wrażenie, że Day właśnie oderwała się od ust partnera, przerywając namiętny pocałunek. Tym razem niemal wycharczała tych kilka słów.

- Spokojnie, myszko. Nie pchaj się bez kolejki - zduszonym, niemal tak samo chrapliwym szeptem zareagował Jock.

- Najgorszym, co może nas spotkać, nas i całą imprezę pod tytułem „Topsy”... - wycedził Milt - ...jest jakikolwiek raport w pamięci komputera. Natychmiast zjawi się, bo tak być musi, odpowiednia komisja i nie da się, nikt tego nie dokona, ukryć naszego prawdziwego zadania. Nie zostanie nam nic innego jak ciche rozwiązanie zespołów.

Jeśli ma do tego dojść, to zezwalam tym, którzy są pewni swoich odruchów, natychmiast oddalić się w nieznanym, dowolnym kierunku. Gwarantuję brak jakichkolwiek reakcji z czyjejkolwiek strony - powiedział twardo. - Podam hasło i adres, pod którym należy się zgłosić, jeśli chcecie dostać nowe identyfikatory, papilary, twarz i konto.

Bez pośpiechu, metodycznie, po kolei przyjrzał się wszystkim twarzom. Wysunął nieco do przodu podbródek, by łatwiej wychwycić falę emanacji, gdyby popłynęła ku niemu.

- A jeśli naprawdę będzie to potrzebne, zabiję go ja.

I tym razem, w przeciwieństwie do poprzednich słów, zupełnie nie blefował.

O drugiej, gdy zmasakrowany dwiema godzinami musztry oddział lizał pęcherze na stopach i świeże rany na psyche, a Milt rozwalony pod strumieniem chłodnego powietrza kończył drugą po mustrze puszkę piwa, donośnie jęknął sygnał łączności. Ekran monitora podzielił się na osiem kwadratów, w których znalazły się twarze espów i Screwbury'ego. Kapitan, nie zauważając wyraźnie niechętnych spojrzeń oddziału, zerknął w dół, na blat biurka przed sobą.

- Za dwie godziny dyżur na stanowisku bojowym obejmuje Sabo Volpert - powiedział i niemal nie oddzielając zdań, dodał: - Poruczniku Brownell, proszę objąć dzisiaj dowództwo nad centralą.

- Dobrze, ale mam jedną spra...

- Później, poruczniku. Przed objęciem stanowisk proszę zameldować się u mnie.

Wy, sierżancie, też. Mundur polowy, wzorec 7/12. Dziękuję.

Kapitan Screwbury najwyraźniej postanowił zaniechać zabawy z krnąbrnym oddziałem, nie zareagował nawet na niecenzuralny epitet, jakim poczęstował go Delf. Zniknął z ekranu bez słowa, pozwalając espom wyładować się na mikrofonach. Milt usiłował uspokoić oddział, był przekonany, że Tomas Screwbury spokojnie wysłuchuje charakterystyki swojej osoby, odnotowując w pamięci najbardziej energicznych mówców. Dopiero gdy Milt uruchomił syrenę, wściekłość na twarzach ustąpiła miejsca zaskoczeniu, a potem niechęci skierowanej tym razem przeciwko Brownellowi. Gdy porucznik odczekał chwilę i wyłączył syrenę, pierwszy zareagował Butterwoth:

- Grasz z nim, Milt?

- Nie gram z nikim, po prostu...

- On nas wykończy! - wrzasnął Jasper. - Nie widzisz tego?! Czuję się tak, że jeśli w pobliżu anteny przeleci jakiś napalony na samicę komar, będę ganiał z fiutem w łapie aż wyładuję u czubków!

- Milt... - wtrącił się Simi. - Może kapitan nie rozumie specyfiki oddziału? Powinieneś mu uświadomić, jak ważny jest spokój i komfort psychiczny?

- Obawiam się, że wie wszystko, tylko ma nieco inny plan. Plan, jak zrobić z nas oddział zdolny do przechylenia szali wojny na naszą stronę.

- Już on nas przechyli... - powiedziała z goryczą Day. - Nie pozbieramy się od tego przechyłu.

- Bez paniki. - Milt nagle się zorientował, że cały czas siedzi goły przed kamerą. Szarpnął koc i narzucił sobie na nogi. Stracił wątek. - Bez paniki. - powtórzył. - Na razie tylko przypominam wam, że jesteście żołnierzami. Ochotnikami, przypominam. Trochę ruchu nam wszystkim nie zaszkodzi. Jedyń, jak dotychczas, poważną sprawą są dzisiejsze dyżury w corralu, ale to spróbuję wyjaśnić. Więc nie zachowujcie się jak stado pawianów.

Poderwał się z kocem w garści i wyłączył kamerę. Kopniakiem w puszkę zapoczątkował proces autodestrukcji i zaciskając zęby w przerwach między

soczystymi wiązankami przekleństw, włożył mundur. Zdawał sobie sprawę, że espowie mają rację, a jego własne argumenty są przekonywające tylko dopóty, dopóki się nad nimi nie pomyśli. Dlatego tak szybko się rozłączył, dlatego w pośpiechu wkładał mundur i pluł na pokój resztkami przeżutych przekleństw.

Kapitan Screwbury wydawał się zdziwiony pojawieniem się w swoim gabinecie Brownella. Uprzejmie wysłuchał wzorowego meldunku porucznika i nawet zaaprobował go wygięciem brwi.

- Siadajcie. Słucham.

- Panie kapitanie. Grozi nam... - to „nam” niespodziewanie gładko przeszło Miltowi przez usta, chyba tak rzeczywiście było - ...bunt. Proszę nie rozumieć tego jako groźbę czy ostrzeżenie. Sądzę, że powinienem wyjaśnić panu kilka spraw. Nieco inaczej wygląda to w raporcie, inaczej w praktyce. To specyficzny oddział, ktoś trafnie nazwał nas motylami bojowymi...

- Specyficzni żołnierze, specyficzne walki. Wszystko specyficzne - przerwał Screwbury. - Wiem to wszystko, poruczniku Brownell. Jestem świadom, że nie jest to stosunkowo proste strzelanie do ruchomego lub nieruchomego celu, czy naprowadzanie rakiet na obiekty przeciwnika. Pan chce mi powiedzieć, że dla espów najważniejsza jest kondycja psychiczna, stan ego, psyche i somy, że są delikatni jak pajęczyna, że są to jedyni ludzie we współczesnym świecie, którzy z narażeniem życia stawiają opór agresorowi, zagrażającemu naszemu krajowi, a może i Ziemi. I że ja, swoimi bzdurnymi poleceniami, swoimi zupackimi metodami, kretyńskimi rozkazami rozbijam ten espzespół, doprowadzam go do stanu hysterii, narażam żołnierzy na porażki, wiedząc, co to znaczy. To chce mi pan powiedzieć?

- Właśnie to.

- No to, jak pan widzi, niepotrzebnie się pan trudził. Ja to wszystko wiem. Wiem, że powoduję zamieszanie i czuję niechęć ze strony espów. Przemyślałem sobie wszystko podczas miesięcznej sesji z kompem, który przygotowywał mnie do objęcia stanowiska. Przypomniałem sobie stary termin z rolnictwa, właściwie dwa terminy: gospodarka intensywna i ekstensywna. To znakomicie pasuje do naszej sytuacji, zakładając, że nie pragniemy tylko utrzymania status quo, ale chcemy tę wojnę, z kimkolwiek byśmy ją toczyli, wygrać. Możemy albo wynajdywać coraz to nowych espów, zakładać wciąż nowe oddziały nasłuchu i dekodowania, rozbudowywać wzmacniacze i cały sprzęt. I to by było ekstensywne prowadzenie tej wojny. Zgodzi się pan ze mną, że zyski są co najmniej problematyczne, a pociągają za sobą niemal pewność zdekonspirowania całej akcji. I jest drugie wyjście: wojna intensywna. Wspaniali espowie, zahartowani, naładowani energią jak sprężyna stalowa, nie ślamazarni, chimeryczni telepaci, wsłuchani bez przerwy w swoje wnętrza, które ma im dać znać, kiedy będą gotowi do seansu... Niech pan zauważy... - wytrzeszczył oczy i uniół do góry palec - ...nawet nie mówią: walka, mówią seans. W swoim, pozał się Boże, slangu unikają określeń na przegraną. Siadają do wzmacniaczy albo naszpikowani narkotykami, albo pijani, albo samowzbudzeni tak, że słysząc głośniejsze westchnienie, walą w portki. Efemerydy.

Opadł na oparcie fotela, nie odrywając spojrzenia od twarzy Milta. Obie dłonie ułożył płasko przed sobą nienaturalnie jak robot, wyprostowując palce i stykając je ze sobą na całej długości. Oszołomiony Brownell siedział bez ruchu.

- A cóż takiego złego ja chcę zrobić? - zapytał retorycznie Screwbury. - Chcę zahartować swoich żołnierzy, chcę, by byli gotowi w każdej chwili do walki, do walki, nie do „seansu” - drwiąco prychnął określeniem espów. - Chcę, by byli świadomi swojej mocy, uwierzyli w nią i dlatego bez obaw rzucali się w wir działań w eterze. Chcę, by się nauczyli nienawidzić, bo tylko żołnierz zdolny do nienawiści jest zarazem zdolny do wyczynów ponad ludzką miarę. Niech na razie nienawidzą mnie, z czasem



zrozumieją, o co mi chodzi, nauczą się wyładowywać w walce. - Zaczął się rozpalać, wychylił się do przodu, nie zmieniając ani o milimetr układu dłoni, przez co podobieństwo do robota z niesprawnymi kończynami górnymi stało się wręcz uderzające. - Rozumiesz? - W ferworze perory przeszedł na ty. - Przecież nasi wrogowie również muszą być świadomi tego, że wojna w takiej postaci nie przynosi pożądaných wyników. Taka wojna jest przegrywana. Na razie można powiedzieć tak: i my, i oni przegrywamy. A zaczną wygrywać ci, którzy wcześniej zdadzą sobie z tego sprawę. Nie ludź się, że oni - kiwnął głową gdzieś w bok - będą się długo jeszcze pieścić ze swoimi kotkami. Chłopie! Wezmą ich za pysk, zgnębia, zgnoją... Może wykończą kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu, ale reszta motyli zacznie chodzić jak wspaniałe maszyny! I wtedy z nami koniec... - dramatycznie ściszył głos.

- Pan chce zrobić z espów maszyny bojowe - wolno powiedział Milt.

- Właśnie tak! Amatorszczyzna nie ma sensu. Trafił pan w sedno.

- Ale to jest niewykonalne - spokojnie powiedział Brownell. Rozumiał, że argumenty Screwbury'ego są ważne, pozornie ważne i słuszne, dlatego opanował się, żeby niepotrzebnym gorączkowaniem nie ułatwiać sprawy kapitanowi. - Zapoznał się pan z życiorysami espów? - Tomas Screwbury niechętnie zaprzeczył ruchem głowy. - Są to wyjątkowe jednostki, wyjątkowe pod właściwie każdym względem. Najczęściej mają za sobą bardziej lub mniej nieudane życie w tak zwanym społeczeństwie. Są skrzywieni. Są nadczuli. Mają kruche psychiki, które zupełnie nie dają się nagiąć, wygiąć, przemodelować. Gdyby było inaczej, nie byłoby ich u nas. Żyliby sobie spokojnie w otoczeniu „normalnych” ludzi. To są japońskie filiżanki, cienkie jak... jak nie wiem co. One się tylko tłuką, nie zmieniają kształtu. To niesłychanie czułe i delikatne układy z nastawieniem na autodestrukcję przy najmniejszym odchyleniu od normy. A pański argument o przeciwniku, że można wyszkolić armię bezwzględnych espów gotowych do walki na każde skinienie przełożonych, działa w obie strony. Nie wydaje się panu, że gdyby to było możliwe, już dawno mielibyśmy same porażki na koncie? Nie wydaje się panu, że ich społeczeństwo łatwiej jest przekonać do takiej metody działania? Jest zdrowsze i moralnie, i psychicznie, gotowe do poświęceń. Już dawno utworzyliby karne oddziały muszkieterów myśli...

- Przesadza pan - pewności w głosie Screwbury'ego nie ubyło ani na jotę.

- Jest pan pewien? - chytrze w swoim mniemaniu zapytał Milt.

- Tak - odpowiedział po prostu kapitan.

Milt poczuł, że traci panowanie nad sobą, że zaczyna grać scenariusz przełożonego, ale nie potrafi już się opanować.

- No to bardzo źle to o panu świadczy! - krzyknął. - Nie był pan w eterze, nie zna pan tych ludzi. Na podstawie kilku raportów i tego, co łaskawie dał panu pieprznęty komputer, pan sobie ułożył teorię pasującą do dwudziestowiecznych oddziałów piechoty i zakłada jej kaganiec.

- A skądże pan tak dużo wie? - po raz pierwszy żywiej zareagował Tomas Screwbury.

- Z obserwacji? Nie było tego w raportach, bo nie wyszło to poza jednostkę - wściekle wycedził Brownell, kładąc zaciśnięte pięści na biurku kapitana. - Okazało się, że jestem espem! Mam na koncie sześć seansów - jak mógł, podkreślił ostatnie słowo. - Rozpisałem je na konto dwóch nieobecnych już w oddziale espów. Generał Morr jest zorientowany w tej sprawie, mam jego całkowitą akceptację. Generał Morr jest człowiekiem elastycznym i zgadza się na wszystko, co naprawdę może wzmocnić tak zwaną siłę bojową tego oddziału i być może dlatego nasza siódemka ma lepszą przeciętną pod każdym względem niż inne oddziały. To pan powinien wiedzieć!

- Wiem. I niczego to nie zmienia. Jednooki może być królem ślepców, co nie znaczy, że jest najlepszym z możliwych władców.

- Nie bawmy się w sofistykę! Mam nadzieję, że panu nie chodzi o obronę swoich racji, tylko rzeczywiście ma pan na sercu dobro oddziału, a szerzej rzecz ujmując...

- Więc pan jest również espem - przerwał Screwbury. Powiedział to spokojnie, wolno, ale słowa wytaczały się z jego ust jak ogromne kamienne kule. Świadomość klęski zgmiotła Milta. - Wobec tego, co sam pan powiedział o kruchości psychiki espów... - Uśmiechnął się zjadliwie i wzruszył ramionami. - Jeśli pan jest taki sam przegrany jak pańscy podopieczni... - Wstał energicznie i dopiero teraz oderwał swoje nagle ożywione dłonie od blatu. - Poruczniku. Proszę w każdym calu wykonać moje rozkazy na dzisiaj. Jutro pan i sierżant Volpert macie dzień wolny od zajęć. Reszta zna rozkład dnia. Dziękuję. Jesteście wolni.

Milt podniósł się bez pośpiechu i pochylił w kierunku kapitana, sam z kolei trzymając dłonie na biurku. Kilka sekund zastanawiał się, czy nie ujawnić swojego prawdziwego stopnia, ale weryfikacja bez Morra była niemożliwa, zaś obrażony Screwbury mógł narozrabiać, nie bacząc na względy konspiracji. Mógł jeszcze uruchomić Ellę Readlef Trewinkard, zdecydował jednak, że wytrzyma do powrotu Morra. Postarał się spojrzeniem wyrazić to, czego nie chciał powiedzieć Screwbury'emu, a zwłaszcza obiecać mu interesujące rozliczenie z tych kilkunastu godzin jego działalności. Bez słowa odwrócił się i wyszedł z biura.

O szesnastej czterdzieści pięć Sabo i Delf siedzieli w pokoju starszego o siedem minut Delfa. Zajmowali lekkie foteliki po przeciwnych stronach małego stolika. Milczeli. Cztery ręce leżały nieruchomo na matowym blacie, dwadzieścia palców splotło się w skomplikowaną symetrycznie kompozycję. Obaj utkwili spojrzenia w swoich dłoniach. Milczeli. Nie umawiając się ze sobą, nawet nie próbując odgadnąć sensu tego działania, usiłowali pocieszyć się wzajemnie, naładować energią, ponieważ obaj byli jednakowo nieszczęśliwi: i Delf, który miał pozostać na górze, zdenerwowany samotnym dyżurem brata, i Sabo, uważający, że to Delf, bliski hysterii z powodu jego samotnego po raz pierwszy dyżuru, ma trudniejszą do odegrania rolę. Milczeli. Za siedem piąta palce Sabo ożyły i nasiliły uścisk, potem delikatnie uwolnił je i wstał. Delf poderwał się również i pierwszy dopadł drzwi. Objęli się mocno i chwilę stali nieruchomo, tylko ręce wędrowały po plecach. Sabo klepnął brata w ramię i oderwał się.

- Jeśli jutro nic się nie zmieni, zrywamy się, tak? Stoi?

Delf skinął głową. W tej samej chwili melodyjnym furkotem odezwał się sygnał drzwi. Sabo sięgnął dłonią i stuknął w klamkę. W progu stał Milt Brownell.

- Jesteś gotów - stwierdził z leciutką, ledwo wyczuwalną ulgą. - Dobrze. Zanim pójdziemy, powiem wam, co wymyśliłem. - Odruchowo zerknął w obie strony korytarza. - Tylko dzisiaj będziesz sam. - Popatrzył na Sabo. - Jutro podciągniemy końcówki do tego pokoju i do mojego, będziecie pracowali razem, tak jak dotychczas. Zresztą jutro wraca Morr i rozgniecie tę pluskwę - dodał głośniejszym głosem niż należało i natychmiast zawstydził się swojego zachowania.

Blizniacy skoczyli sobie w objęcia i chwilę radośnie tańczyli, podskakując i klepiąc się po plecach. Nie przejmując się porucznikiem, ucałowali się i dopiero gdy Milt teatralnie chrząknął, oderwali się od siebie. W windzie Sabo pozwolił sobie na mocne uściśnięcie ramienia Brownella i pierwszy wpadł do corralu.

Fotele nawoływały do zajęcia miejsc, wszystkie, łącznie z osłoniętym ścianami fotelem Jocka, były włączone na zimno, to znaczy czuwały i czekały. Fotel Milta był bliżej, Brownell pierwszy włączył hunter i ruszył do czubka owalu, gdzie znajdowały się zwykle, wygodne fotele wokół małego, niskiego stołu i kilka kaset z napojami i posiłkami. Tuż obok znajdowały się wpasowane w ściany, niemal niewidoczne, drzwi

do sanitariatów. Milt zerknął przez ramię na Sabo i uspokojony, bo Volpert również ograniczył się do włączenia wyszukiwacza celu, wygodnie rozparł się na fotelu. Już wcześniej postanowił, że nie pozwoli, aby Sabo dzisiaj walczył. Uważał braci za najbardziej kruchą strukturę w swoim oddziale, a rozłączenie ich za największy, najdotkliwszy błąd Screwbury'ego. Teraz, nie mając ochoty do rozmowy, wywołał bibliotekę i po krótkim przeglądzie zdecydował się na Ludzi z tamtej strony czasu. Kątem oka zauważył, że Sabo ułożył sobie na kolanach tabliczkę pisaka i wywoływał pokój brata. Zaczął coś pisać, po niemal każdym słowie robiąc długie pauzy, jakby czekając na reakcję Delfa. Po półgodzinie mieli już około tuzina wersów, a zadowolenie Sabo można by zmierzyć za pomocą zwykłego krokomierza. Sygnał hutnera zabrzmiał złośliwie. Drgnęli obaj.

- Teraz posłuchaj mnie. - Milt zerwał się pierwszy i wcisnął w fotel podrywającego się Sabo. - Zabraniam ci siadać na sedes. Jasne? Dzisiaj odbędzie się najwyżej jeden seans - mój.

- Czuję się bardzo dobrze - zaprotestował bez cienia przechwałki czy fałszu Sabo.

- To nawet nie o to chodzi. Nie chciałbym, żeby Screwbury mógł powiedzieć: Proszę, tyle wrzawy, a wyniki znakomite! Rozumiesz? Nie możemy mu pomagać. Zabraniam ci. - Widząc, że Sabo niezupełnie godzi się z jego rozkazem, dodał: - Na wszelki wypadek zablokowałem hunter, po znalezieniu tropu od razu zejdziesz ze śladu. Nawet nie podchodź do fotela.

Milt usiadł na sedes, żałując, że nie zablokował szperacza naprawdę. Chwycił w dłoń stroik i odruchowo, w znany każdemu espowi sposób, kilka razy odetchnął głęboko. Włożył na głowę hełm, odczekał aż ten porządnie się usadowi, a potem kopnął włącznik wzmacniacza i wolno włączył się w gęstwinę multirystorów, tioid, dubblascad. Cienką, niewidzialną, precyzyjnie ukierunkowaną strużką, uleciał z ogniskowej anteny w nieznanym sobie kierunku, gdzie napięty, przyczajony, być może wystraszony jak on sam „fruwał” duch wrogiego espa.

Złośliwość losu - gdy jestem rozgrzany jak kurczak wyjęty z kuchenki, oblewają mnie zimną wodą, właściwie ciekłym lodem, natomiast gdy się już ochłodzę i z wolna moje ciało przechodzi na drugą stronę wymyślonego przez Celsjusza zera, natychmiast ktoś kieruje na mnie potężną dmuchawę i wtedy czuję się, jakbym płynął pod prąd strugi, skwierczącego oleju. Jednym z moich pierwszych sukcesów było przyswojenie sobie umiejętności przewidywania nadejścia tych lodowatych i wrzących kąpieli, łatwiej to znieść. Zresztą, tak prawdę mówiąc, nie jest to zupełnie tak, z jednej strony czuję przenikliwe zimno albo gorąco, z drugiej nie odczuwam bólu, jaki doznaniom o tym natężeniu musiałby towarzyszyć. Jest jeszcze jedna rzecz, dzięki której nie czuję się tragicznie - nie zdarzyło się, by ktoś był w chwili przechodzenia zaatakowany, to ostatnia chwila bezpieczeństwa. Potem - do ciemnego pokoju pełnego dziur z przyczajonym wrogiem. Koncentruję się i wywołuję uczucie trzymania w prawej dłoni rękojeści szpady, czuję się lepiej, jeśli to odczucie jest bliskie ideałowi, czasem mam świadomość, że szpada jest krucha jak ze szkła, albo krótka jak przebijak do puszek. Wtedy jest mi źle...

Wiruję. Nie ja, przestrzeń obraca się wokół kilku osi jednocześnie, czuję podmuchy pustki, kilka jej ścian przechodzi przeze mnie, zmienia się wtedy czas. Gdy płaszczyzna takiej ściany przechodzi przez serce, na ułamek sekundy czuję, jak bije dwojakim rytmem. Jedna jego część wykonuje skurcz normalny, a druga opóźniony o chwilę, prawie niewyczuwalną. Niewidzialna, gładka powierzchnia uderza we mnie. Leżę na niej prawie pionowo, do góry nogami, najmniejszy ruch spowoduje, że przewinę się przez głowę i polecę w dół. Bez znaczenia. Spadałem już kilka razy. Nic tu nie jest

ważne prócz przeciwnika. Tylko on jest naprawdę groźny, chociaż tak do końca to też nie jest pewne. Tylko ci, co pędzą nędzny żywot w sanatoriach, wiedzą, co zmieniło ich w rośliny.

Obsuwam się.

Sztywnieję.

Gdzieś tu jest?

Jakby czekał na chwilę, w której sobie uświadomię jego obecność, runął lepką płachtą, nakrył mnie, oderwał od płaszczyzny. Wydaje się wystraszony, albo to lebioda. Zbyt energiczny, pewien siebie. Nonszalancki. Albo - teraz ja robię się nerwowo - bardzo mocny. Może z takiej nowej generacji, jaką wymarzył sobie Tomas Screwbury? Szarpie mnie.

Usiłuję owinąć całego. Niech ci będzie. Zwijam się w kulę i czekam, wiem, że będzie musiał zmienić kształt, żeby mnie zmiażdżyć. Wsuwam dłonie do wewnątrz kuli-ciała i starannie, bez pośpiechu modeluję ze swojego wnętrza ostrą lancę. Czekam. Nieruchomy.

Unieruchomienie daje mi przewagę. To też dziwna cecha pobytu w eterze - cokolwiek by się działo, zawsze mam wrażenie przewagi. Wszyscy odczuwają to samo. Muszę porozmawiać z Simim i Jockiem, mam taki pom...

O! Drgnął! Zaczyna odwijać się ze mnie. Waha się. Pewnie chce jedną swą częścią utrzymać mnie, a drugą uderzyć. Naiwnie dzieli swoje siły. Czekam. Poruszam się lekko, trochę mocniej. Muszę coś zrobić, bo inaczej zaczniesz wietrzyć podstęp. Nieruchomieję.

Teraz...

Zdecydował się i odwinął prawie cały, zostawił tylko kilka lepkich przylepek, nibynózek.

Teraz uwypuklam się. Wypycham swój harpun, rozszczepiam go na cały pęk grotów. Krzyczę nimi, tnę wzrokiem... Rozpadam się na miriady małych rączek, które zaciekle szukają, ścigają najmniejszą cząstkę wroga, zaciskają ją między malutkimi paluszkami, miażdżą z chrzęstem. Już widzę, już wiem, że robię to niepotrzebnie. Przeciwnika nie ma. Wiem o tym i tym bardziej szaleję, miotam się po eterze, chwytam najmniejszy strzęp wyczuwalnej wrogiej materii. Za każdym razem jest to samo, zawsze jest tak samo, ze wszystkimi jest tak samo. Zawsze istnieje obawa, że trafię na „swojego” espa, chociaż tłumaczą nam, że to niemożliwe, że mamy swój zapach, który pozwoli na bezbłędną identyfikację, że unika się jednoczesnych seansów w skali kraju.

Przytomnieję.

Wracam.

Muszę poczekać, aż mnie zabiorą.

Czekam.

Ósmy seans.

Tam też czekają na powrót, chociaż już wiedzą, że nic nie wróci.

Wracam, ja wracam.

Tym razem ja...

Porucznik Brownell szarpnął udami, jakby chciał je unieść do góry i natychmiast zrezygnował z tego ruchu. Zafalowały palce. Otworzył oczy i zobaczył przed sobą płytę wzmacniacza. W tej samej chwili gdy uświadomił sobie, co widzi, wzmacniacz zaczął wyłączać poszczególne sekcje. Tylko wąski pas nad ekranem centralnym nigdy nie był wyłączony. Ktoś umieścił na nim włączony automatycznie po zwycięskiej walce napis: „Zwycięstwo”!

Głęboko zaczerpnął powietrza. Poczul czyjąś dłoń na ramieniu i zdziwiony odwrócił się. Po prawej stronie, nieco cofnięty za fotel stał Simi Kusley. Milt zdarł z głowy hełm, czubkiem buta wyłączył wzmacniacz. Poderwał się i odwrócił do Simiego.

- Nowe zwyczaje? Powołamy do życia komitet gratulacyjno-powitalny? Co masz taką... - Przyjrzał się uważnie twarzy Kusleya. Nie dokończył zdania, zaczął inne: - Powiedz mi... Gadaj!

- Sabo idzie do doniczki - wykrztusił Simi.

- Nie wygłupiaj się... - wymamrotał Brownell, nie wierząc w taką możliwość. Simi milczał. - Przecież zabroniłem mu siadać na sedes?! To niemożliwe! - Złapał Simiego za koszulę na piersi i szarpnął. - Miał siedzieć i pisać swoje wiersze. Dlaczego...

- Zszedł tu kapitan Screwbury i akurat odezwał się hunter. Sabo siadł i odleciał...

- Screwbury? Screwbury. - Milt zacisnął pięści. - Ty gnido... - powiedział w powietrze.

Stali nieruchomo. Prócz kilku optycznych wskaźników cała centrala zamarła w bezruchu. Kusley poruszył brwiami i ciężko ruszył w kierunku kasy z napojami. Milt, jakby bał się zostać sam obok swojego fotela, ruszył za nim, ale nie zatrzymał się przy podajnikach, wszedł do sanitariatu i wsadził głowę pod kran z lodowatą wodą.

Wiedział, że będzie musiał wyjść na powierzchnię, ale nie czuł się jeszcze gotów do tego. Wrócił do centrali i łapczywie wychylił kubek plattoli podany przez Simiego.

Nalał sobie drugi i wypił równie zachłannie.

- Co się dzieje na górze?

- Hal siedzi z Delfem. Sabo jest w gabinecie lekarskim, dobierają mu legendę. Day ryczy u siebie, a Jasper pewnie szuka kogoś, kto założyłby się na temat tego, co się teraz będzie tutaj działo.

- A co się będzie działo?

Simi popatrzył na Milta i wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, że ty to wiesz - mruknął.

- Ja też. Mam nadzieję, że spłynie na mnie natchnienie... - wystukał na zegaretkę kod generała Morra i gdy zgłosił się sekretarz, zapytał: - Czy generał jest już na łączności?

- Niestety, poruczniku. - Sekretarz wyglądał na zaniepokojonego. - Nie zgłosił się o wyznaczonej porze, uruchomiłem pobliską jednostkę. Mają zejść do tej jaskini i w ciągu mniej więcej godziny dać znać, co się dzieje - odczekał chwilę i dodał: - Przykro mi z powodu sierżanta Volperta...

- Zadzwoń za godzinę - rzucił Milt i rozłączył się. Nie po raz pierwszy przemknęła mu przez głowę myśl, że sekretarz Morra zachowuje się, jakby przegryzł kordon tajemnicy wokół „Topsy”. - Co lekarze mu zapiszą?

- Dawno nie mieliśmy pobytu w polu magnetycznym wysokiego natężenia - obojętnie mruknął Simi. - Tu nie ma problemu...

Milt zrozumiał, że Kusley, i pewnie cała reszta, oczekuje od niego działania. Rzucił kubek na podłogę i zanim usiadł w fotelu, zapalił papierosa. Wypalił go do połowy w milczeniu, Kusley wypił pół kubka wody mineralnej i również usiadł.

- Mam przecucie, że czekają nas duże zmiany - powiedział bez związku z sytuacją.

- Ostatnio nasiliły ci się przecucia - warknął Milt zły, że Simi wytrąca go z rozważań.

- Zgadza się.

Milt popatrzył na niego. Simi, nie mając pewności co do swojej racji, nie wygłaszał takich oświadczeń. Przypomniawszy sobie dwie fale empatii, które niespodziewanie wychwycił wczoraj.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic więcej. Mam przecucia. - I widząc, że Milt się krzywi dodał: - Od pewnego czasu zacząłem miewać przecucia. I sprawdzają się. Nie są to precyzyjne przewidywania przyszłości, wyczuwam tylko zmiany. Na przykład wiesz, że z Day coś jest nie tak?

Milt skinął głową i rzucił niedopałkiem w kierunku otworu spalarki. Kłapa

błyskawicznie się uchyliła i równie szybko zamknęła po przełknięciu niedopałka.

- Nie kończy seansów - powiedział. - Potrafi uciec. Dobre, co?

Simi Laza Kusley zastanawiał się kilkanaście sekund nad słowami Brownella, ale nie skwitował jego wypowiedzi w żaden sposób.

- Czułem też, że coś się stanie, zanim Screwbury pojawił się w jednostce, a potem to już poruszałem się w całej chmurze przeczuć. Nie mówiłem ci nic, bo i tak nic nie można było zmienić. Teraz nie mam tak mocnych przeczuć

- Muszę poczekać na Morra. Niech zabierze tego bydlaka z moich oczu...

- To nie rozwiązuje wszystkich problemów - zdecydowanie oświadczył Kusley.

- Wiem... Jest dziura w osłonie. Trochę potrwa, zanim uda się ją załatać, jeśli w ogóle się uda. Też mam przecucie, że jeśli ruszy się ten chwiejny układ...

Kusley wstał i ruszył do windy, ale już stojąc w kabinie, zablokował stopą drzwi i powiedział do Milta:

- Gdy mówiłem, że nie mam tak mocnych przeczuć, nie znaczyło to, że są słabe.

Poza tym trzeba uważać na Delfa, to już nie jest przecucie... - Cofnął nogę. -

Przynieść ci piwo?

Milt zdążył pokręcić przecząco głową, zanim drzwi niczym olbrzymia migawka przesłoniły postać Kusleya. Długą chwilę siedział nieruchomo, nie czując, że plama wilgoci na bluzie sięgnęła od kołnierza do połowy piersi. Obracał w dłoniach papierosnicę i w końcu wyjął z niej papierosa. Przekonany, że nie będzie mu smakował. Zaciągnął się tylko dwa razy, reszta wypaliła się sama pod uważnym spojrzeniem porucznika. Ściana wzmacniaczy za jego plecami sennie meldowała swą gotowość, gdzieś na górze zapłakany Delf tulił się do beczkowatej piersi Hala i przysięgał zemstę. Druga ofiara taktyki kapitana Tomasa Screwbury'ego. Trzecią najprawdopodobniej będzie Day, chyba że zwolnią ją z oddziału, co najprawdopodobniej pozwoli jej przeżyć jeszcze kilka miesięcy. Ludzie, którzy podejmowali walkę w oddziałach espów, skazani byli, zdaniem lekarzy, na samobójstwo. I byli tego świadomi, choć nikt im tego wprost nie mówił. Porucznik Brownell na chwilę oderwał myśli od Day, zastanawiając się, w jakiej mierze dotyczy to również jego. Zanim sobie odpowiedział, zaterkotała zigaretka. Wystraszone plaśnięcie dłoni i kilka nerwowych uderzeń w klawiaturę wywołało na najbliższy ekran twarz zdenerwowanego sekretarza generała Morra. Brownell poderwał się z fotela, rzucając na podłogę czterocentymetrową resztkę papierosa.

- Generał Morr znajduje się na oddziale interreanimacji! - szybko wyrzucił z siebie chorąży. - Trafił w tej jaskini na wyrzut gazów. Stan ciężki. Tyle wiem w tej chwili...

Milt patrzył na niego zdrewniałym spojrzeniem, nie zareagował nawet na zniknięcie sekretarza z ekranu. Zastanawiał się jeszcze chwilę i ruszył do windy. Gdy znalazł się na poziomie mieszkalnym, zdecydowanym krokiem ruszył do biura. Całym sobą zaatakował i rozpedził falę wątpliwości. Spokojnym ruchem powiadomił kapitana Screwbury'ego o swoim przybyciu i wszedł do jego biura. Tomas Screwbury nie wyglądał tak pewnie jak kilkanaście godzin temu, zanim Milt wyruszył w eter, ale też nie miał zamiaru - i to mu się udało - zamartwiać się specjalnie. Porucznik, lekceważąc regulamin, zbliżył się do biurka.

- Tylko bez historycznych scen, poruczniku - wygłosił przygotowaną zawczasu kwestię Tomas Screwbury. - Jestem dowódcą oddziału i ponoszę całkowitą odpowiedzialność za wszystko, co się tu dzieje dobrego i złego. Byłem przygotowany, że nie wszystko od razu pójdzie gładko...

- Ale Sabo nie był!

Milt sięgnął do klawiatury i zanim Screwbury zdążył zareagować, odłączył, identycznie jak podczas rozmowy z Ellą Readlef Trewinkard, całe biuro od łączności. Kapitan zaczął podrywać się z fotela, ale mocne uderzenie w ramię rzuciło go z

powrotem na siedzenie.

- Posłuchaj mnie, idioto! - wycedził Milt. - Natychmiast pójdziesz do lekarza i zameldujesz, że przebywałeś krótko w tym samym polu co sierżant Volpert i za godzinę znikniesz z tej jednostki. Na własne żądanie! Zapomnisz o całej sprawie, o espach i swoim tu pobycie. Inaczej, ty pieprzony głąbie, który przysłużyłeś się swojej ojczyźnie najgorzej jak mogłeś, zostaniesz zlikwidowany! Nie zabity - pokiwał palcem przed nosem purpurowego Screwbury'ego - ale zlikwidowany. Wyczuwasz, baranie?

Odsunął się nieco od kapitana. Tamten zrozumiał, o co chodzi Brownellowi, zerknął na szufladę, w której pewnie leżał jego pistolet. Pozostawał nieruchomy. Milczał.

- Jak najszybciej zrozum, że przez jakieś idiotyczne przeoczenie otrzymałeś najtajniejsze z możliwych informacje. Przez równie idiotyczny zbieg okoliczności stałeś się dowódcą oddziału, ale nadal nie dociera do ciebie, że nie masz bladego pojęcia o espach i wojnie. I najlepiej będzie, jeśli zafundujesz sobie jeszcze w tej jednostce szybkie selektywne pranie pamięci, to może przedłużyć twoje życie. Natomiast najmniejszy cień podejrzenia spowoduje, że zrobię to, czego oczekuje ode mnie oddział i co jest najlepsze dla kraju - zlikwiduję cię. Tylko wtedy będę mógł zażądać od espów kolejnych seansów. Ale zaryzykuję...

Odsunął się jeszcze o pół kroku i wskazał kciukiem drzwi. Kapitan z siną twarzą, poszatkowaną na skroniach siecią nabrzmiałych żył, zastanawiał się jeszcze chwilę, ale nie sięgnął do szuflady.

- Nie ma tu żadnych twoich rzeczy - powiedział Milt, wciąż trzymając kciuk wycelowany w drzwi. - Możesz więc natychmiast wykonać polecenie. - Spróbował jeszcze raz sprowokować Screwbury'ego: - Wypieprzaj stąd!

Tomas Screwbury wbił się palcami w fotel, jakby ten trzymał go w swych metalowo-polimerowych objęciach, na ułamek sekundy oderwał spojrzenie wytrzeszczonych oczu od twarzy Milta, ale obaj wiedzieli, że nie sięgnie już po broń.

Brownell nie usunął się nawet o milimetr i nie opuścił wciąż uniesionej dłoni. Screwbury sztywno dotarł do drzwi i zatrzymał się.

- Tylko się odezwij! - powiedział z nadzieją w głosie Milt. - Marzę o tym...

Odwrócił się twarzą do Screwbury'ego, ale tamten mechanicznym ruchem, niczym archaiczna marionetka, uniósł dłoń i uruchomił klamkę. Po pierwszym kroku zniknął Miltowi z oczu. Brownell odczekał kilka sekund, potem włączył podgląd na korytarz i patrzył, jak jego dowódca nierównym, dygoczącym krokiem opuszcza blok DEU. Kilka minut później oderwał się od ekranu pokazującego pusty korytarz i starając się nie rozlać ani kropli, nalał sobie pół szklaneczki czystej whisky. A potem równie starannie wylał ją do umywalki i wyszedł z biura.

### Rozdział III

Morr, lżejszy o pięć kilogramów, z twarzą, którą ktoś ociosał krzywym dłutem: wystrzony nos, wysunięty do przodu, zapadnięte oczy w ciemnej polewie, utkwiał spojrzenie w suficie swojej izolatki i oblizwał błyszczące od kremu wargi.

- Nie mam żadnych zastrzeżeń do twoich decyzji - powiedział z leciutkim wahaniem w głosie.

- No to jakie masz? - niecierpliwie rzucił Milt. - A ja też ci powiem co, moim zdaniem, zrobiłem źle.

Niclas Morr zyskał na czasie, podnosząc się i sięgając po smukły, lekki cylinder z ciemną, gęstą, aromatyczną cieczą. Znad brzegu naczynia spojrzął na Milta. Wyraźnie zwlekał z odpowiedzią, ratował się kilkoma wymuszonymi łykami płynu, ale naczynie miało ograniczoną pojemność.

- Nie ma problemu z przyszłością - powiedział w końcu. - Awansujesz na kapitana, po tym wypadku i rezygnacji poprzedniego dowódcy nie będzie to wyglądało dziwnie. Tak więc nie ma z tym problemu, kapitanie Brownell. Natomiast gorzej wygląda sprawa z tym, co już się stało...

- Straciliśmy obu Volpertów - zdecydowanie powiedział Milt, zupełnie nie poruszony faktem, że jego oficjalny stopień zbliża się do rzeczywistego. - Za nic nie będę nawet przekonywał Delfa, by zbliżył się do corralu. A on sam nie siądzie. To samo dotyczy niemal w tym samym stopniu reszty zespołu.

- Wiem, ale nie to mam na myśli...

- No to wyrzucić w końcu coś z siebie! Mam ci zaaplikować lewatywę?

- Myślę o... Screwburym. Czy on będzie milczał?

- Nie wiem... Z jednej strony na pewno jest na mnie wściekły, z drugiej, mimo swojej tępoty, swoistej tępoty, wygłaszał tyrady o tym, jak leży mu na sercu dobro armii.

Jeśli to prawda albo jeśli sam siebie przekonał o tym, nie powinien szkodzić swojej umiłowanej.

- Czy on ma jakąś rodzinę? - szybko wyrzucił z siebie Morr, właściwie bez związku z oświadczeniem Milta.

- Żonę i córkę.

- Jesteś zorientowany. - Jakby z ulgą uśmiechnął się generał.

- To, o czym myślisz, też przyszło mi do głowy...

- I co?

- Dobro sprawy wymaga uruchomienia sekcji specjalnej, porwania kobiet i wymuszenia na Screwburym, by poddał się czystce. Ale ja umyвам ręce. To świństwo i nie chcę mieć z tym nic wspólnego!

- Ale zrobiłeś wywiad?!

Brownell westchnął głęboko i podrapał się po nosie. Przetarł dłonią czoło.

- Tak - przyznał. - To chyba naturalne. Ale po zastanowieniu się doszedłem do wniosku, że Screwbury będzie trzymał gębę na kłódkę.

- A jeśli uzna, że dla dobra armii trzeba zrobić z tego aferę?

- Rzeczywiście, to jest jedyny słaby punkt. Jego prawdziwe czy pozorne oddanie...

Nie wiem...

- Nie wiem! Nie wiem! Twój awans nastąpił chyba przedwcześnie.

- Jedno możemy zrobić bez krzywdy dla zainteresowanych stron: przydzielić mu cenzuranta.

- O! - Poderwał się Morr. - Jesteś genialny...

- Wiem. Daj mi hasło na uruchomienie specjalistów.

- Zaraz... Dwa słowa sześć dziewięćdziesiąt osiem. Opracujesz słownik inicjatywny?

- Oczywiście. - Brownell wstał i tupnął nogą, poprawiając zadartą nogawkę. - Za



kilka godzin odwiedzę cię jeszcze raz albo zadzwonię.

Pół godziny później wywołał speckomę i zachowując incognito, bez podglądu wizyjnego i przez modulator głosu wydał szczegółowe polecenie, składające się z kilkunastu słów. Potem wyszarpnął z kasy dostawczej karton ze ściśle upakowanymi kwadratowymi puszkami wooslebba i rozwalił się na kozetce w oczekiwaniu meldunku zwrotnego.

Płaski jak naleśnik godard wsunął się niemal bezszelestnie na parking w chwili, gdy Tomas Screwbury kończył przekładanie sterty zakupów do swojej limfietty. Spojrzenie kapitana przesunęło się po karoserii, zresztą nawet wzrok nie mógł się na niej zaczepić, ale jego serce drgnęło i wykonało kilka konwulsyjnych skurczy. W prawym boku godarda pojawiła się szczelina, rozrosła się do szerokości drzwi, przez które wygramolił się młody, niechlujnie ubrany trappie. Z drugiej strony wyskoczyła młoda dziewczyna w śmiesznym, kolorowym trykocie z bufiastymi rękawami. Oboje, nie zwracając uwagi na otwarty na przestrzał ener-gocar, poszli na ukos przez parking. Screwbury wyprowadził wózek na alejkę trasansportową. Kilka sekund przyglądał się godardowi, a potem zrobił dwa kroki w kierunku tego wozu, wytwarzanego wyłącznie na specjalne zamówienie. Trzeci krok wyprowadził go na trasę wyjeżdżającego właśnie z dużą szybkością z szeregu zaparkowanych wozów dużego beat-boya. Screwbury rozpaczliwym skokiem usiłował uniknąć zderzenia z masywną maską, ale było już za późno. Miał świadomość powolności swoich ruchów, nie wiedział tylko, że spowodowana jest strumieniem zakłócającego działalność sensomotoryczną gazu, który od kilku chwil wątlym, niewidzialnym obłokiem otaczał jego wóz. Beat-boy wyhamował, zanim kapitan Screwbury osunął się na gładki. Z kabiny sterującej wyskoczył gruby, szpakowaty jegomość i rozejrzał się bezradnie, jakby szukał świadków swojej niewinności. Młodzian z godarda elastycznym krokiem zbliżył się do bezwolnego ciała, za nim biegła jego dziewczyna z wystraszonym spojrzeniem, przygryzając dolną wargę.

- Widzieliście? Zemdlął mi tuż przed maską! Nawet go nie dotknąłem. Możecie sprawdzić zapis w wozie... - rozdygotanym głosem zatrąkotał kierowca ciężarówki.

- Widziałem! Co innego widziałem! - wrzasnął trappie i rzucił się na gładki obok kapitana. Chwilę leżał, usiłując na słuch stwierdzić, czy Screwbury oddycha. - Doopie! Dawaj wóz, zawieziemy go do szpitala.

Zerwał się na nogi i rozejrzał, szukając innych świadków wypadku.

- Hej! Będziesz świadczył! Chodź tu - wrzasnął do wysokiego mężczyzny, który prawie do pasa wystawał ponad samochody na parkingu. Drągał zanurkował pomiędzy samochodami i zniknął z pola widzenia. - A to wred jeden - wycedził trappie i popatrzył na drepczącego w miejscu kierowcę. - Mam twoje numery, nie próbuj brykać. Jedziesz z nami do szpitala!

Godard pisnął cienko, gdy dziewczyna zahamowała przy nich, we trójkę szybko ułożyli Screwbury'ego na szerokiej tylnej kanapie i młodzi ludzie runęli w kierunku bramy parkingu. Beat-boy dostojnie posuwał się za nimi, niebezpiecznie pochylając się na zakrętach. Przyjechał pod szpital, gdy Tomas Screwbury miał już sklezione rozcięcie głowy i właśnie przychodził do siebie. Trappie z dziewczyną i kierowca transportera czekali razem kilka minut, zaróżowiony po pneumomasażu kapitan wyszedł na korytarz w towarzystwie lekarza.

- To on pana grzmotnął! - Poderwał się trappie, najwyraźniej przejęty swoim udziałem w ratowaniu Screwbury'ego. Wskazał palcem roztrzęsionego kierowcę.

- Przecież ja pana nawet nie dotknąłem - jęknął tamten. - Chyba pan pamięta? Screwbury potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

- Nie mam do pana specjalnych pretensji, bo chyba za szybko wyszedłem na drogę... Chciałem obejrzeć z bliska wasze чудо - wyjaśnił młodemu. - Ale pana transporter mnie walnął, to inna sprawa. Jest pan ubezpieczony?

- Oczywiście!

- No to nie ma problemu. Chodzi tylko o koszty klejenia mojej mózgowicy

- Więc nie ma sprawy! - ucieszył się kierowca.

- Łatwo się wykpiłeś! - niechętnie warknął młodzieniec.

- Dajmy spokój... - Machnął dłonią Screwbury. - Dziękuję panu za dostarczenie moich zwłok tutaj - uściskał dłoń właściciela godarda.

- Nie ma za co - skromnie powiedział trappie. - Myślałem, że to coś poważnego - dodał jakby z żalem, że tak nie było.

Screwbury wrócił do gabinetu, aby poczekać, aż dostarczą do szpitala jego wóz i łyknąć jeszcze jedną porcję witalików. Trappie z dziewczyną i kierowca transportera zjechali jedną z wind na dół i rozstali się. Na pożegnanie młody trappie niechętnie uściskał wyciągniętą z przeproszającym gestem dłoń sprawcy wypadku i krzywiąc się mruknął:

- Ja zamelduję o wynikach. I Birda. Ty jesteś wolny.

Dziewczyna nie brała udziału w pożegnaniu, wyszła ze szpitala pierwsza i pierwsza wsiadała do limuzyny. Kapitan Screwbury czuł się bardzo dobrze, dwa razy dość mocno zapulsowało mu w skroniach, tak że musiał syknąć i złapać się ręką za głowę. Akurat wtedy jakiś młody facet usiłował sprzedać mu udziały w stadionie miejskim, ale zdenerwowany kapitan dość bezceremonialnie już po drugim zdaniu zatrzaskał mu drzwi przed nosem. Nie zrażony jego zachowaniem młodzian proponował swoje udziały w kolejnych trzech domach na ulicy, a potem wsiadł do samochodu i wystukał czterocyfrowy kod.

- Cenzurant działa znakomicie - powiedział po sygnale odbioru. - Jeśli tylko ustali pan wystarczająco szczelny słownik, to nigdy w życiu nie zdoła sypnąć się z tym, z czym sypnąć się nie powinien. Ile ma pan słów kluczowych?

- Dwieście. Wystarczy? - usłyszał w uchu odpowiedź.

- Najzupełniej - uspokoił rozmówcę. - Musi być dużo imion własnych, nazw, a potem coraz szerzej czas - data, miejscowości...

- To wiem - przerwał dziwny, przetworzony elektronicznie głos. - Zasięg?

- To już nasze zmartwienie - zapewnił młody. - Do odwołania albo do końca życia będzie na naszym stanie. Z zasięgu nie wyjdzie nigdy.

- Dziękuję. - Rozmówca rozłączył się.

Milt Brownell zadowolony z wyników rozmowy i wcześniejszej akcji dokończył puszkę piwa i udał się do sanitariatu, sprawdzić działanie swojego pisuaru. Jeszcze bardziej niż przed chwilą zadowolony wrócił do pokoju i zajrzał do kartonu. Absolutnie nie było powodu do niezadowolenia. Po raz pierwszy od trzech dni.

Sierżant Barnaba obracał w palcach paczkę niskokalorycznego żelu. Żel miał ohydny smak i zapewne na tym polegało jego odchudzające działanie, ale nie dlatego Hal miętosił paczkę, nie decydując się na jej otwarcie. W zakłopotanie i rozterkę wprowadziło go oświadczenie Delfa Volperta. Dwie doby temu, gdy Simi wyrwał go z łóżka i kazał zająć się Delfem, podjął się tego zadania z właściwą sobie niezdarnością, ale to wystarczyło - zrozpaczony Delf potrzebował kogokolwiek, kto wysłuchałby jego płaczu, położył dłoń na ramieniu, podał kolejną paczkę kleenexu. To akurat Hal Barnaba potrafił zrobić, a wdzięczność bijąca z oczu Delfa dała mu więcej satysfakcji niż wszystkie walki w eterze razem wzięte. Chwilę temu Delf, od rana zachowujący się prawie normalnie, powiedział:

- Zabiję go. Muszę to zrobić... Inaczej nie będę mógł żyć.

Barnaba milczał chwilę, rozważył kilka wariantów swojego zachowania, od ogłuszenia Delfa, poprzez poparcie i nawet pomoc w wykonaniu zamierzenia aż po zawiadomienie Milta, ale żaden z wariantów nie wydał mu się pozbawiony wad. Dlatego w milczeniu ugniatał kostkę żelu.

- Wiesz... - zdecydował się w końcu coś powiedzieć, cisza wydłużyła się poza granice, w których stosunkowo łatwo jest się odezwać, choć zupełnie nie miał pojęcia, jak skończy zdanie. - Zabijanie to wstrętna sprawa - wykrztusił. - W ogóle przemoc - przypomniał sobie, że homoseksualiści nie znoszą przemocy, nie wziął jednak pod uwagę, że rozpacz po utracie partnera zmienia całkowicie kochanka.

- To żmija! - wyszeptał z przejęciem Delf. - Trzeba ją rozdeptać, gadzinę. To niemożliwe, żeby człowiek, który spowodował tak głupią śmierć... - zatrząsnął mu się wargi, ale zapanował nad sobą - Sabo... On go zabił. Niskie pobudki. Egoizm. Muszę go zabić. Czuję, że Sabo tego chce, jego dusza...

- Przecież Sabo żyje - zaproponował Hal.

- Żyje - zgodził się Delf i po raz pierwszy od swojego oświadczenia podniósł wzrok i popatrzył w oczy Hala. - Ale jest oddzielone ciało i dusza, ja to wiem, czuję. Sabo rozmawiał ze mną w nocy - zwierzył się Halowi. Odczekał chwilę, ale ponieważ powolny Barnaba po prostu nie zdążył zareagować, ciągnął dalej. - Pytałem go, co trzeba zrobić. Długo myślał, nie czułem w jego słowach złości, ale w końcu powiedział, że tacy jak Screwbury są niebezpieczni. Dla wszystkich. Nie namawiał mnie, ale przecież my się znamy - żarliwie, jakby chciał przekonać Hala, powiedział Delf.

Milczenie i bezruch Hala przyjął z aprobatą, zresztą Barnaba wiedział, że cokolwiek powie czy zrobi, i tak nie wybije młodszemu Volpertowi tego pomysłu z głowy. Rozterka całkowicie unieruchomiła Hala. Wodził oczami za Delfem, który z błyszczącymi jak w gorączce oczami biegał po pokoju najpierw w poszukiwaniu broni, potem ubrania, w którym mógłby ją ukryć. W końcu podbiegł do Hala i przykucnął przy siedzącym nieruchomo koledze. Ścisnął kilka jego palców w swoich dłoniach i łagodnie popatrzył mu w oczy.

- Zrozum, Hal, nie będę czuł się człowiekiem. Muszę... Dla Sabo, dla samego siebie. Rozumiesz mnie? Mogłem się godzić z wrogością świata, ale miałem oparcie w Sabo...

- Wiesz, że jestem twoim przyjacielem - wymamrotał skrzepowany Hal.

- Wiem. Ale muszę być godny twojego uczucia.

Delf poderwał się i zanim Hal zdążył zareagować w jakikolwiek sposób, pocałował go w policzek. A potem wybiegł z pokoju.

Barnaba siedział nieruchomo. Wewnętrznie miotał się na wszystkie strony, ale już dawno temu, między innymi z powodu wymiarów nauczył się, że powinien zawsze najpierw zastanowić się, a dopiero potem ruszać. Dlatego też dopiero po czterdziestu minutach westchnął i płasko uderzając dłońmi w kolana, wstał i poszedł do kwatery Milta.

Brownell przyjął go z radością, całkiem sprawnie wyłuskał z kartonu jedną z kilku jeszcze pełnych puszek i rzucił dość dokładnie w kierunku Barnaby.

- Świetnie, że jesteś! Wreszcie ktoś przyszedł. Siadaj, byku. Najpierw się napij, a potem poproszę cię, żebyś przyniósł z tamtej, o! - wskazał palcem - kasety drugi karton.

Hal nagle przeraził się. Zalała go fala odpowiedzialności za Delfa, Screwbury'ego, Milta, po raz pierwszy w życiu wystraszył się czegoś jak dziecko pioruna, jak kobieta pająka. Rzucił z całej siły puszką w ścianę, mała, cicha eksplozja złamała monotonną płaszczyzną ściany.

- Nie lubię tych pseudookien - poskarżyła się Ella Readlef. - Chciałabym, żeby je wymieniono na zwykłe.

W jej głosie brakowało zdecydowania, co natychmiast wyczuł szef ochrony. Uniesieniem brwi zmanifestował swoje zdziwienie.

- Ależ to jedyne naprawdę bezpieczne okna, pani prezydent - powtórzył swój argument sprzed trzech dni. - A poza tym, niezależnie od miejsca przebywania, dają możliwość obserwowania wszystkiego, co się dzieje na zewnątrz. To jedno z lepszych zastosowań holografii.

- Już trzeci raz wzywam pana w sprawie tych okien, a pan ciągle uważa je za ósmy cud świata!

Mężczyzna cierpliwie uśmiechnął się i rozłożył ręce w geście: co ja na to poradzę?

- No dobrze, kolejny raz ma pan przyjemność oglądania mnie z białą flagą w ręku. Wolę to niż kordon żołnierzy pod oknami.

- Właśnie...

- W takim razie dziękuję panu.

Major zasalutował i wyszedł. Bezgłośnie, jak na filmowym ekranie z wyłączonym dźwiękiem, zamknęły się za nim drzwi. Ella chwilę przyglądała się holooknom, przenosząc spojrzenie z jednego na drugie i usiłując przyłapać któreś z nich na oszustwie, ale synchronizacja była bez zarzutu. Kilka razy przemierzyła pokój z pochyloną głową

i nosem wetkniętym między złożone w modlitewnym geście dłonie. Potem zerknęła na ścianę z wtopionym weń kompem i zdecydowanie podeszła do niej. Płyta maskująca posłusznie odsłoniła ekran, a pulpit energicznie wyskoczył do przodu. Ella krótką chwilę wpatrywała się w komp, a potem szybko cofnęła się, podeszła do swej torebki, wyjęła z niej mnemonetkę i zdecydowanie wsunęła w szparę czytnika. Na ekranie zapulsował napis:

NIE PODLEGA KOPIOWANIU. JEDNOKROTNE ODTWARZANIE. DANE PODSTAWOWE, NIE PODLEGAJĄ ROZSZERZENIU.

- Mój ty ostrożny Brownellu! - parsknęła Ella. Nie odrywając spojrzenia od ekranu, przysunęła po omacku fotel i usiadła przed kompem.

### *Impresja I*

*...zbliża się a ja nie uciekam czekam wiem o co mu chodzi i on też wie wie że nie będę uciekał że poczekam zbliża się wdziera się pozwalam na to ale nie tak jak on chce to nie on będzie władcą tego małego świata o który obojgu nam chodzi teraz już poczuł że się pośpieszył łatwo jest wejść tu do mnie nie to jest sukcesem ja od początku wiedziałem że chodzi o wyjście wygra ten z nas który odejdzie biedny mały nie wolno żałować że on tu wszedł z zamiarem zabicia mnie jest teraz w gorszej sytuacji ale nie znaczy to że już przegrał szarpie się powiększa koszmarne boli ale wiem że jeśli zechcę ulżyć sobie to on to wykorzysta zwieram się ściskam go miażdżę ale on wywija się jakby był polany olejem muszę go trzymać żeby nie uciekł i jednocześnie zgniatać dusić rozbij go rozbij bo pęcznieje brakuje mi sił mogę tylko trzymać chyba udawał osłabienie dopiero teraz zaatakował z całą furią miota się już nie wiem gdzie jest czy w ogóle można jeszcze nas rozdzielić on gdzieś tu i ja otaczający go ze wszystkich stron a może już zliśmy się w jedno wymieszani krążymy nie mam już wnętrza nie ma mnie tylko ból Plazma we mnie trudno nie udało się on*

*będzie nie nie nie gaśnie to on jest wyczerpany bardziej niż ja mam go już teraz po prostu jest we mnie ale teraz to jest zupełnie co innego rozkosznie chłodny drażni oplatam go wsysam chłonę każdy atom jest go coraz mniej zanika dlaczego jestem gotów zacząć od początku przeżyć wszystko jeszcze raz byle dalej od tej chwili ponurej już go nie ma sam nie lubię być sam muszę wracać nie chcę muszę jeśli zostanie następny mnie zabije trzeba odpoczywać smutno*

AUTOR: I.J.

WIEK: 27.

PŁEĆ: do dwudziestego czwartego roku mężczyzna. Po zabiegu - kobieta.

MIEJSCE POBYTU: klinika w Redrop.

PRZEBIEG SŁUŻBY: po lecz...

Ella, czując, że za chwilę zadławi się nabrzmiałą w gardle kulą obcych mięśni, szybkim ruchem sięgnęła do klawisza zatrzymania i odskoczyła od ekranu. Prawie biegiem dopadła skromnego barku i szybkimi ruchami wydobyła stamtąd butelkę koniaku. Chlupot nalewanego do kieliszka alkoholu nienaturalnie głośno zabrzmiał w pokoju. Stojąc tyłem do ekranu, opróżniła kieliszek i odstawiła butelkę na półeczkę. Stała jeszcze chwilę, obejmując kieliszek dłońmi, a potem wróciła do ekranu i nie wypuszczając naczyń z rąk, zasiadła przed kompem. Opuściła resztę danych o I.J.

### *Impresja II*

*Powietrze mnie nie chce.*

*Wczoraj byliśmy kumplami. Wczoraj.*

*Dzisiaj błysk słońca podciął mi skrzydło.*

*Powietrze usłużnie wytyczyło mi ścieżkę do moich piór.*

*Z zemsty chwytam je w usta i tykam, niechętnie poddaje się.*

*Nie może mnie uniknąć. Czuję, że przestałem opadać. Trafiłem na prąd wstępujący.*

*Małe zawirowania przeszkadzają mi, lecz to wszystko, czym oni dysponują.*

*Nabieram wysokości...*

Po raz drugi dłoń Elli opadła na klawisz zatrzymania. Ekran zamarł przyczajony przed wyświetleniem kolejnych impresji. Pani prezydent wahała się chwilę, ale przypomniawszy sobie czołówkę mnemonetki, z westchnieniem uruchomiła odczyt, jednak wertowała już tylko impresje, szukając przynajmniej jednej odbiegającej od dwóch pierwszych. Ósma i tylko ta jedna okazała się w miarę zrozumiała.

### *Impresja VIII. Zbeletryzowana.*

#### *Ostatni diabeł*

*Piektło było zamknięte. Diabeł zawył. Przerażliwy dźwięk, mimo że niestyszalny dla człowieka, zburzył obłoki nad głową diabła, skotłował białe poduchy i rozpędził je, odstaniając czyste, błękitne niebo. Galhaer wyprostował palce i uderzył kilkoma błyskawicami w skałę tuż obok Kol-Chair, bramy do Piektła. Ostatniej, do niedawna otwartej bramy. Teraz była zamknięta. Galhaer otoczył swą postać plamą mroku i wewnątrz kokona ciemności runął na ziemię. Zaczął grzmocić w nią pięściami, przetaczać się z pleców na brzuch, uderzając kolanami, łokciami, głową w mokry piasek. Ubranie, jedno z arcydzieł Dismaelięgo, nasiąkło wodą i nabrało wyglądu szmaty z przedmieść Fuei, a fryzura, nad którą prawie godzinę pracował Dotso, najlepszy fryzjer Nowego Jorku, zamieniła się w kłębowisko mokrych strąków. Galhaer wbił twarz w piach i gryzł go wściekle. Gdy wypluwał garść, by nabrać nową*

porcję, piasek zmieszany z jego śliną dymił i rozlewał się ciemnozieloną plamą po zrytej plaży. Po kilku minutach opanował się, wstał i rozejrzał dookoła. Drgnięcie palca przywróciło do poprzedniego stanu ubranie i twarz, wyrównało skopany piasek. Diabeł zlikwidował kokon ciemności, w którym wyładowywał swą wściekłość.

Spojrzał na skałę pokrytą całą masą rysunków o różnym zabarwieniu politycznym i seksualnym. W płątaniu pikantnych rysunków ginęła podwójna gwiazda i ryty, którymi ktoś zamknął ostatnią, ósmą, tajną bramę do Piekła. Galhaer odwrócił wzrok i poszedł w kierunku wody, ominął splezający ku morzu jezior skały i, gdy brama zniknęła mu z oczu, przysiadł na kamieniu. Wyjął z kieszeni futerał z cygarami i zapalił jedno. Zdjął marynarkę, położył na kamieniu za plecami i oparł się o nią. Zamknął oczy i wystawił szczupłą, drapieżną twarz na działanie słońca. Przymknięte powieki nie przeszkadzały w kontrolowaniu otoczenia, a pomagały się skupić.

Osiem dni temu minęły dwa lata od czasu, gdy wezwał go do siebie Belzebub. Władca Piekielny siedział w Kręgu Poszóstnym, który bronił go przed innymi diabłami, pretendentami do tronu; mały, chudy pokurcz z podkrążonymi oczami, które miały wywoływać wrażenie zmęczenia i niemocy, i prowokować ewentualnych zamachowców do energicznego działania.

- Mardo-o-o... - powiedział Belzebub, ponad wszelką przyzwoitość przeciągając ostatnią samogłoskę, dzięki czemu drugie imię Galhaera nabierało obraźliwego znaczenia. O tym wszystkim stary śmierdziel wiedział doskonale i dlatego właśnie to robił. - Słuchaj, mój mały. - Podrapał się chudą łapką po nosie. - Ktoś chce nas załatwić. Słyszałeś coś o tym?

Galhaer skinął głową i rzucił się na wygodną sieć, która błyskawicznie się pod nim rozwinęła. Belzebub skrzywił się.

- Nie rób tego, Mardo-o-o... - jęknął. - Przecież wiesz, że pole Tery źle na mnie działa. - Małe oczka błysnęły, oceniając reakcję stojącego już Galhaera. - Przedwczoraj miał wrócić Unas. Nie wrócił. Osiemdziesiąty zaginiony. Rozumiesz? Aktualnie na Ziemi są tylko dwaj nasi bracia: Wielka Noga i Borga. Trzy lata temu, po pierwszych zaginięciach wstrzymałem eksplorację Ziemi. Takie przypadki zdarzały się również w przeszłości, ale w tej chwili mają tam rok dwa tysiące czterysta siedemdziesiąty drugi. W nic nie wierzą i od dawna nikt na nas nie polował, dlatego skuteczność naszych przeciwników po prostu mnie przeraża. Udasz się więc na Ziemię i wyjaśnisz tę sprawę. Ufam ci i wierzę, że dasz sobie radę. Zrób to, a na pewno... - przerwał nagle i znieruchomiał. Zamartł na chwilę, potem wrzasnął dziko i zerwał się na równe nogi. Galhaer ledwo zdążył otoczyć siebie polem Tery, gdy Belzebub jednym wściekłym gestem zmiotł w nicość część pałacu, w którym się znajdowali. W chaosie, jaki zapanował, Galhaer z najwyższą trudnością odparowywał uderzenia Matry. Chwilami widział olbrzymią postać Belzebuba demolującego całe połacie przestrzeni międzymetrycznej, a jego ryk słyszał cały czas. Wszystko nagle ucichło. Gigantyczny Władca Piekieł zawisł nad Galhaerem jak skała nad jabłkiem.

- Ktoś zamknął jedną z siedmiu bram do Piekła. Spiesz się i nie wracaj z niczym.

Galhaer zniknął w ułamku sekundy, nawet nie dlatego, że nie wystraszył się gniewu swojego pana; bardziej zależało mu, by nie zdradzić się z wiedzą o ósmej bramie. Zdawał sobie sprawę z tego, że tylko kilka diabłów wie o jej istnieniu i że on do tej garstki należeć nie powinien. Wyskoczył na Ziemię.

Początkowo nie mógł trafić na jakikolwiek ślad. Potem od razu znalazł czworo sług Belzebuba. Ktoś wyekstrahował z nich całą moc i zostawił jak puste tubki po paście do zębów. Galhaer rzucił się w wir poszukiwań pozostałych piekielnych braci. Odnalazł czternastu i zaniechał dalszych poszukiwań - wszyscy byli zamordowani w ten sam sposób. Zrozumiał, że pojawił się potężny przeciwnik, największy, jakiego miało Piekło. Półtora roku szalonej pracy, morderczych poszukiwań nie dało żadnego

wyniku. Przypadkiem, zupełnie niechcący odnalazł powłoki jeszcze trzech diabłów, ale nie trafił na najmniejszy trop ich zabójcy. Wykluczył własną nieudolność, a potem jakąś wyrafinowaną intrygę współplemieńców. Zrozumiał, że trafił na kogoś, kto posiadał całkowitą wiedzę o walce z diabłami i potrafił wykorzystać ją do zatarcia swoich śladów nawet przed nim, Galhaerem, najzdolniejszym z piekielnych komandosów. Zanim fakt ten z przeraźliwą jasnością opanował jego umysł, nieznanemu przeciwnikowi zamknął pięć z siedmiu bram do Pieła. W tydzień później, mimo wysiłków Galhaera, zamknięte były wszystkie. Diabeł rzucił się do ostatniej utajnionej bramy. Znalazł ją przymkniętą. Kol-Chair nie była, jak pozostałe, zamknięta na zawsze, mimo wściekłości graniczącej z szaleństwem Galhaer zauważył, że opieczetowana jest tylko podwójną gwiazdą i rytami. Znaczyło to, że ktokolwiek ją zamknął - O ile posiada odpowiednią wiedzę - może ją jeszcze otworzyć. Galhaer przyjął to za pewnik. Pozostawało zmusić człowieka, aby choć na ułamek sekundy uchylił Kol-Chair.

Diabeł odrzucił niedopałek cygara i splunął, bezbłędnie trafiając śliną w tłący się koniec, ale tym razem mało go ucieszył jaskrawy dowód absolutnego opanowania materialnej powłoki. Wstał, chcąc wrócić do samochodu, z którym pożegnał się godzinę temu i nagle zakółysał, chwytając równowagę utraconą pod wpływem pewnej myśli. Galhaer uderzył się pięścią w czoło: jego przeciwnik prędzej czy później odnajdzie go i postawi swoje warunki! Dlatego przymknął tylko ósmą bramę! Ludzie są tylko ludźmi i nie zmieniają się. Pewnie jakiś maniak, który poświęcił całe życie dla szantażowania Pieła. Może pragnienie nieśmiertelności, może władzy, może kobiet i złota. Dostanie to wszystko, ale zdradzi źródło swej potęgi! Wtedy będzie można zabezpieczyć się na przyszłość. A co do bramy - wystarczy jedna.

Galhaer, korzystając z samotności na plaży, ryknął głośnym śmiechem i zakrzuszył się. Po raz pierwszy zawiodły go zmysły: był przekonany, że w promieniu półtora kilometra nie ma żywego ducha, cały czas kontrolował przestrzeń wokół siebie, a trzydzieści metrów od niego, nieco z boku, tuż obok skalnego jezora na drodze do Kol-Chair stał człowiek.

Diabeł błyskawicznie odwrócił się. Mężczyzna stał nieruchomo. Był w jakiś sposób podobny do Galhaera - szczupły i wysoki, gęste, ciemne włosy tu i ówdzie poprzetykane pasemkami siwizny. Miał szare, bardzo jasne oczy, skierowane teraz na diabła. Lekki wiaterek od morza zwichrzył mu włosy na czubku głowy, poza tym obaj stali nieruchomo. Diabeł poruszył się pierwszy. Zanim przemyślał sytuację, żal, złość i gniew eksplodowały w nim. Uderzył nieznanego całą mocą swojego pola Tery. Mężczyzna nie wykonał żadnego gestu, stojąc w rozkwitłym nagle ognistym kokonie. Widząc nieskuteczność uderzenia, Galhaer opanował się, ściągnął pole i spokojnie popatrzył na przeciwnika...

- Mów. Czego chcesz? - zapytał, siadając na kamieniu.

Mężczyzna nie poruszył się. Galhaer zadrżał i nie zmieniając wyrazu twarzy, spróbował przeniknąć do umysłu wroga, ale od razu odskoczył oparzony zaklęciem. Zaskowyczał w duchu z bólu i wściekłości. Mężczyzna powiedział cicho:

- Nazywam się Coatch. Dick Coatch.

Galhaer nadstawił uszu. Czekał na dalsze słowa Coatcha, ale tamten zamilkł jakby wyczerpał temat. Diabeł szybko skierował część mocy na dedukcję, ale wynik był zerowy. Pokręcił głową. Coatch zrobił dwa kroki i również przysiadł na skale.

- Wykończę cię. - Galhaer poczuł, że skała pod nim mięknie. Przypomniał sobie osiemdziesięciu współbraci zabitych przez tego człowieka. - Zabiję cię. I zniszczę Pieło.

- Dlaczego? Po co? - Galhaer usłyszał, że zawodzi go aparat mowy.

- Głupie pytanie - powiedział Coatch i wyszczerzył zęby w wąskim uśmiechu. - Każdy normalny człowiek chciałby to zrobić, a ja chcę to zrobić bardziej niż inni. I

udało mi się. Wiesz o pozostałych bramach - nie otworzycie ich już nigdy. Wiesz, że jesteś ostatnim funkcjonującym jeszcze diabłem na Ziemi i wiesz, że nikt nie przyjdzie ci z pomocą. Mówię to, żeby do końca wyjaśnić sytuację. Jasne? - Pochylił się nieco w stronę Galhaera.

- Czego chcesz? - wykrztusił diabeł. Usłyszał swój chrapliwy głos, drżący i piskliwy jednocześnie, ale po raz pierwszy nie przejął się niesprawnym działaniem ciała rzeczywistego.

- Zemsta. - Coatch uśmiechnął się. Był to uśmiech wyraźny, ale tak cienki, że nie odstonił nawet skrawka zębów. - Powinieneś mnie pamiętać; nie tak często wasi pensjonariusze wracają na Ziemię - ostatnie słowa cedził wolno i wyraźnie, miał problemy z opanowaniem wybuchu.

Galhaer zdziwił się i nawet nie krył tego. Zaryzykował i na kilka sekund prawie wyłączył się z otaczającej rzeczywistości, by choć jednym zmysłem przebić się do Komnaty Wiedzy i uzyskać okrucieństwo informacji o Coatchu, ale blokada na Kol-Chair, choć niestała, dotyczyła nie tylko ciała mentycznego. Diabeł zrezygnował z przebiccia się do Pieła i skoncentrował wszystkie szesnaście zmysłów na ziemskim przeciwniku.

- Nie mam żadnych informacji o tobie - powiedział.

Coatch uniósł brwi i cofnął nieco głowę, brodą dotykając piersi. Sięgnął do kieszeni i wyjął futerał z papierosami. Wyjął samozapłonowego firemana i włożył go do ust. Wypuścił kłąb dymu. Galhaer zauważył, że jego palce drżą lekko. To drżenie udzieliło się umysłowi diabła.

- Jak się nazywasz? - zapytał Coatch.

- Galhaer - powiedział diabeł.

- Aha? - Pochylił głowę Coatch. - To dziwne, że nic nie wiesz. Przecież rzadko wychodzisz na Ziemię... - Mocniej pochylił głowę, bo dym wpadał mu do oka.

- Czasem wychodzę. To o czym mówisz, musiało się stać właśnie wtedy.

- No dobrze. Powiem ci, co ze mną było. Mam teraz masę czasu, możemy rozmawiać dopóki... - zawiesił głos - nie najdzie mnie ochota wygłosić formułę, której nazwę wy zastąpiliście określeniem Końcowa Rozmowa.

- Nie! - Galhaer zerwał się na równe nogi i zatupał nogami. Stopy w eleganckich kamaszach Healda utonęły w piasku, czyniąc gest śmiesznym.

- Właśnie że tak. - Tym razem Coatch uśmiechnął się szeroko. - Ale to za chwilę. Postuchaj. - Odrzucił papierosa i wychylił się w stronę rozmówcy. - Żyłem na początku dwudziestego pierwszego wieku, a hibernowany byłem w roku dwa tysiące pięćdziesiątym trzecim - nieuleczalna choroba i tak dalej. Właśnie poszukiwano kandydatów do wypróbowania nowej metody, więc się zgłosiłem na ochotnika. Teraz wiem, że zamrożono w ten sposób dziewiętnaście osób, ale do życia wróciłem tylko ja. I teraz zgadnij, gdzie byłem przez ponad dwieście lat?

Galhaer nie musiał zgadywać. Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego bezprecedensowa sprawa Coatcha nie zyskała rozgłosu w Piele. Pewnie Behemot znowu położył łapę na informacji, a teraz on, i całe Pieło zresztą, musiało odpokutować przez tego durnia.

- Chyba nie masz do nas pretensji o to, że prowadzicie takie życie, jakie prowadzicie - powiedział wolno. - Przecież wcale nie musieliście do nas trafić, prawda?

- Ja nie mam do was pretensji! - powiedział głośno Coatch, teatralnie wzruszając ramionami i nadając swemu głosowi przesadne zdziwienie. - Nie mam też pretensji do siebie - dodał. - Tym niemniej nie chcę, by ktokolwiek do was trafił. To wszystko.

- Zaraz. Tak nie można... - zaczął Galhaer, ale Coatch podniósł rękę i przerwał mu:

- No to co?

- Jak to? - Szatan poderwał się z kamienia.

- Tak to! - wyskandował Coatch. - Może i nie mam racji, może nie powinienem. Nic



*mnie to nie obchodzi. Spędziłem w Piekło ponad dwa wieki i przeżyłem tam tyle, że mimo iż nie jestem przesadnym altruistą, nie chcę, by nawet największy drań przeżył tam choć pięć minut.*

*- Postuchaj, przecież jest jakiś ustalony porządek - nagroda za zacne życie i kara za grzechy. Nie możesz tego burzyć dla własnego widzimisię. Tak nie wolno...*

*- A to wszystko po prostu nic mnie nie obchodzi. Nie po to poświęciłem walce z wami ponad trzydzieści lat, żeby teraz wspaniałomyślnie zostawiać wam furtkę. Odmawiałem sobie wszystkiego: odpoczynku, kobiet, radości, przyjaźni, miłości. Miałem tylko jeden cel...*

*Galhaer zadrżał wewnątrz. Pozornie słuchał Coatcha, ale część potężnego umysłu błyskawicznie analizowała wypowiedziane przez wroga zdanie i wyciągała zeń wnioski. Szatan zmaterializował za skalą dwie piękne dziewczyny i skierował je w stronę Coatcha. Żaden ruch z jego strony nie zdradził jakiegokolwiek działalności.*

*- ...i dopnę swego. Już dopiąłem, żebyś pękł, niczego nie zmienisz.*

*- A gdybyś spędził te dwa wieki nie u nas, to co: też byś miał pretensje? Też byś się mścił? Za wyrwanie ze stanu błogości?*

*- Nie zastanawiałem się nad tym. - Coatch ściągnął wargi i zerknął spod brwi na niebo. - Ale chyba nie. Przecież miałbym w perspektywie kilkanaście lat na Ziemi i powrót, no nie?*

*Szatan zawył w duchu. Na zewnątrz spokojnie sięgnął do kieszeni i zmaterializował w niej dwa cygara. Wysunął rękę z jednym w stronę Coatcha. Tamten bez chwili wahania wstał i podszedł do diabła. Wziął cygaro i pochylił się nad zapalniczką. Wypuścił dwa kłęby dymu, jeden po drugim i kiwnął głową z uznaniem. Galhaer przetknął ślinę i już miał rozpocząć kuszenie, gdy zobaczył drwinę w oczach Coatcha.*

*- Zdajesz sobie sprawę, że jeśli coś mi się stanie, nie masz żadnych szans na otwarcie ostatniej bramy? - zapytał od niechcienia Coatch.*

*Galhaer zwinął się w ognisty kłęb i runął w morze. Kula ognia uderzyła w wodę, wzniesając wysoką falę. Chmura pary z sykiem wzniosła się w górę, fala wyrzuciła na brzeg kilkanaście ugotowanych ryb. Szatan kilka razy wznosił się nad wodą i walił w nią z potworną siłą. Coatch z zainteresowaniem patrzył na popis diabła, który po kilkakrotnym ataku na wodę przeniósł się na plażę i wytopił około dziesięciu placków z piasku. Gdy wrócił do wytwornej postaci, którą się posługiwał od dwu lat, ciężko dyszał. Coatch natomiast spokojnie palił cygaro. Z tyłu doszło do nich skrzywienie piasku pod stopami wyczarowanych przez Galhaera dziewczyn. Człowiek odwrócił się, obrzucił dziewczyny niecierpliwym spojrzeniem i popatrzył na diabła.*

*- Był to bardzo ciekawy popis piekielnej akrobacji. Może jeszcze kiedyś poproszę cię o drugi taki.*

*Dziewczyny zbliżyły się. Były skończonymi pięknościami, ale Galhaer, korzystając z tego, że Coatch patrzy na niego, szybko dokonał kilku nieznaczących poprawek w ich wyglądzie. Podeszły bliżej. Szatynka odgarnęła z czoła pukiel włosów. Ten gest mógł pchnąć mocarstwo do wojny. Zapytała:*

*- Czy mogliby panowie wskazać nam drogę do parkingu? Trochę zabłądziliśmy... - Uśmiechnęła się delikatnie. Była krucha, lekka, zwiewna. Uosobienie niewinności. Druga - żywiol, burza zmysłów o ciemnorudych włosach i spojrzeniu, pod którym parowały męskie serca.*

*- Pójdźcie panie prosto plażą... - Uprzejmie wyszczerzył zęby Galhaer i wskazał ręką kierunek.*

*- Przestań się wydurniać! - ostro rzucił Coatch. - Zdenerwujesz mnie, jeśli będziesz stosował tak wyświechtane numery.*

*Diabeł spojrział mu w oczy. Coatch mówił poważnie. Dziewczyny za plecami człowieka zniknęły jak zdmuchnięte płomyki świec. Nawet się nie odwrócił i nie*

spojrzał na nie po raz drugi.

- Skąd wiedziałeś, że są moje? - zapytał diabeł.

- Przecież nie pozwoliłbyś nikomu normalnemu przeszkodzić nam w rozmowie... A! Właśnie! - Mężczyzna pstryknął palcami. - Żebym nie zapomniał: masz mnie odmłodzić. O jakieś osiemdziesiąt lat. I chcę być nieśmiertelny - dodał lekkim tonem, jakby chodziło o pożyczanie wykałaczki.

- O nie! - wyszczerzył zęby Galhaer. - Wybij to sobie z głowy. Ch-che!... Możemy się dogadać, to inna rozmowa...

- Żadnych umów! - Coatch po raz pierwszy uniósł głos. Wycelował w diabła palec. - Rób, co ci każę, bo pożałujesz!

- Być może! - wrzasnął Galhaer. - Ale na pewno nie dam ci wszystkich atutów do ręki. Uczynię cię nieśmiertelnym, a ty mnie... - zabalgotano mu w gardle.

Coatch cofnął się o krok. Włożył ręce do kieszeni i wyjął z niej małą pastylkę.

- Cyjanek potasu - powiedział. - Nic wymyślnego, ale dopóki żyję, masz szansę. Jeśli mam być szczerzy: nie masz szans. Ale musisz się trzymać założenia, że jednak masz. Natomiast jeśli umrę, to już nawet tej mikroszansy nie będzie. Jasne?

Galhaer skinął głową. Jeszcze zanim Coatch skończył mówić, wiedział co powie, rozważył wszystko, ale udawał, że słucha. Wiedział, co to blef.

- Wolę nie mieć szans, niż żebyś mną pomiatał.

Coatch uśmiechnął się i włożył pastylkę do ust. Twarz mu się skurczyła, zakotłosał się na słabnących nogach, zatrzepotał rękami i zaczął padać na ziemię. Galhaer westchnął i zatrzymał czas. Ciało Coatcha zawisło w powietrzu, łamiąc kanony fizyki. Diabeł chwilę się zastanawiał. Odrzucił emocje, uspokoił wszystkie centra, wyrównał sploty sił. Skoncentrował się i wnikł w Coatcha. Delikatnie badał umysł człowieka, przekonał się, że teraz zakłęcie nie broni mu dostępu do ludzkiego umysłu, przekonał się, że Coatch nie okłamał go ani razu. Chwilę nieruchomo tkwił w umyśle mężczyzny, a potem, nawet nie podejmując skazanej z góry na niepowodzenie próby ingerencji w umysł swojego kata, cienką nicią wysączył się z jego umysłu. Mógł do woli - wstrzymując czas - przyglądać się umysłowi Coatcha, ale chcąc cokolwiek zmienić, musiałby uruchomić czas, a wtedy zakłęcie zmiotłoby go w nieskończenie małym ułamku ziemskiego czy piekielnego czasu. Człowiek stuprocentowo zabezpieczył się przed atakiem. Diabeł naprawdę mógł tylko podporządkować się jego poleceniom i czekać na ewentualną zmianę planów. Modlić się o to.

Wrócił do ziemskiej postaci, wyekstrahował z organizmu oprawcy cyjanek i cyjanowodor, sprawdził czy nastąpiły już jakieś następstwa zażycia trucizny i przywrócił działanie czasu. Coatch zachwiał się i musiał podeprzeć ręką. Szybko się podniósł, otrzepał dłoni i nogawkę spodni.

- Nieśmiertelność na zawsze, bez żadnych możliwości odwołania - powiedział spokojnie. - Przysięgniesz na Białą Klamrę.

- Dobrze - powiedział równie spokojnie Galhaer. Zamknął oczy i przez kilka sekund recytował formułę, przekazującą Coatchowi znikomą cząstkę mocy. Otworzył oczy i położył dłoń na małej, podsuniętej przez Coatcha, karteczce z tekstem Białej Klamry.

- Przysięgam - powiedział, starając się opanować drżenie dłoni.

Coatch zadowolony skinął głową. Schował karteluszek do kieszeni i filmowo zasalutował jednym palcem. Z jego twarzy zniknęły zmarszczki i bruzdy, zapowiadające następne. Włosy nabrały połysku, nie było już w nich kilku siwych pasemek.

- No to tyle. Na razie nie załatwię cię, masz trochę czasu. Zużyj go, jak chcesz, ale raczej nie wariuj. Zawołam cię, gdy będę gotów. - Człowiek odwrócił się i poszedł brzegiem morza.

Galhaer stał nieruchomo. Nie odprowadzał spojrzeniem malejącej sylwetki

*Coatcha. Dawno już odnotował ją w swym wielopłaszczyznowym umyśle i mógł w każdej chwili odnaleźć w dowolnym zakątku Wszechświata. Zresztą to Coatch był tym, który będzie wzywał. Diabeł musiał się zastanowić i przygotować do walki, targów, dyskusji ze swoim prześladowcą. O ile tamten dopuści do walki, targów czy dyskusji.*

*Coatch odrzucił gazetę i osunął się w fotelu. Przymknął oczy i wyciągnął rękę w kierunku stolika. Palce zlokalizowały i uchwyciły szeroką szklanę, na dnie której przyczaiła się cienka warstwa ciemnobrązowego płynu. Mężczyzna uniósł szklaneczkę i wlał kilkanaście kropel do ust. Pokłuty język tysiącem cieniutkich igiełek. Coatch wstał, niedbale trzaskając szklaną o blat stolika, z rozmachem kopnął płachtę dziennika. Przemierzył kilkakrotnie pokój i przystanął przy oknie.*

*- Galhaer?! - powiedział cicho.*

*Gdy się odwrócił, diabeł stał pod ścianą. Fizycznie wyglądał bez zarzutu, ale tylko on wiedział, ile kosztowały go te trzy miesiące, w czasie których ani na sekundę nie przestawał myśleć o Coatchu i jego absurdalnej zemście.*

*- Przenieśmy się gdzieś w ustronne miejsce - powiedział Coatch. - Nad jakieś ciepłe morze. Pogadamy...*

*Galhaer skinął głową. Na mgnienie oka otoczyła ich ciemność. Gdy słońce uderzyło w oczy, Coatch i Galhaer znajdowali się na dużej, płaskiej jak pokład lotniskowca skale wystającej z morza. Miała powierzchnię porównywalną z trzema ustawionymi obok siebie stołami bilardowymi. Ciepły wiatr szlifował ją od tysięcy lat, nadając połysk.*

*- Co to jest? - zainteresował się Coatch.*

*- Czarcia Kołyska - powiedział spokojnie Galhaer.*

*- Masz poczucie humoru. - Z uznaniem pokiwał głową Dick Coatch. - A dlaczego tak się nazywa?*

*- Poczekaj na tę falę. - Diabeł wskazał palcem morze.*

*Pędziła ku nim płaska, długa fala. Gdy uderzyła w skałę, ta niespodziewanie drgnęła i przechyliła się w stronę brzegu. Zaskoczony człowiek zrobił trzy kroki, zanim zdołał się zaprzeć i zatrzymać. Skała kilka sekund trwała wychylona, potem wolno, majestatycznie powróciła do poprzedniego położenia. Coatch zaśmiał się nerwowo i zarazem wesolo. Szybko przykucnął i położył się na plecach, podkładając dłonie pod głowę.*

*- Świetnie! - krzyknął, gdy kolejna fala zakotysała skałę. - Miałeś znakomity pomysł. Po raz pierwszy cieszę się z diabelskiego pomysłu.*

*- Czyżby? - wycedził diabeł.*

*Coatch uniósł głowę. Zdziwiony spojrział na Galhaera. Podrapał się po nosie.*

*- Co masz na myśli?*

*Galhaer wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru zwierzać się człowiekowi ze swych odczuć. A przez te trzy miesiące niepewności, życia w stałym zagrożeniu, niespodziewanie dla samego siebie zaczął rozumieć ludzi, przestały go dziwić ludzkie reakcje, które wcześniej były po prostu wykorzystywane do piekielnych celów. Spojrzął w oczy Coatchowi.*

*- A-a-a... Chodzi ci o to, że cieszyłem się z wygranej w loterii? - Coatch wysunął język i przejechał nim po górnej wardze.*

*Galhaer znowu wzruszył ramionami. Dick Coatch usiadł i z zainteresowaniem przyjrzał się diabłu. - Czy Lucille też ty podostałeś?*

*- Nie. - Skrzywił się Galhaer. - Po loterii zrezygnowałem z tych sztuczek.*

*- Dlaczego?*

*- Sam nie wiem. Może przestałem wierzyć w skuteczność, klasycznych metod*

działania". Jesteś fanatykiem - dodał, starając się nadać temu określeniu obraźliwe brzmienie. - No... Kończymy to! - rzucił ostro.

- Nie tak szybko - Coatch wstał i podszedł do diabła. - Przemyślałem sprawę i chyba mam zamiar zmodyfikować nieco swój plan...

- Do diabła! - wrzasnął Galhaer. - Długo masz zamiar męczyć mnie? Czego jeszcze chcesz? Co chcesz dodać do tego, co już wymyśliłeś? Mało ci zmiany ustalonego porządku świata, odrzucenia kary za zło? Chcesz Ziemię zmienić w przedsiónek Raju, może Raj właściwy?

- Kara za zło... - wolno powiedział Coatch. - To cię męczy? Dlatego co rusz natykałem się na wiadomości o najprzeróżniejszych zbrodniach, niemożliwych do ukarania w życiu doczesnym. - Przygryzł obie wargi. - Wiesz co? Mogę ci oddać swoją nieśmiertelność?

- A po co mi ona? - Wzruszył ponownie ramionami diabeł. - Przecież kiedy umrzesz, to gdzie - jak myślisz - pójdziesz? Co? Za taki czyn należy ci się nagroda...

- Nie o to mi chodzi... - przerwał Coatch.

- Ale taki będzie skutek! - krzyknął diabeł. - Kończ, zamykaj Kol-Chair. Nic mnie to nie obchodzi. Tylko daj mi wreszcie spokój.

- Patrzcie jaki wrażliwy?! Dopiero od trzech miesięcy żyjesz inaczej niż dotychczas, a na dodatek ja cię wcale nie dręczyłem. Ty sam siebie torturowałeś, a pomyśl jak ja czułem się u was! Dwa wieki!!! Nie masz nawet pojęcia, jak tam było, nie masz najmniejszego pojęcia...

- Już mam - cicho powiedział Galhaer. - No to świetnie. Chyba o to mi chodziło...

- No to czytaj tę swoją Królewską Driadę i już.

- A nie-e-e! - Przekrzywił głowę Coatch. - Zmieniłem zdanie. Nie będę cię niszczył. Wykorzystam cię dla dobra wszystkich, przynajmniej częściowo splecisz winy swoje i swoich braci. Wyrównasz część wyrządzonych nam krzywd.

- O czym ty mówisz?

- Po prostu będziesz diabłem! - Coatch podniósł palec do góry. - Będziesz robił to, co robiłeś, co robiliście zawsze: mącił, kusił, deprawował i tak dalej. Będziesz miał więcej roboty, bo jesteś sam, trudno. Może kiedyś pomyślę o uchyleniu Kol-Chair, ale najpierw muszę się upewnić, że będę panował nad sytuacją.

Galhaer patrzył na niego zaskoczony. Szybko sprawdził, czy Dick nie zwariował, ale wynik badania zburzył jego nieśmiałą nadzieję.

- Po co ci to? - wykrztusił.

- Widzisz... Wyszło mi, że gdy ciebie nie będzie, Ziemia rzeczywiście może stać się przedsiónek Raju. Ludzie zasną szczęśliwym, błogim, słodkim snem. Ludzkości zagrozi degrengolada, a przynajmniej stagnacja. Musi ją ktoś skubać, denerwować, dręczyć, żeby się nadal rozwijała. Będziesz czynnikiem postępu. To wielka rola! Jeśli ją będziesz dobrze spełniał, być może kiedyś, kiedy uznam, że damy sobie bez ciebie radę - zwolnię cię. Wpuszczę do Piekła. Albo, jak mówiłem, wypuszczę kogoś. Zobaczymy, dokładnie jeszcze nie wiem. Ale to chyba dla ciebie szansa?

Galhaer zrobił krok do tyłu i podniósł ręce do góry. Coatch patrzył na niego w napięciu. Obaj ciężko dyszeli.

- Nie-e... - wychrypiął Galhaer i pokręcił głową. - Nie! -wrzasnął. - Mam służyć ludziom? Pomagać wam?! Nie!

- Tak. Właśnie tak - Coatch wycedził te trzy słowa najwyraźniej jak umiał.

Galhaer zamarł. Zaniechał analizowania świata wszystkimi zmysłami - ograniczył się do pięciu ludzkich. Czuł krew pulsującą w skroniach i stony smak w ustach, widział jasne słońce i błękitne morze, zakotłosał się wraz ze skałą, na której stał. Poczut się nagle człowiekiem, częściowo poczuł się nawet Coatchem. Zrozumiał, co to dążenie do dobra. Ale jego Dobro, jego najwyższa idea, to Dobro Piekła.

- Nie zmusisz mnie do tego - powiedział cicho.

- A co innego będziesz robił? Prowadził przykładne, cnotliwe życie? - zadrwił Coatch.

Galhaer wyprostował się. Skupił całą swą moc w jednym życzeniu. Na skale między nim i Coatchem zaczęły się pojawiać białe znaki układające się w słowa, a te w zdania.

Coatch ze zdziwieniem przeczytał kilka pierwszych słów i przeniósł wzrok na diabła. Galhaer stał złany potem i czytał tekst ze skały. Słowa Królewskiej Driady spływały z ust diabła po raz pierwszy w historii świata. Coatch spróbował zbliżyć się do Galhaera, ale zaczynały tu już działać siły, wobec których niczym była jego wiedza. Stał więc i patrzył na ostatniego diabła popełniającego samobójstwo na Czarciej Kołysce. Po minucie czytania Galhaer oderwał wzrok od skały i rzucił spojrzenie Coatchowi. Zaraz potem rozległy się trzy głośne klaśnięcia i Galhaer rozsypał się na tysiące małych iskerek. Coatch cofnął się oślepiony, potknął o skałę wykonującą swój niezmienny od stuleci ruch. Potarł twarz obiema dłońmi.

- Coś takiego?... - powiedział. - Coś takiego...

- Może bardziej zrozumiałe od reszty, ale nic mi to nie daje - niespodziewanie dla samej siebie powiedziała głośno. Sprawdziła resztę przeniesionych na dysk odczuć z walk w eterze i westchnęła. Zakończyła sesję i pokręciła głową, widząc, jak komp służbiście kasuje zawartość mnemonety Milta. - Nic...

## Rozdział IV

Brownell gnał po obwodnicy, zamierzając ominąć wieczorny szczyt. Po ośmiu minutach szaleńczej jazdy wpadł w środek miasta, mimo to prawie nie cofnął nogi z pedału przyspiesznika, co kilkanaście sekund zerkał na ekran wyświetlający schemat trasy do domu Screwbury'ego i pulsujący kwadracik własnego wozu. Dość długo trwało, zanim zdołał, kręcąc kierownicą, wystukać kod speckomy. Nerwowo, przerywając co chwilę, by wykonać kolejny manewr, zażądał dołączenia do słownika inicjatywnego zdjęć Delfa Volperta. Miał świadomość, że czyniąc to, skazywał Tomasa Screwbury'ego na koszmarny ból głowy na widok Delfa, ale liczył na litość Volperta wobec bezbronnego wroga. Jednocześnie praktycznie ratował zdesperowanego bliźniaka przed reakcją Screwbury'ego. Skończył rozmowę i pochylony do przodu, jakby chciał wysadzić czołem przednią szybę, wyhamował jakieś czterdzieści jardów od domu swego niedawnego dowódcy. Otworzył drzwi, ale nie wysiadał. Wpatrywał się w budynek wyróżniający się tylko zaniedbanym trawnikiem i ubóstwem kwietnika. Okna były oświetlone, mignęła jakaś sylwetka. Nic nie wskazywało na to, że Delf zdążył dotrzeć i wykonać swój zamiar. Milt wysunął się z wozu i przeskoczył najbliższy niski żywoplot. Pochylony, zasłonięty od ulicy zieloną ścianą przebiegł przez dwie posesje, trzecią przebył, skacząc od kępy fiołków maltańskich do dwumetrowych kul obsypanego różnokolorowymi kwiatkami suchogrestu. Znalazł się na granicy ogródka kapitana; wciąż nie widział Delfa. Przykucnął i wyjął z kieszeni cienką rurkę miotacza ładunków usypiających, zerknął na wskaźnik ciśnienia w komorze miotacza. Jakiś słaby, obcy w tym miejscu, ale znany mu zapach doleciał do nozdrzy i zaalarmował mózg. Widocznie Delf połał schodki i krótką rampę prowadzącą do domu powłoką przeciwtarciową, musiał więc czekać niżej, aż Screwbury wyjdzie z domu, poślizgnie się i bezradny, oszołomiony, praktycznie bezbronny, podjedzie do stóp oczekującego go Volperta. Milt bezszelestnie przesunął się w lewo, w tej samej chwili z cichym cmoknięciem otworzyły się drzwi domu i Tomas Screwbury Wyszedł na niewielką werandę. Stał chwilę, patrząc w oświetlone wesoło okna na pierwszym piętrze najbliższego domu, a Milt uchwycił słaby szelest w krzewach odgradzających ogród od ulicy. Przesunął się tam jak mógł najciszej i najszybciej, dojrzał jakiś cień odbiegający barwą od innych plam i prawie na czworakach zbliżył się doń. W tej samej chwili usłyszał z werandy odgłos upadku i dość głośne przekleństwo. Kapitan musiał zrobić krok i znaleźć się na aktualnie bardziej śliskim niż lód betonie. Cień w krzakach krzyknął coś i zatrzęszczał gałęziami, wyłamując sobie drogę w gęstwinie krzaków. Milt zawrócił dwa kroki i jednym skokiem przesadził niską ściankę zieleni, lądując na tej samej co Screwbury śliskiej rampie. Poczł jak w chwili lądowania coś podcina mu nogi, upadł na lewy bok, ale natychmiast, prawie nie dotykając nim podłoża, przekręcił się na plecy i nakrył nogami, jednocześnie zjeżdżając w dół po rampie. Nie czuł bólu, ponieważ najmniejszy kontakt z podłożem powodował poślizg i przeniesienie kontaktu z betonem na inną część ciała, gdzie wszystko zaczynało się od początku. Wirując, przejechał kilka metrów, uderzył głową w coś twardszego i nie tak śliskiego; rozpaczliwie rzucił się w tamtym kierunku. Udało mu się dotknąć lewą dłonią kawałka szorstkiego gruntu, to wystarczyło, by jednym podciągnięciem ręki podjechać do kawałka, gdzie działały stare dobre prawa tarcia, przeturlał się do ziemi i poderwał na nogi.

Delf Volpert stał nad kapitanem, który za pomocą siarczystych przekleństw usiłował utrzymać się na czworakach. Jego prześladowca nie wyglądał jak anioł zemsty: po twarzy osieroconego bliźniaka spływały łzy, ramiona i podbródek poruszały się w rytm spazmatycznych skurczów. Nawet nie zauważył podnoszącego się na nogi Milta, a ten nie spieszył się, widząc, że Delf zapomniał o trzymanym w dłoni rewolwerze. Brownell

okrążył Delfa, wyrwał mu, jeszcze będąc z tyłu, rewolwer z dłoni. Ręce kapitana rozjechały się kolejny raz i Screwbury pacnął na twarz, chyba nawet nie zdążył zobaczyć, kto pozbawił go przyczepności. Milt wykorzystał ten moment, szarpnął Volperta za rękę, ale ten niespodziewanie silnym ruchem targnął się całym ciałem do tyłu, uwalniając dłoń. Milt bez skrupułów uniósł rurkę i strzelił mu prosto w twarz porcją usypiacza. Wstrzymał oddech i zręcznie pociągnął do siebie opadające na ziemię ciało, jednocześnie pochylając się i podstawiając swoje ramiona pod bezwładnego Delfa. Podnosząc się, drugą porcją unieruchomił wijącego się kapitana i pobiegł z bagażem na plecach do wozu. O ile zdołał zobaczyć, nikt nie zauważył krótkiej scenki na podjeździe domu Screwbury'ego. Wrzucił bezwładne ciało na tylne siedzenie i kilka sekund zastanawiał się, co zrobić z kapitanem, a potem machnął ręką i wskoczył za kierownicę. Ostrożnie, jakby chciał wynagrodzić miastu niebezpieczną jazdę w tę stronę, wyjechał na szosę prowadzącą na południe i dopiero tam przyspieszył nieco i zapalił papierosa. Po kilku minutach jazdy zatrzymał wóz i otworzył wszystkie drzwi. Delf nie poruszył się podczas jazdy, kilka minut wietrzenia również nie przyniosło rezultatu - pewnie zaskoczony, zbyt mocno wciągnął powietrze wraz z dużą porcją usypiacza. Brownell zastanawiał się trochę nad użyciem neutralizatora, ale w końcu zdecydował, że trochę snu nie zaszkodzi Delfowi. Tuż przed wjazdem do jednostki rozewierkała się zegaretką.

- Słucham?

- Milt? Masz go? - szeptem zapytał Hal Barnaba.

- Tak. Jadę do szpitala. Powinien mieć...

- Ja się nim zajmę! - szybko wtrącił Hal. - Dawaj go tutaj!

- Hm?... Dobrze. Wyjdź do garażu, pomożesz mi go przenieść!

Brownell zerknął w lusterko i pokiwał głową.

- Masz, chłopie, szczęście - powiedział z przekonaniem. - I nowego przyjaciela - dokończył z pewnym zdziwieniem.

Gdy Barnaba z Delfem na ręku pomaszerował korytarzem w kierunku pokoju Volperta, nadszedł Kusley.

- Wszystko w porządku?

Brownell wrzucił ramionami i wyszedł na patio, rozpinając zatrzaśki koszuli.

- Nie wiem - powiedział przez ramię. - Screwbury ocknie się w kałuży ślizgu, zacznie zastanawiać się, przypomni sobie Delfa, rozboli go głowa... Może pójdzie do lekarza, może lekarz znajdzie cenzuranta... Może nie widział Delfa? Morze „może”, sam widzisz...

Zdarł spodnie i nie troszcząc się o to, gdzie wylądują, rzucił za siebie i wskoczył do basenu. Dziesięć minut nurkował i pływał, ciągle kątem oka widząc Kusleya siedzącego spokojnie na brzegu z nie zadanyim pytaniem na ustach. Popłynął do Simiego.

- Czym się martwicie, sierżancie? - zapytał, gramoląc się na brzeg, nienaturalnym z wysiłku głosem.

- Jutro pójde na seans - powiedział wolno Simi.

Brownell milczał. Pierwszy seans po wydarzeniach sprzed trzech dni był bardzo ważny, od jego powodzenia zależało, z jakim nastawieniem usiądzie w fotelu następnego esp, czy w ogóle ktoś siądzie. Porucznik do tego postanowił, że jeśli nikt na ochotnika nie podejmie decyzji o seansie, to właśnie on jutro zejdzie do corralu, więc Simi niemal ratował mu życie. Brownell był przekonany, że nie jest w stanie stawić czoła wrespowi, mógł tylko liczyć na sprzyjający przypadek: nowicjusza albo prosty błąd przeciwnika. Wytarł twarz z wody, potrząsnął głową, opryskując Simiego.

- Zastanowiłem się, czy nie porozmawiać z Day - powiedział w przestrzeń - skoro ona potrafi uciec...

- O tym też chciałem z tobą porozmawiać, ale... Chyba nie. Jeśli nie czuje, że jest w formie, to może nie uciec. Mało doświadczenia... - Pokręcił głową. - Ale trzeba z nią porozmawiać, niech powie, jak to robi. Nagrajmy jeden seans i dajmy do analizy. Hy?

- Nagranie nie ma sensu. - Milt wstał i pozbierał swoje ubranie. - Natomiast co do reszty - poczekał, aż Simi wstaje - nie wydaje ci się, że gdy opanujemy sztukę ucieczki, doprowadzi to do totalnego remisu? W konsekwencji ktoś może pomyśleć, że skoro nie dajemy rady w ten sposób, to może wymyślimy inny? Kiedy łuki i kusze przestały wystarczać, wynaleziono broń palną. Wrócimy na ścieżkę wojenną?

- A nie jesteśmy na niej?

- Cholera, nie wiem. Chodźmy... - Poszedł pierwszy do drzwi. - Jestem wściekły. Kilka dni temu wszystko było jasne i proste. Wykonujemy patriotyczny obowiązek i koniec. Potem przyszedł facet, który pozornie powinien nam się spodobać, bo uwalniał nas zupełnie z obowiązku myślenia i zastanawiania się, a jednak się nie spodobał. Co jest? - Skręcił w kierunku przeciwnym do swojego mieszkania i szedł, wyprzedzając Simiego o pół kroku. - Czy aby nie jesteśmy jak ta legendarna dziewczica, co to by chciała, ale się boi?

- Może, chociaż nie sądzę.

- Bardzo mnie uspokoiłeś. - Ton był kpiący, ale już sama niepewność uspokoiła Milta, bardzo się bał, że Simi bezapelacyjnie potwierdzi jego obawy. Poza tym Simi odpowiedział tak szybko, że nie uległo wątpliwości - myślał nieraz o tym samym.

- A tak w ogóle dokąd idziesz? - zapytał Simi.

- Do ciebie. Mam jedną sprawę...

- A dotychczas nie miałeś?

- Jeśli nie chcesz mnie zaprosić, to wejdę służbowo, na inspekcję. - Skręcił za róg. Simi prychnął i wyprzedził Milta. Gdy minęli puste mieszkanie narożne i zbliżyli się do drzwi kwatery Simiego, gospodarz przesadnie uprzejmym gestem uruchomił drzwi i wskazał drogę. Milt wszedł i skierował się do łazienki.

- Zrób kawę! - zawołał z łazienki, stojąc otoczony falami powietrza z dmuchawy. Po chwili wciągnął spodnie na gołe ciało i wrócił do pokoju, przeczesując po drodze włosy kilkoma ruchami rąk. W czasie pobytu gospodarza w kuchni poddał pokój oględzinom, ale prócz kilkunastu pojemników z mnemonetami zawierającymi kilkanaście tysięcy książek, pomieszczenie w niczym specjalnie nie odbiegało od wzorca. Niemal takie samo jak dwa lata temu, gdy Simi Laza Kusley pojawił się w bloku DEU.

- Masz jakieś specjalne życzenia? - zapytał z kuchni Simi.

- Byle nie wino i nie koniak! - odrzyknął Milt.

Wrócił do łazienki po koszulę i wyjął z jej kieszeni papierośnicę. W pokoju znalazł się jednocześnie z gospodarzem. Usiedli w standardowych, ale wygodnych fotelach i jednocześnie sięgnęli po szklanki z whisky.

- Nie obawiasz się wpływu Delfa na Hala? - zapytał Kusley.

- To dorosły człowiek. - Wzruszył ramionami Brownell i przytrzymał whisky w ustach. - A poza tym zawsze był zdominowany przez otoczenie, może potrzeba mu właśnie poczucia własnej przewagi? Może właśnie on powinien zaopiekować się kimś, decydować za niego? - Dopił swoją porcję i z przyjemnością zaciągnął się papierosem. - A poza tym Hal jest tu już rok i dwa miesiące - dodał.

Nie musiał rozwijać kwestii. Obaj wiedzieli, dobry esp utrzymuje się półtora roku, bardzo dobry - dwa. Kusley wciągnął powietrze przez nos i nasunął dolną wargę na górną.

- Świeży ładunek pozytywnych emocji - stwierdził. - Jest jeszcze jedna sprawa. - Milt odsunął od siebie szklankę. Zaciągnął się dwa razy pod rząd i zaczął mówić, zanim wypuścił dym z płuc: - Podczas ostatniego seansu... Tuż po nim, gdy



wracałem... Nawet nie tak. Przyszło mi do głowy już wcześniej, ale jakoś zapomniałem, przypomniałem sobie wtedy... Słuchaj. - Wskazującym palcem wycelował w Simiego, jakby chciał sprawdzić gęstość powietrza między nimi. - Nie masz wrażenia, że wynik twojej walki jest przesądzony w chwili, gdy ją zaczynasz? Nie? Ja mam takie... przecucia, może poczucie własnej wielkości, przewagi nad wrogiem... Jakbym wiedział, że on nie ma szans... W sumie to wszystko idzie tak gładko, że jeszcze tam... - ruchem głowy wskazał kierunek - ...mam ochotę śmiać się z całego swojego strachu. Coś jak przejście po równoważni, które po udanej pierwszej próbie wydaje się - i jest - banalnie łatwe. Ale gdy siadam następnym razem przy piecu, choć bardzo się staram, nie potrafię wykrzesać z siebie ani atomu tego przeświadczenia o swojej potędze, jakie miałem jeszcze kilka dni temu. I potem wszystko się powtarza: jestem niepokonany, zwyciężam, dziwię się własnemu lękowi i znowu jak wyżej. Dlatego przyszło mi do głowy, że w pierwszej fazie, tej prawie czy całkowicie nieświadomej, odbywa się wszystko - walka, a cała reszta jest tylko jakimś bezwładnym działaniem mózgu nie potrafiącego nadażyć za czymś, co rozegrało się być może w nieskończenie małym odcinku czasu. Jakbym przejeżdżał obok drogowskazu z dużą prędkością i dopiero po kilku sekundach jego treść docierała do mnie. Rozumiesz?

Simi, siedzący podczas przemówienia Milta nieruchomo, pochylił się teraz i odsunął swoją nie dopitą whisky w kierunku pustej szklaneczki świeżo awansowanego kapitana, przestawił nieco swoją filiżankę z kawą. Starł palcem kroplę kawy z blatu.

- Wszystko to pięknie, ale co z odczuciami podczas przegranej walki? - powiedział cicho. - Gdybyśmy wiedzieli, co czuje taki esp, wiedzielibyśmy wszystko. Jeśli również czuje taką euforię bitewną i przegrywa, to cała twoja hipoteza nie ma sensu, ale być może tak jest, że od razu po wejściu czuje przegraną i cała walka to tylko szamotanie? Wtedy to co powiedziałeś ma sens, chociaż nie wiem w tej chwili, jakie to może mieć znaczenie.

- Mam rozumieć, że nie masz takich odczuć jak ja?

- Nie mam. Jedyne odczucie, jakie mogę w kilku precyzyjnych słowach opisać, to historyczna ulga, taki nerwowy śmiech po wygramoleniu się z kompletnie rozbitego samochodu leżącego w głębokiej przepaści.

- Cholera... Zmartwiłeś mnie. Myślałem, że odczuwamy to samo, że da się z tego wyprowadzić jakiś konkretny wniosek, coś co nam pomoże...

- Możliwe. - Kusley zamilkł, wpatrując się w ścianę za plecami Milta.

- Co?

- Nieee... Już pytałem... Skleroza.

Milt powstrzymał się przed przenikliwym spojrzeniem w oczy Simiego. Wyczuł w jego słowach lekki fałsz, ale poprzestał na rozważaniu kwestii, czy Simi domyśla się, że on wie. Dopił kawę, maskując się pustym, wszechobecnym, niekonkretnym spojrzeniem skierowanym na wszystko i na nic jednocześnie. Zamyślony.

- Kiedy geni wraca do pracy? - zapytał Kusley.

Drugi raz w ciągu minuty słowa Simiego zabrzmiały fałszywie: za pierwszym razem coś ukrywał, teraz starał się nadać pytaniu obojętny charakter.

- Chyba pojutrze. Idę. - Milt podniósł się i wsunął ręce w rękawy koszuli. - Twoje pytanie zabrzmiało jak kwestia na popędzenie gości z domu: Może komuś jeszcze kawy? - znakomicie oddał intonację fałszywie uprzejmej gospodyni i poszedł do drzwi.

- Milt! - zawołał z tyłu Kusley, a gdy Brownell odwrócił się, wstał z fotela i podszedł do porucznika. - Na twoim miejscu nie siadałbym do roboty przez jakiś czas. Powinieneś po pierwsze podzielić się z kimś kompetentnym swoimi odczuciami, to może być ważne z tysiąca powodów. I może usiądź do symulatora?...

- Co do kogoś kompetentnego, to właśnie tak zrobiłem i sam widzisz z jakim

wynikiem, co się tyczy symula... - Cmoknął przez zęby. - Może to jest myśl, ale nigdy nie udawało mi się dokonać czegokolwiek na tym urządzeniu. Nie potrafię sam przed sobą udawać, że wierzę. Nie. Ale przemyślę. Dozoba! - rzucił i wyszedł.

Na korytarzu chwycił oba brzegi koszuli w dwa palce i przejechał nimi wzdłuż rozpięcia, pozwalając, by magnetaski znalazły się wzajemnie i dopasowały do siebie. Uświadomił sobie, że zostawił w łazience Simiego kąpielówki, ale nie przyszło mu do głowy wrócić, natomiast zatrzymał się przed pustym, piątym na korytarzu, narożnym mieszkaniem i po sekundowym namyśle wszedł do niego.

Miało identyczny układ jak wszystkie, z wyjątkiem jego własnej kwatery w bloku DEU: living, na prawo, jak mówił Jasper, Raj Czyścioszka, za nim, na tej samej ścianie drzwi do gabinetu. Potem, idąc w lewo - kuchnia i sypialnia z jednym kątem zajęтым przez ćwiartkę grubej rury windy. Z tej samej rury korzystały ćwierćwałki wind Simiego, Jocka i Day. Nic w całym mieszkaniu nie wskazywało na brak właściciela. Może tylko brak zapachu człowieka. Milt usiadł na łóżku w sypialni i wypalił papierosa, patrząc w ścianę. Z tamtej strony była to ściana sypialni sierżant Federiz, ale z tej strony nic o tym nie świadczyło. Brownell siedział prawie nieruchomo, dopóki nie poczuł, że represer przyspieszył wymianę powietrza w mieszkaniu, temperatura wyraźnie opadła o kilka stopni. Mokra w kilku miejscach koszula i spodnie zaczęły ziębić mu plecy i uda. Wstał, kilkoma energicznymi ruchami rąk rozgrzał się i wyszedł, nie troszcząc się o wygaszenie światła.

Szedł wolno korytarzem, rozważając pomysł, który zakiełkował w głowie po raz pierwszy miesiąc temu i od tego czasu powracał namolnie z różną siłą, niczym tekst reklamowy, któremu chce się w głębi duszy ulec, ale odkłada się zakup, czekając, że firma wystąpi - podniecona wyczekiwaniem - z jakimś dodatkiem do oferty, albo przynajmniej złoży ją jeszcze raz. Kapitan Brownell doszedł do zakrętu, wyrzwał i cofnął się. Jeszcze kilka sekund stał, besztając samego siebie za brak zdecydowania, a potem wyskoczył za róg i energicznie trzasnął klawisz visitora. Po chwili twarz Day pojawiła się na małym ekranie. Wyglądała na roztrzęsioną i zaskoczoną. Niezgrabna chwila ciszy zaczęła puchnąć jak balon.

- Mam służbowe powody do wizyty - powiedział szybko Milt. - Również - dodał i rozłożył się.

Day zamrużyła powiekami i zrobiła z wargami coś, co wyglądało na zapowiedź wysłanego w powietrzną przestrzeń buziaka.

- Co: również? - zapytała i albo zrozumiała sama, albo przypomniała sobie, że Milt wciąż stoi przed jej drzwiami, bo poruszyła się i powiększyła w ekranie.

Drzwi dostojnie usunęły się z drogi. Brownell wszedł i pokręcił głową.

- Musisz tu ukrywać kilkunastu szpiegów albo przynajmniej dużej mocy radiostację. Następnym razem wezmę drzwi szturmem, żebyś nie miała czasu na ukrycie tego wszystkiego. - Powiódł ręką po livingu, przy okazji oglądając go pośpiesznie. Day zmieniła kolor ścian ze służbowej przygaszonej bieli na lekką jasną żółć na ścianie wejściowej i wesołą zieleń na prawo od wejścia, ściana granicząca z sypialnią była popielata, a ostatnia, granicząca z gabinetem i sanitariatem - jasnokawowa. Barwy łagodnie, mgliście, bez wyraźnie oznaczonej granicy przechodziły w siebie, nadzwyczaj skutecznie maskując styki ścian. Pokój wyglądał jak walec. Walec, w którym dziwiły kanciaste meble, nie wiadomo w jaki sposób przylegające do ścian.

- Mam... - zaczęła Day i zwiesiła głowę. - Mam świeżo zaparzoną herbatę. Nie wiem, czy lubisz?

- Ja też nie wiem i jestem gotów wyjaśnić ten problem. Ileż jeszcze mogę żyć... - przeszedł na śpiewną melorecytację, ręce niczym rabin rozłożył i skierował wnętrzem do góry - tak mało wiedząc o samym sobie?

Nie spodziewał się braw, ale uśmiech Day przyjemnie go zaskoczył. Opuścił ręce,

żeby nie przeszarżować i siadając w identycznym jak wszędzie fotelu, wyjął papierośnicę. Day szybko wyskoczyła do kuchni, wróciła prawie natychmiast z popielniczką w dłoni i znowu zniknęła za załomem ściany. Pojawiła się w pokoju po kilkunastu sekundach z pękatym, przezroczystym termosem i połyskującą lustrzanym blaskiem filiżanką. Postawiła przed Miltem filiżankę lustrą i nalała do niej herbaty. Milt poczekał, aż odstawi termos i sięgnie po swoje, identycznie zwierciadlane naczynie. Popatrzył na ciemną ciecz, w której pływało kilka drżących odbić światła, wysunął nad nią nos i pociągnął demonstracyjnie ostrożnie.

- Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że przed sobą mam aptekę - przyznał.

- To jest bardzo zdrowe - powiedziała Day, jakby broniąc herbaty przed jego zarzutami.

- Na pewno. Tak - zgodził się Milt. - Nie ulega wątpliwości, że właśnie dlatego Chińczycy rzadko umierają.

- Głupi jesteś - powiedziała zupełnie swobodnie Day. - Na pewno jest zdrowsza od papierosów.

- I od alkoholu też - zgodził się natychmiast. Day otworzyła usta, ale Milt kpił zbyt jawnie. Zaśmiała się prawie bezgłośnie. Zachowywała się zupełnie inaczej niż znana, codzienna Day Federiz. Ta zmiana i poruszenie piersi pod mięsistą bluzką spłyciły oddech Milta. Nabrał powietrza i starannie modulując głos, powiedział:

*Był pewien cwaniak z Ghost Ovo,*

*Co życie przeżył szatawo.*

*Zarzucił ryćkanie,*

*Palenie, tankowanie.*

*W sumie - cieszył się, bo zmarł zdrowo!*

Roześmiała się szczerze, ale niezbyt głośno. Śmiech charakteryzował ją skuteczniej niż długi na kilometr wynik psychobadania. Milt zrozumiał, że siedzi przed nim dziewczyna mogąca być ozdobą każdego party, z rozbierankami włącznie; dziewczyna z pierwszego ekranu videozinu, której poszczególne partie ciała mężczyźni powiększają aż do granic selektywności obrazu. Dziewczyna wystraszona swoim ciałem, wypełniona obawą, że duch nie nadaży za nim, że nie spełni albo że nie chce spełniać pospolitych oczekiwań nieodparcie powstających na jej widok. Milt rozluźnił się. Bał się tej rozmowy z idiotką albo kilkuprocentową artystką, nie bał się natomiast zdrowo zakompleksionego dziewczątka.

- Wiesz co? - Dwoma łykami, niemal parząc sobie usta i przetyk, wypił herbatę. - Nie będę powtarzał tej porcji, sądzę, że trzeba się do niej przyzwyczajać stopniowo. Ale będę wdzięczny... - westchnął zawstydzony.

Day drgnęła i otworzyła usta, ale jakby przypomniała sobie coś, zamknęła je, nie wydając dźwięku.

- ...Za kilka kropel jakiegoś trunku - dokończył.

Skinęła głową i wstała.

- Nie mam piwa...

- Ale mam? - zawiesił głos Milt.

- Batista... - wylizwała na palcach z oczami utkwionymi w suficie. - Malagoo...

White Canyon...

- O właśnie!

Okręciła się na pięcie i podeszła do kasety z barkiem. Przykucnęła bokiem do Milta, piersi ułożyły się na kolanach. Brownell założył nogę na nogę i swobodnie rozejrzał się jeszcze raz po pokoju. Przeniósł spojrzenie na Day, dopiero gdy wstała i zmierzała ku niemu z dziewczęcą butelką whisky i dwiema, wielkimi jak głowa dziecka bańkami na

mikroskopijnych nóżkach. Mocowała się krótką chwilę z kapslem i, zanim Milt zdążył zaoferować swoją pomoc, zwyciężyła w tej potyczce - cienką strużką naląła spore porcje do kieliszków.

- Wiesz co? - Milt zakręcił ręką z kielichem w dłoni i z przyjemnością przyjrzał się wysokiemu lejowi z whisky. - Mam do ciebie jedno pytanie...

Zwinęła się w siebie, w jednej sekundzie stwardniała niczym wylane na patelnię jajko. Spojrzenie, jeszcze przed chwilą wesołe, błyszczące, zmatowiało, pokryło się patyną strachu i skierowało na podłogę.

- Day, nie jesteś na przesłuchaniu. Przykro, że tak mnie odbierasz. Może jeszcze nie zauważyłaś, ale szanując się nawzajem, nie ukrywamy jednocześnie niczego przed sobą. Tylko to, co jest prywatnym życiem, nie podlega rozpowszechnianiu. Dzielimy się każdą uwagą na temat seansów, każdym nawet najgłupszym pomysłem, bo każdy z nich może zaowocować nową metodą walki czy obrony. I każdy taki pomysł może być stracony, jeśli w porę z kimś nie porozmawiasz. Może to brutalne, ale tak jest. Nie wolno nam ukrywać niczego, co mogłoby pomóc innemu. Rozumiesz? A to, co ty robisz, jest szczególnie ważne. O ile wiem, dotychczas nikomu nie udało się uciec stamtąd. Zwycięstwo albo przegrana, bez trzeciej możliwości. Natomiast jeśli uda się opanować ucieczkę, to espowie przestaną ginać, nie rozumiesz tego? Wycofasz się, nabierzesz sił i zaatakujesz ponownie. To jest bardzo, bardzo, bardzo ważne.

Żeby napić się z tego kieliszka, trzeba było niemal dotknąć czubkiem głowy własnych pleców. Milt spróbował i zadowolony, że Day nie widzi, jak się namęczył, zanim kilkanaście kropel alkoholu wlało mu się do ust, niedbale odstawił swój kieliszek na stół. Niespodziewanie dla samego siebie odkrył, że bardziej interesuje go, jak Day poradzi sobie z kieliszkiem niż jej odpowiedź. Czekał na nią kilkanaście sekund, a potem, nieco rozczarowany, energicznie machnął kieliszkiem w kierunku własnej twarzy, nie odchylając tym razem głowy, i zamarł z aromatyczną whisky ściekającą, od nosa począwszy, poprzez brodę, na szyję i klatkę piersiową. Day zareagowała na ten widok po dłuższej chwili, gdy podniosła poważne spojrzenie z podłogi, najwyraźniej chcąc udzielić odpowiedzi. Zamarła niczym jego lustrzane odbicie, a potem oboje wybuchnęli śmiechem, pod lawiną którego natychmiast pogrzebane zostało całe skrepowanie i sztywność.

- Nie widziałam cię nigdy z taką miną! - wykrztusiła przez łzy.

- No bo nie widziałam mnie, jak dowiedziałem się, że moja stara znajoma Ella Readlef Trewinkard, stojąca tuż obok mnie, jest aktualnym prezydentem. O mało nie powiedziałem jej: „Uciekaj skarbie, bo ma tu przyjść jakiś głupek prezydent. Porozmawiamy później”. To dopiero było śmieszne. Jasper może coś na ten temat powiedzieć.

- Bardzo plastycznie opisał nam ten moment. Nawet nie wiem, czy nie przesadził. - Day przyniosła z łazienki ręcznik i podała Miltowi.

- Jestem pewien, że nie. - Brownell wytarł twarz i szyję. Kilka razy pociągnął nosem.

- Nie wiem, czy komp nie wysłał już brygady alarmowej. Spróbuję zmyć tę whisky przynajmniej z pleców. - Wstał i skierował się do łazienki.

Gdy podniósł twarz i spojrzął w lustro, zobaczył w nim Day, która tkwiła w drzwiach z ręcznikiem w dłoniach. Nie poruszyła się, więc Milt wyjął ręcznik z jej palców. Nie poruszyła się, gdy wytarł twarz i rzucił ręcznik w kierunku bieliźniarki. Stała nieruchomo i sytuacja stawała się niezręczna. Miltowi przyszedł do głowy tylko jeden sposób na rozładowanie napięcia - przysunął się nieco bliżej i delikatnie położył dłonie na ramionach Day, przyciągnął ją do siebie i - wciąż jak w zwolnionym tempie - pochylił się, i z lekkością motyla siadającego na liściu dotknął swoimi wargami jej ust. Nie zareagowała. Oderwał się na milimetr i pocałował znowu, znowu, znowu. Jej ręce drgnęły i pofrunęły na jego plecy. Teraz pocałunek nie miał w sobie już nic z lekkości

owada, oddawali mu się stopniowo, odkrywając wciąż nowe możliwości penetracji własnych ust i dusz, języków, marzeń i żądz. Zafurkotała bielizniarka, wciągając do swojego wnętrza wijący się jak ogon jaszczura ręcznik. Oderwali się od siebie zaskoczeni dźwiękiem, wystraszeni czyjąś obecnością w pustym mieszkaniu. Day na chwilę przytuliła czoło do mostka Milta i stamtąd, przygłuszony i niski, zabrzmiał jej głos:

- Tylko nie próbuj zanosić mnie do sypialni...

- Dlaczego? - zapytał zaskoczony Brownell, który właśnie się zastanawiał, jak będzie najrzęczniejszoderwać Day od podłogi i na której ręce byłoby wygodniej ją nieść.

- Tyle razy widziałam tę scenę w kinie, śmiałabym się chyba całą noc.

- Akurat to nie jest mi specjalnie na rękę - powiedział, oddechem poruszając włosy na jej głowie.

Uświadomił sobie, że oboje są speszeni i, oszukując samych siebie, zaskoczeni rozwojem sytuacji. Mogli tak stać całą wieczność, przytuleni, nie patrząc sobie w oczy, prowadzić konwersację, której jedynym celem miało być odroczenie chwili, kiedy trzeba będzie wykonać jakiś ruch.

- Wiesz - bąknął Milt - sędzę, że robię z siebie durnia, stojąc tak w drzwiach łazienki. Powinienem wziąć sprawę w swoje ręce, ale skoro sprawa tego nie chce...

Oderwała się i popatrzyła do góry. Zawsze wydawało mu się, że ma brązowe oczy, teraz zobaczył złociste przecinki w jasnoczekoladowych otoczkach źrenic. Zamrugowała powiekami i wspięła się nieco na palce. Leciutki jak muślin pocałunek sparzył mu wargi i od razu jej ręce pchnęły go do tyłu.

- No to ja przejmuję inicjatywę - powiedziała i natychmiast wystraszyła się odpowiedzialności. Rozcapiierzonymi palcami chwyciła włosy nad uszami i zadarła do góry. Kilka sekund stali nieruchomo, ona z łokciami skierowanymi w jego stronę, on wychylony jeszcze do przodu po ostatnim pocałunku, którego nie zdążył przedłużyć.

- Najlepiej się upijmy - powiedziała z determinacją. - Będziemy wyglądali równie głupio, ale nie będzie nam to Przeszkadzało.

- Hyghy-hy! - odchrząknął Milt i skinął głową. - Inicjatywa przeszła w godne ręce - dodał.

Day pierwsza ruszyła do pokoju, chwyciła swój kieliszek i powiedziała doń jak do mikrofonu:

- „Przeszła”!

Chciała coś jeszcze dodać, ale Milt, który zdążył już usiąść w fotelu, chwycił ją za rękę i przyciągnął na tyle gwałtownie, że nie chcąc przewrócić się przez oparcie fotela, usiadła na jego kolanach. Szybko i naturalnie zwinęła się, wsuwając swoją prawą rękę za jego plecy, zmalowała, oparła prawą skroń na piersi Milta. Brownell, nie patrząc, sięgnął po butelkę i starając się nie hałasować łyknął z szyjki.

- Degenerat - mruknęła Day i gdy Milt wystraszył się, że będą tak przekomarzać się przez kilka godzin, zaskoczyła go, mówiąc: - Kilka razy chciałam się przyznać, że niewiele jest pożytku z moich występów w eterze, ale po pierwsze bałam się, że mnie stąd wyrzucicie, a po drugie czekałam, aż będę jakoś mogła sformułować swoje odczucia. I dalej się boję i dalej nie wiem, jak to opowiedzieć... Ja... - Usiłowała napić się ze swojego kieliszka i po nieudanej próbie odstawiła go na stolik. - Daj mi butelkę. - Omal nie uderzyła Milta głową w brodę. - Po prostu się boję... Powinno się mnie pokazywać w cyrku: personifikacja strachu - wyrzuciła z siebie z goryczą. - Od kiedy pamiętam, bałam się. Wszystkiego: chorób, bicia, występu przed kolegami z klasy, nowych znajomych, starych znajomych, szefa, podwładnych, samochodów, parków... Mogłabym do rana wyliczać. Tu jest mi dużo lepiej. Boję się tylko jednego, ale za to tak mocno, że tu chyba tkwi tajemnica moich ucieczek z eteru. - Milt poczuł, że mocno chwyciła w garść koszulę na jego plecach i zaciska w pięści. - Po prostu tak

śmierdzą strachem, że wrespy brzydzą się mnie. - Wzdrygnęła się, jakby bosą stopą wdepnęła w zimny kisiel rozlany na podłodze ciemnego pokoju.

- Czy mówisz coś do nich? Starasz się coś przekazać? - Masz na myśli: czy poddaje się? Nie... Raczej jakbym czekała ze strzelbą na panterę, a pojawił się grzechotnik.

Niby wiem, że jego też mogę zabić, ale jestem zaskoczona i mimo broni przestraszona. A oni też się zatrzymują i czekają. Nie wiem, o co im chodzi...

Uciekam... Za pierwszym razem czekałam dość długo i nic się nie działo, a za drugim zwałam od razu...

- Czy to mógł być ten sam wresp?

- Nie mam pojęcia...

- Przypominasz sobie coś jeszcze?

Day milczała chwilę, a Milt uprzytomnił sobie, że jest zainteresowany jej słowami dużo mniej niż się wcześniej spodziewał. Upił mały łyżeczek. Niedobry czas na sprawy służbowe - pomyślał. Musiało to również dotrzeć do Day. Zeskoczyła z jego kolan i bez słowa zniknęła w sypialni. Milt potrząsnął głową i pociągnął z butelki, tym razem o wiele obficie racząc organizm świetną gatunkowo whisky. Odczekał jeszcze pół minuty, po czym zgasił światło i po ciemku wolno wszedł do sypialni.

- Mam wrażenie, że leży obok mnie otwarta butelka - mruknęła Day, gdy przysunął się do niej.

- Pozwól, że dowcipkowanie wezmę na siebie. Lepiej mi to wychodzi...

- Nie zauważyłam. - Przekrzywiła głowę, gdy całując jej ramię, dotarł do szyi na wysokości ucha.

- Znam tylko jeden w miarę skuteczny sposób na zamknięcie dowcipnych kobiecych ust - powiedział wprost do jej ucha i nie czekając na pytanie, pocałował ją.

Kilka sekund leżała nieruchomo, potem przekręciła się na bok i przywarła mocno do Milta. Czuł jej dłoń na swoich plecach i drugą na karku, czuł pod swoimi palcami twardość nabrzmiałego sutka, szorstkiego, mimo wszystko niespodziewanie jędrnego szczytu ciężkiego wzgórza jej piersi. Zapach jej ciała zabił woń alkoholu, smak skóry opadł na resztę zmysłów jak ciężka mgła. Nawet jej oddech, chwilami wpadający wprost do ucha, docierał mimo to jak przez gęstą, kilkuwarstwową kotarę. Opuszkami palców poznawał jej ciało, żałując, że nie może go ogarnąć jednym ruchem, jeśli dotykał pleców, umykały mu uda, gdy pieścił brzuch, gdzieś przeżyły się palce stóp, gdy sięgał piersi, domyślał się, wyczuwał skurcze pośladków, które dopiero co skończył modelować ruchami swojej dłoni. Po raz pierwszy w życiu ogarnęło go przeświadczenie, że nie jest w stanie nasycić się kobietą, że każdy milimetr jej skóry, ciała, włosów daje mu rozkosz, od której nie chce odstąpić, nie może, a jednocześnie wloką go do siebie inne fragmenty, wbijają haki w usta, palce, wzywają, ciągną i nie można się temu wołaniu oprzeć. Bo prowadzi do szaleństwa. Do raję...

Poruszył zdrętwiałą dłonią i wbił podbródek we własną pierś, próbując popatrzeć w oczy Day. Przytuliła się policzkiem do jego piersi.

- Czy wiesz, jaka jest jej miłość? - zanuciła szeptem. - To jakby mżył najdrobniejszy deszcz... W którym idziesz i nie wiesz, że pada. - Zerknęła ku górze, napotkała spojrzenie Milta i znowu zamknęła oczy. - A potem czujesz, żeś przemókł do samego serca. Taka jest jej miłość...

Brownell przełknął rodzącą się gdzieś w krtani grudkę wzruszenia. Objął Day ramieniem, czubkami palców głaskał brzeg ucha. Day poruszyła się lekko.

- A jak jest dalej? Pamiętasz?

Milt oblizał wargi i nabrał powietrza do płuc.

- Czy wiesz, jaka jest jego miłość? - powiedział cicho. - Jeśli nie, to wrzuc do czary goryczy kostkę cukru. Gorycz zachłannie połknie cukier... Ale nigdy już nie będzie taka gorzka. Taka jest jego miłość...

Leżeli oboje nieruchomo, wsłuchani we własne przebrzmiałe słowa, zaskoczeni wyznaniem.

- Dlaczego. - Day uniosła głowę - kłamiesz, że znasz tę piosenkę? To ja przed chwilą ją wymyśliłam... Tak to po prostu czuję...

- Tak? A ja myślałem, że to jakiś stary love song...

- Łziesz i zgrywasz się. - Uszczypnęła go w udo. Milczała chwilę. - Wiesz... - szepnęła i ponownie umilkła. Stopniowo zaczęła wracać do przytomności, odzyskiwać zmysły, skóra przestała płonąć i jednocześnie chłodzić swoje i drugie ciało. - Chciałabym, żeby... - umilkła, jakby przygryzła wargę.

Milt odczekał chwilę. Leżał rozluźniony z zamkniętymi oczami.

- Czego byś chciała? - zapytał

Najwyraźniej nie tego oczekiwała, bo wyprężyła się, opierając czubkiem głowy i piętami o pościel i szybko opadła, z ręcznie odsuwając się na bok.

- Żeby całe miliony gorących gwiazd spadły ci na tyłek! - zawołała.

Usłyszał jak niewidoczna zeskakuje z pościeli i idzie w kierunku drzwi. Wtulił twarz w poduszkę jeszcze wrzącą, z utrwalonymi wgłębieniami głów.

- Chcesz kawy? - usłyszał z livingu, a może z kuchni.

- Chyba nie - pokręcił głową i zmrużył oczy zaatakowane falą światła z pokoju. - Po mieszanke kawy i piwa nie można mnie oderwać od pisuaru!

- Piłeś piwo? - zapytała, jakby niezadowolona, z kuchni.

- Nie, ale będę pił!

Wychyliła się zza framugi drzwi, łokciem zakrywając ciekawską pierś. Wyglądała na rozeźloną.

- Skąd wiesz, że mam piwo? - zapytała.

Milt wytrzeszczył oczy i po sekundzie ryknął śmiechem. Rechotał soczyście, aż poczuł paznokcie wpijające się w prawy pośladek.

- Nieee... - zachichotał, odwracając się i ściągając ją na siebie. - Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak dziwnie powiedziałeś, że nie masz piwa... Ho-hi! - Wtulił wolną rękę w zgięcie łokcia i wytarł zażawione oczy. - Ja wcale nie wiedziałem, że masz piwo. Myślałem, że skoczę do siebie i przyniosę trochę, a tu... - Unieruchomił jej rękę i opadł na poduszkę.

Day odczekała chwilę, a potem rzuciła się na niego i ugryzła go w pierś. Uwolnione dłonie natychmiast splotła na jego karku i pocałowała w usta. Tym razem nie zamknęła oczu i Milt zobaczył, że gdy znajdują się w cieniu, gasną w nich jasne kropeczki, które poznał zaledwie godzinę temu.

- Pierwszy raz kupiłam piwo miesiąc temu - powiedziała Day. - Ale nie przejmuj się, wymieniałam je co trzy dni. Chcesz?

- Jak niczego innego, z wyjątkiem ciebie.

- Niech będzie, że mnie przekonałeś - powiedziała wielkodusznie i zniknęła w kuchni.

- Kto ci dał takie imię?! - krzyknął Milt w przestrzeń.

- Tatuś. Poród trwał osiemnaście godzin, a on cały czas spędził w klubie wujka Phila. Gdy w końcu położna zadzwoniła do baru i wujek dobudził tatę, a nie był już w dobrej formie - krzyknęła, trzaskając drzwiami lodówki - wujek mówi mu: „Człowieku! Masz córkę! Co ty na to?” A mój tatuś, zsuwając się wdzięcznie ze stołka: „Co za piękny dzień!” i ryms! na podłogę. I zostałam zgłoszona do spisu ludności jako Beautiful Day Federiz. - Zbliżyła się do łóżka i podała Miltowi puszkę piwa.

Bez pośpiechu, nie spuszczać spojrzeń z jej ciała, uniósł puszkę do ust i dwoma łykami wypił połowę.

- Miał tatuś rację: co za piękny dzień! - powiedział wolno i całkiem szczerze.

- Mamy, proszę państwa - najzupełniej cywilnie zaczął generał Morr - dziewiąty dzień bezczynności. Sądzę, że nie ma potrzeby wracać do przyczyn tragedii w naszej jednostce, częściowo ja ponoszę odpowiedzialność za to, co się wydarzyło. - Szczupła, wyszczerzona twarz generała potwierdzała jego pośrednią winę. - Może nawet w dużej części, raz, jako jedna z kilku osób mających całkowite pojęcie o operacji „Topsy”, powinienem był nie dopuścić, by jakiś kretyński program kadrowy przedarł się przez blokadę tajności i dwa pośrednio winien z powodu swojej nieobecności. Oszczędzę wam swoich usprawiedliwień - przerwał, sięgnął do szklanki z witaolą i podniósł ją do ust. W zupełnej ciszy rozdzwoniły się kostki lodu o ścianki.

Simi, oderwany od swojej gitary, masował opuszki palców lewej ręki, patrząc przed siebie pustym, panoramicznym, wszystko i nic nie widzącym spojrzeniem. Delf przysiadł na oparciu fotela, w którym rozsiadł się Hal. Jasper usiadł tak, aby z boku przyglądać się Day i czynił to bez najmniejszych skrupułów, a jej to zupełnie nie przeszkadzało. Przeszkadzało Miltowi. W najdalszym kącie, niczym trędowaty, siedział Jock Seykowitz, odgradzony od reszty dwoma stolikami, na których rozłożył wstęgę aseptyzatora.

Całe pomieszczenie wypełniła subtelna woń kilku neutralizatorów. Jock, gdy tylko się dowiedział, że mają się zebrać w pustym mieszkaniu, pobiegnął tam i solidnie popracował.

- Musimy się zastanowić nad przyszłością naszego oddziału - powiedział cicho Morr. - Absolutnie nie zamierzam was ponaglać, ale musicie w jakiś sposób się opowiedzieć, czy robimy półroczną przerwę, na przykład, czy przeniesiecie się do innych jednostek? Możecie w ogóle zrezygnować z pracy u nas. - Podniósł z wysiłkiem głowę i jakby sprawdzał obecność, przejechał spojrzeniem po wszystkich obecnych. - Co prawda podpisywaliście związek na całe życie z naszą armią, ale w obecnej sytuacji możemy uznać, że jeden z kontrahentów nie wywiązał się ze swoich zobowiązań, co zwalnia was z waszych. Widzę tyle wariantów postępowania... Wasz ruch.

- Może ja! - Jasper poderwał się ze swojego fotela. - Jakie mamy gwarancje, że taki numer się nie powtórzy? - Rozejrzył się, szukając poparcia.

- Po pierwsze, taką gwarancją jest wasz dowódca, kapitan Brownell. Teraz już najgłupszy i najbardziej czuły komp nie prześle tu kogoś nowego. Po drugie, system zabezpieczenia został gruntownie przejrany i powinien teraz już być naprawdę szczelny.

- A Screwbury? - odezwała się Day.

- Jest pod stałym nadzorem speckomy - wtrącił się Milt, zły, że Day, świetnie zorientowana w sprawie kapitana, udaje nieświadomość, jakby chciała ukryć ich zażyłość. Brownell miał nadzieję, że Jasper stępi swoje spojrzenia tnące na Day każde ubranie. - Na razie zachowuje się przyzwoicie, a gdy tylko się wychyli, odbędzie seans w pralni. Mamy placet... Tak więc od tej strony wszystko... - zawahał się i sprecyzował: - obecnie... wszystko w porządku.

Zaległa cisza. Hal poruszył się niezgrabnie i spojrzał przez ramię do góry na Delfa. Volpert oderwał spojrzenie od generała i długą chwilę patrzył w oczy Barnaby. Jasper usiadł energicznie z powrotem w fotelu i założył nogę na nogę. Wydał wargi i strzepnął coś z nogawki spodni. Niepotrzebnie głośno chrząknął w kącie Jock.

- Czyli mamy uważać, że przywrócony zostaje stan sprzed... - pomachał dłonią, uważając to za delikatniejsze niż słowa.

- Niezupełnie - natychmiast odezwał się generał. - Najpóźniej jutro przybędą posiłki albo, jeśli rozwiążemy oddział, początki nowego. Dwaj nowi. Mężczyźni. Jeden



standardowy, drugi podobno rewelacja. Najkrótsze czasy na symulatorze. Najmocniejsza emisja. Tak więc dwie zmiany: stopień dowódcy i nowi ludzie.

- Trzy zmiany - cicho, ale agresywnie rzucił Delf.

- Masz rację - powiedział Morr. Przyjrzał się z namysłem Delfowi. - Ale jeśli każesz mi, czy w ogóle wszystkim, kajać się bez przerwy, wciąż przepraszać cię za to, co się stało... - W miarę mówienia zachodziła wciąż wyraźniejsza różnica w intonacji, Milt odetchnął z ulgą. Obawiał się, że Niclas Morr źle rozegra to spotkanie. - To dla dobra twojego i oddziału usunę cię ze składu. Żal i pretensje nie uzdrowią Sabo. - Generał wstał i zrobił krok w kierunku Delfa. - I nie jest on jedyną ofiarą tej wojny. I rozważ jeszcze jeden aspekt tej sprawy, właściwie dwa. - Wycelował palec w Volperta. - Po pierwsze, na waszą usilną prośbę wzięliśmy was obu do jednej jednostki, czego nie robiło się dotychczas właśnie dlatego, żeby uniknąć takich sytuacji. I po drugie, przykro mi, ale muszę to powiedzieć, gdyby nie Screwbury, to być może teraz obaj bylibyście nadal razem. Przyszło ci to do głowy?

Ciszę można było wygarniać łopata z pokoju. Siedem postaci zastygło w absolutnym bezruchu. Pierwszy poruszył się generał Morr.

- Zastanówcie się beze mnie - powiedział. - Najpóźniej jutro, przed południem, proszę o waszą decyzję. Muszę wiedzieć, co mówić tym nowym, nie mam zamiaru już na wstępie skazywać ich na stres. Do jedenastej przetrzymam ich z dala od waszego bloku. Do widzenia. - Odwrócił się i omijając swój fotel, poszedł do drzwi.

- Zostaję, panie generale! - odezwał się Jock ze swojego kąta. Uniósł do góry rękę i trzymał ją chwilę w górze.

- Ja też! - burknął Jasper.

Morr zatrzymał się i odwrócił. Skinął głową Jockowi i Jasperowi. Nie patrzył na pozostałych, nie chciał ich popędzać.

- Zostaję - spokojnie zgłosił się Simi, porównując czubki palców prawej i lewej dłoni.

Milt kątem oka widział, w jakim napięciu patrzy na niego Day, wytrzymał i nie odpowiedział jej spojrzeniem. Odchrząknął.

- Ja też - powiedział. - Kupiłeś mnie tym awansem.

Morr popatrzył na niego zdziwiony, a potem zacisnął wargi, usiłując nie parsknąć śmiechem. Jasper zachichotał. Śmiejąc się, podszedł do fotela zajmowanego przez Hala i Delfa.

- No? - zapytał, patrząc na spoconego Hala. Barnaba szarpnął głową, jakby chciał popatrzeć za siebie, ale powstrzymał się. Przełknął ślinę.

- Ja też - wykrztusił i odetchnął z ulgą.

- I ja - wymamrotał Delf.

Zagłuszyła go Day, podrywając się z miejsca i śmiejąc się. Milt niespodziewanie dla samego siebie uznał to za świetną okazję.

- Z tobą to jest inna historia - powiedział, wyraźnie wskazując Day palcem.

Unieruchomił tym palcem ją i całą resztę.

- Punkt czterdzieści siedem regulaminu eliminuje cię z seansów - wyjaśnił.

- Nie ma takiego punktu w regulaminie - niezdecydowanie zaprzeczył Morr.

- No to powinien być - pouczającym tonem powiedział Milt. - Dotyczy kobiet w ciąży. Nie wolno im brać udziału w seansach.

Kwik z kąta Jocka zapoczątkował falę śmiechu. Nie śmiała się wściekła Day i Milt.

- Skąd wiesz, że jestem w ciąży! - krzyknęła, niemal płacząc ze złości.

- A skąd wiesz, że nie jesteś? - Uśmiechnął się słodko.

- Ale najpóźniej za dwa tygodnie będę wiedziała...

- I dopiero wtedy puszcze cię do maszyny - precyzyjnie wskoczył w jej odpowiedź. - Idziemy. - Zagarnął ją ramieniem i przytulił do siebie. Kątem oka odnotował

zniechęcony wyraz twarzy Jaspera. - Musisz się wynieść ze swojego mieszkania. Brakuje miejsca dla nowych.

- Delf może się... tymczasowo... hm... przenieść do kogoś... do mnie... to znaczy... - wykrztusił Hal.

- Pewnie że może - zgodził się Milt. - Ale Day i tak zaczęła się już pakować, więc niech już tak zostanie.

Pociągnął Day w kierunku Morra, który wciąż stał przy drzwiach, nieco oszołomiony generalną zmianą atmosfery w oddziale. Odsunął się z drogi.

- Kłamie! - zawołała, mijając generała.

- To ciężki zarzut, panienko - serio pouczył ją Morr.

- Możesz dostać trzy dni aresztu domowego - uzupełnił Brownell.

Wyciągnął Day na korytarz i podskakując, żeby nie dać się kopnąć w kostkę, uruchomił drzwi. Potem chwycił Day za rękę, okręcił ją i zarzucił sobie na ramię. Chichocząc, pobiegł korytarzem w kierunku kwatery sierżant Federiz. Day tłukła go po plecach pięściami. Właściwie - poganiała.

## Rozdział V

- Niech ci będzie, poczekam miesiąc! - zawołała z kuchni Day, w tej samej chwili perliście zaćwierkał telefon.

Milt poczekał dwie sekwencje sygnałów i gestem ręki powstrzymał Day zamierzając odebrać rozmowę. Wychylił się mocno w prawo i sięgnął do sterownika. Zanim zdążył wrócić do poprzedniej pozycji, na ekranie pojawiła się Ella Readlef Trewinkard. Ubrana w bardzo ciemny, prawie czarny kostium, na którego tle jej skóra stawała się nieco jaśniejsza, siedziała na rogu potężnego biurka, jedną nogą sięgając podłogi. Wąska spódniczka podjechała nieco do góry, odsłaniając wspaniałą, szczupłą nogę. Dwóch rzeczy Milt był pewien: właśnie tego, że Ella ma wspaniałe nogi i że wcale nie upozowała się do rozmowy z nim. Wymienili na początek uśmiechy.

- Możemy chwilę pogadać? - zapytała Ella.

Z tego, jak niedbale siedziała, jak swobodnie mówiła, Milt zrozumiał, że rozmowa nie jest strzeżona.

- Oczywiście. Jak leci? Pani prezydent... - dodał na użytek Day.

Ella na dwie sekundy wstrzymała odpowiedź, zmrużyła oczy.

- Nie ma większych zmartwień. - Zeskoczyła z biurka i usiadła na wprost aparatu. - Nie mogę tylko poradzić sobie z tą poezją...

Brownell skrzywił się i pokiwał głową. Zauważył, że Day wyszła z kuchni i zatrzymała się w progu niezdecydowana co do swej roli.

- Pamiętasz miss Federiz, Ella? - zapytał Milt. Wysunął rękę poza ekran i przyciągnął do siebie Day. Ekranowa Ella uśmiechnęła się do Day, gdy ta pojawiła się w polu widzenia kamery i usiadła na poręczy fotela Milta. - A ta poezja... Cóż... Mówiłem ci, że to wolne impresje, nieudolne próby relacji ze stanu, jaki nie poddaje się opisowi. Porównaj sobie z wrażeniami narkomanów. - Wszystko trzyma się kupy tam, gdzie jest opisana konkretna podróż - byłam w pięknym ogrodzie, byłam szczęśliwa na tym kobiercu z kwiatów i takie tam.. Ale to są najprymitywniejsze, najprostsze relacje. A te głębsze? Zawsze mówią: nie wiem, jak to opisać, tego się nie da opowiedzieć, trzeba samemu spróbować. Rozumiesz? Tu jest to samo.

- A dlaczego wszyscy piszą tak samo? Z jednym wyjątkiem?

- Widocznie to metrum samo się narzuca, nie wiem.

- A tematyka?

- Odwołaj się do Freuda.

Ella mruknęła coś i za chwilę jej spojrzenie sięgnęło gdzieś poza ekran, ale nie patrzyła na coś konkretnego, zastanawiała się nad tym, co powiedział Milt. Brownell w tym czasie palcami lewej ręki otworzył puszkę i nie tracąc Elli z oczu, pociągnął kilka łyków.

- Milt... - powiedziała wolno pani prezydent. - A ty? Możesz coś wywnioskować z tych wierszy?

- Właśnie o to chodzi, że nie. - Brownell z uznaniem pokiwał głową. - Nareszcie zadałaś dobre pytanie. Prócz autorów nikt nie jest w stanie naprawdę docenić tych utworów.

Ella gniewnie nabrała powietrza w płuca i pochyliła się w jego stronę, jej twarz zajęła cały ekran.

- No to po co mi je dałeś? - zapytała szeptem, który na teatralnej scenie wyraża krańcową wściekłość.

- Sama chciałaś.

- Racja - westchnęła. - A co z tym jednym opowiadaniem, które ma jakiś sens?

- To po prostu bardzo głębokie przetworzenie stanu, o którym cały czas mówimy. Potyczka. Starcie. Pojedynek. Ma sens, ale nic nie niesie. Widzisz, co się dzieje, gdy

chce się sprecyzować określone.

- To jest bardzo głębokie - odezwała się po raz pierwszy Day.

- Tak - potwierdził Milt.

- Niewątpliwie - zgodziła się Ella. - No dobrze, wiem przynajmniej, że nie jestem głupsza od innych. A co w ogóle nowego?

Zauważył, że Day drgnęła i szybko opuściła oczy. Milt wolno wypił kilka łyków i oblizał wargi.

- Trochę wiem - dodała Ella.

- No to wiesz wszystko. Nic się tu więcej nie dzieje. Prowincja... zresztą wolę stabilizację niż zmiany na gorsze.

- Statusiałeś? - z niedowierzaniem w głosie zapytała Ella. Po raz pierwszy od początku rozmowy pozwoliła sobie na osobistą aluzję.

- Tak. I okazało się, że o tym właśnie podświadomie marzyłem przez całe życie.

Gdzieś w prezydenckim gabinecie delikatnie pisnął któryś z sygnalizatorów. Ella nie zareagowała, ale Milt uznał to za świetny pretekst do zakończenia rozmowy.

- No to nie będziemy ci przeszkadzać w obowiązkach głowy państwa. Do zobaczenia!

- Do zobaczenia. Dajcie mi znać, gdybyście byli w pobliżu. Chętnie pójdę z wami na jakąś kolację.

- Na pewno nie zmarnujemy pani zaproszenia, pani prezydent - po raz drugi odezwała się Day.

- I wtedy definitywnie przejdziemy na „ty”. - Uśmiechnęła się Ella i wyłączyła się, na pół sekundy ciemną twarzą wypełniając cały ekran.

- Spałeś z nią? - szybko zapytała Day.

- Yhy... Z dziesięć lat temu. Byliśmy młodzi i było nam ze sobą bardzo, bardzo fajnie.

- A potem...

- A potem się okazało, że bardzo, bardzo fajnie to jeszcze nie kres możliwości. Młodzi są nienasytzeni, nie da się zaspokoić ich apetytu...

- Tak, oczywiście. A teraz, kiedy apetyt zmaleł, kiedy się już trochę nasyciło, wystarczy pierwszy lepszy sierżant, byle miał ponad sto osiem w biuście...

Milt przytulił ją do siebie.

- Sierżant, który ma sto osiem w biuście, nie jest już pierwszym lepszym sierżantem. A poza tym nie wierzę, że masz sto osiem...

- Ręce przy sobie!

- Poczekaj...

- To ty poczekasz.

- Na pewno nie! Hej! Nie gryź!

- Drzesz własność a-ha-harmii... Łaskotać nie wol...

Drugi w ciągu kilku minut trel telefonu poderwał Day z podłogi. Milt zaklął w duchu, część przekleństwa była słyszalna. Z żalem popatrzył na sierżant Federiz znikającą w sypialni i poszedł do kuchni. Dopiero, gdy nie śpiesząc się wypił puszkę piwa i z drugą wrócił do livingu, stuknął w klawisz odbioru.

- Por... Kapitan Brownell - warknął.

- Kapral Godrich i kapral Cunningham przybyli do jednostki - nie przedstawiając się, powiedział Derkel, sekretarz Morra. - Wysłać ich do pana?

- Tak. Będę w biurze.

- Więc za pięć minut zameldują się u pana. Dziękuję.

Rozłączyli się jednocześnie. Milt ziewnął i przeciągnął się, a widząc, że trzyma w ręku puszkę, otworzył ją i opróżnił. Rzucona w kierunku kasy cleanera została wciągnięta w szczelinę, zanim przestała się kręcić po podłodze. Kłapa cicho

pstryknęła. Brownell wstał i poprawił mundur, na korytarzu przejechał palcami po włosach i gotów na przyjęcie uzupełnienia zasiadł do biurka. Ze zdziwieniem zauważył, że ktoś jest w centrali, a gdy włączył podgląd i stwierdził, że to Jock i Simi, pokiwał głową, jakby potwierdzili jego wcześniejsze przypuszczenia. Zerknął na nieaktualny właściwie wykaz dyżurów i odłożył go na dźwięk niepokoionych przez gości drzwi.

Weszli jeden po drugim i zatrzymali się zaraz za progiem. Mieli na sobie standardowe lekkie mundury, dopasowane zgodnie z numeracją, ale leżące na nich, jak i na wszystkich espach, bez szczególnej elegancji. Ten, który wszedł pierwszy, był nieco niższy od Milta, ale o trzy czwarte głowy wyższy od swojego towarzysza. Ostre, kanciaste rysy, szczupły, kości pokryte cienką, twardą tkanką, napiętą, naciągniętą skórą. Obojętnym, mdłym spojrzeniem obrzucił najpierw pomieszczenie, a potem Brownella. Odczekał, aż kapitan obejrzy go i dopiero wtedy, nie usiłując nawet przyjąć postawy zasadniczej, powiedział:

- Kapral Omar Godrich. - Wyciągnął rękę i podał Brownellowi pancertę ze swoimi aktami.

Drugi, zgrabny, proporcjonalnie zbudowany mężczyzna o wzroście i twarzy oszołomionego światem dwunastolatka najpierw podał pancertę, a potem, w zdenerwowaniu jękając się, powiedział:

- Kapral Vallace John Cunningham, sir.

Milt przełożył obie pancerty do jednej ręki i uściśnął im dłonie. Gestem wskazał kanapę pod ścianą, a sam wrócił na fotel i wcisnął pojemniki do szczeliny czytnika, ale nie uruchamiał go. Żeby zyskać na czasie, wyjął papierosnicę i wysunął ją w kierunku Cunninghama i Godricha. Obaj zaprzeczyli ruchami głowy. Brownell zapalił, sam celebrując rozpalanie i usiłując zdefiniować niepokój, jaki nękał go od kilku minut, a przynajmniej określić jego przyczynę. Ani w oczach nowych kaprali, ani w ich postawie, zachowaniu czy wyrazie twarzy nie było nic, co mogłoby zdenerwować czy zniechęcić. Musiało to więc być coś związanego z rozmową z Ellą Readlef Trewinkard. Milt wypuścił w sufit strugę dymu.

- Milt Brownell - powiedział, wskazując kciukiem swoją pierś. - Posługujemy się stopniami w zależności od chęci i wizytujących. Nie mamy sztywnego rozkładu dyżurów, jak dotychczas wystarczała nam świadomość, że połowa składu jest w jednostce i że stale ktoś jest w gotowości do objęcia dyżuru i podjęcia działań. Można dowolnie zamieniać się z dowolnymi członkami oddziału, byle nie z tym, który aktualnie zakończył seans, to oczywiste. W każdej chwili można sięść do maszyny, jeśli ktoś ma ochotę, czuje się naładowany... Co jeszcze? Wolno stosować indywidualne strojenia, przystawki, modyfikacje, można odłączać i podłączać, co się chce, byle to nie przeszkadzało innym i byle nie wyłączyć archiwum. Każda walka musi być odnotowana. To najważniejsze przykazanie, na pewno je znacie z obozu przygotowawczego, drugie też znacie - maksymalna tolerancja wobec pozostałych espów i unikanie najmniejszych zadrażeń. To truizm, ale powtórzę go: jesteście - sam nie wiedział, dlaczego nie powiedział „jesteśmy” - najczulszymi układami bojowymi w historii ludzkości. Nikomu nie wolno zakłócać spokoju motyli bojowych.

- Czy to znaczy, że mamy chodzić w miękkich bamboszach? - niespodziewanie odezwał się Cunningham.

Zaskoczył Milta, który był przekonany, że pierwszy odezwie się Godrich, mały Vallace nie wyglądał w dodatku na taniego dowcipnisia.

- Gdyby większość tego chciała... - Wzruszył ramionami. - Ale tak nie jest. Nie mamy tu prohibicji ani nie jesteśmy pod kuratelą Ligi Czystości Moralnej. Kłócimy się i lubimy czy nie lubimy do woli, ale nikomu nie wolno kaleczyć innych. Ta zasada chroni również was.

- Oczywiście - odezwał się Godrich.

Miał dość wysoki, przenikliwy głos. Milt pomyślał, że zrobiłby karierę w czasach, kiedy dykcja spikera wyrównywała braki w aparaturze. Taki wyraźny głos, kojarzący się z cienkim, giętkim biczem, pasował do suchej, ascetycznej postury Godricha. To był bat. Milt nabrał niezachwianej pewności, że właśnie Godrich jest tym eksplodespem, niecierpliwie wcisnął klawisz czytnika i szybko przeleciał dane obu espów. Dane Godricha plasowały się w górnej części skali. Wyłamywały wskaźniki.

- Którymkolwiek korytarzem pójdziecie, po przejściu łącznika na dalszym jego rogu znajdziecie wasze kwatery, jedna na jednym rogu, druga - na drugim. Podzielcie się sami i podłączcie się do kompa. Reszta - standard. Gdy poczujecie, że jesteście gotowi, dajcie mi znać, włączę was do grafików i tak dalej. Wszystko jasne?

Godrich ograniczył się do skinięcia głową, Cunningham dodał do identycznego ruchu lekki uśmiech i poderwał się pierwszy. Milt wstał również i, czując, że robi z siebie durnia, lecz nie mogąc się powstrzymać, powiedział:

- Jediną kobietą w składzie jest sierżant Day Federiz. Aktualnie zawieszona w działaniach z powodów osobistych. Mamy takie powody...

Vallace popatrzył na niego ze zdumieniem, nie bardzo zrozumiał, o co kapitanowi chodzi. Spojrzenie Godricha nie zmieniło się, jego oczy nadal bezbłędnie udawały dwie elektroniczne protezy.

- Będziemy chodzić w bamboszach - powiedział.

I nie zwracając uwagi na stojącego z rozchyłonymi wargami Cunninghama, wyszedł. Vallace, nie zmywając niezrozumienia z oblicza, wykonał głową ruch pośredni między skłonem i skinieniem, i wyszedł również.

Milt kilka minut zastanawiał się nad własnym postępowaniem i nie znalazł niczego, prócz głupoty, co usprawiedliwiłoby jego ostatnią kwestię. Ale nie przejął się tym specjalnie, nigdy nie żałował tego, co już zrobił, a tym razem osiągnął efekt, jaki zamierzył. Ostrzegł nowych.

Zamknął drzwi i ponownie uruchomił czytnik. Metodycznie zapoznał się z danymi Vallace'a Cunninghama i uznał, że nie powinien być przyczyną jakichkolwiek kłopotów w przyszłości. Niemal klasyczny przypadek. Wrażliwa osobowość boleśnie przeżywająca brak wartościowego celu w życiu. Kilkanaście załamień. Namierzony podczas spowiedzi w katedrze Jana Chrzciciela, entuzjastycznie, rozpaczliwie entuzjastycznie przyjął propozycję. Niesłuchanie serio potraktował przeszkolenie, niemal na okrągło siedział w symulatorze, osiągając niezłe, ale w przeciętnej normie utrzymujące się wyniki.

Omar Godrich. Prawdziwe nazwisko - Sauer. Prawie żadnych danych biograficznych, respektowana odmowa zdjęcia zapisu pod hipnozą. Jako pobudki podaje nienawiść do wrogów i to jedyna rzecz, której specjaliści są pewni. Co do obiektu nienawiści powstają rozbieżności. Namierzony na ulicy szedł, emanując wrogością, ale niewątpliwie potrafił ją kierować. Znakomite wyniki na symulatorze, z którego zresztą bardzo niechętnie korzystał, jeden z psychologów stwierdził, że podejrzewa Godricha-Sauera o niemal sakralny stosunek do swojej nienawiści, co tłumaczyłoby niechęć do symulatora, jako niegodnej namiastki prawdziwej broni. Reszta informacji bez znaczenia. Milt wyłączył czytnik.

Niewątpliwie, jeśli któryś z nowych może przysporzyć kłopotów, to musi to być Godrich. Z drugiej strony entuzjasta, fanatyk niemal... W każdym razie odchylenie od normy.

- To nie zbrodnia - powiedział pół godziny później Milt do Niclasa Morra. - Może to nawet nasza przyszłość i nadzieja, ale w tej chwili odczuwam lęk przed wszystkim,

czego nie rozumiem, co wykracza poza znaną mi ścieżkę.

- Ale ta ścieżka wygląda na bardzo zdeptaną... - wolno, uważnie obserwując Brownella, powiedział Morr.

- Tak. Za dużo osób z niej korzysta. - Uśmiechnął się Milt. - Coś jak tłum ciągnący do piramid: powszednieją. Jakby każdy zabierał ze sobą kawałek ich prawdziwej wartości.

- A ten Godrich?...

- Godrich... - Brownell nabrał powietrza w płuca i przetrzymał je tam długo, jakby miało przez to nabrać wartości, nadać wagę jego słowom. - Godrich może wytyczyć nowy szlak. - Odnalazł w umyśle efektowne zakończenie zdania i natychmiast je wykorzystał. - Rzecz tylko w tym, dokąd nas on zaprowadzi: do Raju... czy do Piekła?

Morr nie poruszył się. Patrzył w okno.

- Pięknie powiedziane - rzucił drżącym głosem. - Mogę tylko rzec: Należ!

Parsknął śmiechem. Najpierw chichotał szczerze rozbawiony, ale już po chwili śmiech tylko ukrywał zmieszanie.

Jasper Butterwoth wyhamował przed drugim od końca bungalowem na ulicy. Chwilę on i samochód trwali nieruchomo, potem kilkoma ruchami Butterwoth zapewnił sobie anonimowość: przykleił krótkie szczeciniaste wąsy i wsunął za policzki dwa krótkie wałeczki z plastixu, co nadało jego twarzy kształt gruszki - wąska na górze i szeroka na dole, prawdziwe włosy przykryła płaska czapeczka z doklejonymi czarnymi włosami na brzegu. Wściekle różowa płaska teczka ściągała na siebie uwagę i utrudniała identyfikację właściciela.

Wyskoczył z wozu i posuwistym krokiem podszedł do ażurowej bramy. Rozsunęła się i energicznie zatrzasnęła za jego plecami posłuszna sygnałowi teczki. Jasper, starając się poruszać zupełnie inaczej niż zazwyczaj, długim krokiem wspiał się na kilka stopni i zanurkował w otwarte już drzwi. Wewnątrz zrzucił czapkę, odkleił wąsy, wyjął wałeczki i wrzucił do małego pudełeczka, które powędrowało do kieszeni.

- Ciągłe nie mogę się przyzwyczaić do tych twoich śmiesznych przygotowań - powiedział gospodarz, podchodząc z wyciągniętą dłonią do Jaspera. - Wiesz, że można poddać zdalnej analizie twój oddech i na tej podstawie niemal stuprocentowo zidentyfikować człowieka? Że komp może na podstawie twojej budowy przewidzieć, jak będziesz usiłował chodzić, żeby zmylić obserwatorów? Jest jeszcze kilkaset sposobów...

- Ale stosuje się, gdy już są jakieś dane. - Butterwoth niedbale uściśnął dłoń kruczowłosego pięćdziesięciolatka i wyminąwszy go, podszedł do barku. Nalał whisky na wysokość palca i usiadł na kanapie. - A ja po prostu staram się nie dawać powodu do tak kosztownych działań.

- Rób, co chcesz, ale zaczynam się zastanawiać, czy z kolei mnie nie wezmą pod obserwację, gdy któryś z sąsiadów zamelduje, że dość regularnie odwiedza mnie śmiesznie człapiący facet z teczką, w której nie może być nic innego jak materiały wybuchowe.

- No to zmienimy miejsce spotkań. - Niedbale machnął dłonią Butterwoth. - No... nie wiem. Nie wiem...

Brunet odwrócił się plecami do Jaspera i z rękoma w kieszeniach patrzył na ulicę. Butterwoth zmrużył oczy i popatrzył na niego z ukosa. Nie musiał się wysilać, żeby w słowach gospodarza doszukać się jakiegoś dodatkowego znaczenia, powstrzymywał się od pytań. Odwrócił spojrzenie od pleców towarzysza i zajął się równomiernym kołysaniem szklanki, nadając whisky ruch wirowy.

- Ostatnie twoje dostawy pozostawiają wiele do życzenia. - Brunet odwrócił się od

okna i usiadł w fotelu naprzeciw Jaspera. - Mówiąc oględnie - dodał. - A mówiąc wprost: gównu. Dwie mnemonetki z bardzo wyrafinowanymi formami walki i mętnie sformułowanymi werbalnymi koszmarami nadają się tylko dla wąskiej grupy intelektualistów i to pod wpływem kilku specjalnie dobranych narkotyków. Niech będzie. - Machnął ręką.

To seanse Simiego, pomyślał Jasper. Dwie orgietki, a właściwie ich początki. Zapowiadają się nieźle, ale urywają się, zanim cokolwiek konkretnego się zacznie.

- Do wyrzucenia. - Gospodarz ruchem ręki odrzucił „orgietki”.

Jasper zacisnął zęby. To ta cholerna pinda, niewyżyta cycatka, pomyślał.

- Przecież mówiłeś, że masz klientów, którzy lubią sam pomysł, resztę wolą dokomponowywać sami - powiedział, gotując się z wściekłości.

- A jak myślisz, ilu mam takich klientów, którzy podniecają się materiałem, a potem zajmują rękodziełem? - syknął gospodarz. - To dobre, jeśli ma się szeroką ofertę. Dla każdego coś mocnego. Dalej... Tylko ta ostatnia moneta do czegoś się nadawała.

- To była rzeczywiście ostatnia - wycedził Jasper.

- No to gratuluję. - Brunet starał się być ironiczny, ale słowa Jaspera zaskoczyły i rozwścieczyły go. - Chcesz powiedzieć, że tego towaru więcej nie będzie?

- Nie będzie. Programista wysiadł.

- Ty durniu! Wpuściłeś swojego najlepszego programistę? To kto ci będzie robił towar? Ten głupek, który ciągle na wszystkie strony obraca rycerza ze smokami? Po co go w ogóle dopuszczasz do kompa? Nawet dzieciaki tego już nie chcą!

- Przecież chciałeś mieć szeroki wachlarz monet z komp-symulacjami walk! Myślisz, że mam własny ośrodek obliczeniowy? Wiesz, jakie moce są potrzebne do takich symulacji? Robię to na lewo i nie mogę zaangażować wszystkich programistów!

- No to daj sobie spokój, Rob - powiedział brunet. - Jeśli następna partia będzie tak samo kiepska jak trzy ostatnie, to żegnamy się. Szkoda czasu, nawet państwowego komputerowego czasu, na te bzdury.

- Nie wysilaj się. - Jasper wychylił whisky jednym ruchem i poderwał się z kanapy. Nalewając drugą porcję, popatrzył na gospodarza. - Wydaje mi się, że zanim zacząłeś prowadzić ten interes z rozrywką dla znudzonej elity finansowej, musiałeś sam robić w tym, w czym ja siedzę.

- No to co?

- No to powinieneś wiedzieć, że są programiści, którym udaje się jedna dobra gra, którzy sypią nimi jakiś czas, a potem zdychają. Każdy może mieć chwile słabości. Mam dwóch nowych. - Jasper przypomniał sobie Cunninghama i Godricha. - Jeden wygląda naprawdę na dwa gigabajty. - Łyknął ze szklaneczki.

- No to dobrze - zupełnie innym tonem powiedział brunet. - Dla ciebie nie bardzo. - Jasper odłożył szklanekę i po raz pierwszy od początku rozmowy nie krył swojej wściekłości. - Ostrzegam cię, że nie jestem twoim narkomanem, którego szpikujesz rozkurczami i nagrywasz, żeby potem twoi wysublimowani klienci mogli bawić się jego odczuciami. Dostajesz ode mnie towar najwyższej klasy, nawet te rycerskie kawałki to nie pół kilo papki. Zresztą... - Machnął ręką. - Trochę cię rozumiem. Im bardziej skrytykujesz mój towar, tym mniej masz nadzieję mi zapłacić. Porzuć taką nadzieję: albo dajesz mi pełną stawkę, albo bye-bye! Jeśli ten mój nowy okaże się taką bombą, ostrzegam: podniosę stawkę. I ostatni raz przemawiałeś do mnie takim tonem...

- Spokojnie, chłopie. Ty też nie podnoś na mnie głosu. Obaj wiemy, że nawzajem się oszukujemy. Ja nie wierzę w twój ośrodek komputerowy, ty nie wierzysz w moją ocenę. W porządku. Odrzucimy emocje. Wezmę od ciebie jeszcze jedną, dwie partie... Ale nie groź mi, bo spróbuję dowiedzieć się, gdzie to w pobliżu znajduje się takie duże centrum...



- Spróbuj - spokojnie powiedział Jasper, starając się nie akcentować groźby zawartej w tym jednym słowie.

Wstał, pocierając wskazujący palec o kciuk. Brunet odczekał chwilę, umyślnie wolno oblizując wargi. Potem skinął głową.

- Jak zwykle - powiedział. - Tym razem przelałem ci jeszcze pełną stawkę. Nie rozpalaj się tak, Rob. Popiół łatwo zdmuchnąć.

Jasper darował sobie odpowiedź, upchnął za policzkami wateczki i przykleił wus. Starał się nie widzieć kpiącej miny gospodarza, świadomy, że żaden z nich nie zwyciężył wyraźnie w tej rozmowie. Ich stosunki od początku, od chwili, gdy Jasper sprzedał brunetowi pierwsze zapisy espseansów, nazywając je zwykłymi zaprogramowanymi walkami do domowego użytku, oparte były na stałym kłamstwie. Obaj okłamywali się nawzajem, obaj wiedzieli o tym i co jakiś czas próbowali wymusić na drugim zmianę istniejącego stanu rzeczy. Zwłaszcza w sferze finansowej. Obaj obawiali się siebie, ale byli też świadomi, że zbyt gwałtowne działanie któregokolwiek naruszy chwiejną równowagę i najprawdopodobniej zakończy zyskową współpracę.

Wymknął się z bungalowu bez pożegnania i posuwicie przemknął do samochodu. Skąpą charakterystycę zrzucił dwa skrzyżowania dalej, gdy się upewnił, że - tak na oko - nikt go nie śledzi, a stan konta zweryfikował kilka minut później. Wjeżdżając na teren jednostki obok sennego wartownika, niedbałą postawą, układem ciała manifestującego zaufanie do elektronicznej strażnicy, zapomniał już o słownej potyczce z brunetem. Z marszu, zostawiwszy wóz przed bramą garażu, wszedł do windy i zjechał do centrali. Nieprzyjemnie zaskoczyła go obecność Milta. Siedział w kącie twarzą do foteli i przyglądał im się z miną kota pilnującego wyjścia z mysiej nory. Wydawało się, że czeka, który z nich się poruszy, żeby skoczyć i wziąć go pod obcas. Miał na twarzy wypisane oczekiwanie i niepokój, może nawet strach. Butterwoth omal się nie cofnął z powrotem do windy, zakołysał się na palcach i ruszył w kierunku Milta, wyrывая go z zamyślenia. Skinęli do siebie głowami bez słowa. Milt sięgnął do papierośnicy - najwyraźniej nie miał ochoty na rozpoczęcie rozmowy. Jasper podszedł do kaset i wlał w siebie bez specjalnej przyjemności kubek soku. Obaj wyczuwali jakąś dziwną smugę niesprecyzowanej niechęci kłębiącej się w centrali. Obaj byli tym zdziwieni. Jasper cisnął kubkiem w klapę śmietnika i podszedł do swojego fotela. Matowosrebrny ekran pokazał mu, że Milt odwrócił fotel, skorzystał z tego i wcisnął czystą mnemonetkę w szczelinę rejestratora. Od pół roku zdobywał w ten sposób zapisy wszystkich seansów, bez skrupułów sprzedawał również swoje seanse, złościąc się, że nie były najwyższej notowane przez kontrahenta z bungalowu. Odchylił oparcie fotela i zablokował emisję, ruszył na przeczesywanie eteru. Czasem udawało się przechwycić sygnał, który komp ze względu na słabość pogardliwie opuszczał. Wolniutko manipulował stroikiem, zastanawiając się, ile jeszcze powinien tu posiedzieć, zanim będzie mógł wyjść, nie wzbudzając zdziwienia Milta. Z ulgą usłyszał, że za plecami niemal niesłyszalnie odetchnęły drzwi windy.

- O?! - usłyszał głos Simiego. - Nie będę się nudził.

Kusley rzucił okiem na wskaźniki najbliższego wzmacniacza i ruszył w stronę Milta. Przechodząc obok Jaspera, pokiwał w powietrzu, patrząc w pełniący aktualnie funkcję lustra ekran, potem trącił kolanem jeden z foteli i gdy ten się odwrócił, zwałił się w jego objęcia. Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, sapnęły drzwi i pojawił się kapral Godrich. Zrobił krok i zatrzymał się. Obojętnym uśmiechem i skinieniem głowy przywitał się i natychmiast przeniósł wzrok na fotele. Od razu upodobał się do skąpca przeglądającego swoje skarby. Długą chwilę pieścił wzrokiem wskaźniki, a potem, opierając się na wskazaniach liczników, nieomyślnie wytypował najmniej używany fotel i podszedł do niego. Milt i Simi przyglądali się, jak stojąc z dłońmi na oparciu fotela,

lustruje systematycznie wszystkie optyczne indykatory i jakby zadowolony klepie w oparcie.

- Ten jest wolny? - Odwrócił się do Milta.

- Tak - odpowiedział Brownell. - Chcesz dzisiaj rozgrzać się trochę na zimno?

- Nie. Chcę lecieć - spokojnie oznajmił Omar Godrich i nie odrywając dłoni od fotela, obszedł go i usiadł. - Mogę? - zapytał, patrząc przed siebie z nogą już na pedale włącznika.

- Jeśli chcesz, proszę bardzo - powiedział Milt i zerknął na Simiego.

- Nic nie ma!... - stęknął Jasper, wstając z fotela.

- Poszukam - spokojnie skwitował jego informację Godrich i włączył wzmacniacz.

Jego ruchy nabrały miękkości, która dotychczas nie ujawniała się ani w słowach, ani w gestach. Pieszczotliwie musnął stroik, jeszcze nie założywszy hełmu. Szybko i płynnie przeczesał całą skalę i zmienił zakres. Dopiero teraz włożył na głowę hełm i - jakby niezadowolony z zachowania aparatury - skasował całą jej pamięć, po czym od zera, systematycznie, zaczął ustawiać ulubioną konfigurację. Patrząc na niego, nikt nie powiedziałby, że po raz pierwszy siedzi w bojowym fotelu. Pewnie sięgał do poszczególnych wymierników, całą peryferię dostrajając do swych upodobań. Wysunął nawet, czego nikt nigdy nie robił, całą płytę, tak że gdy opadł na fotel, zawisła nad nim. Znieruchomiał na chwilę i włączył wzmacniacz. Podniecony Jasper wychylił się do Kusleya i szepnął:

- Założę się, że...

Simi uderzył go pięścią w ramię i pogroził. Nieruchomo patrzyli, jak Omar Godrich wystartował do samodzielnego poszukiwania, zrobił coś, czego nikt nie próbował. Wszyscy godzili się z teorią, że tylko wyjście na już namierzony cel nie powoduje rozproszenia mocy emisji. Godrich zaś runął w eter, a jego przekonanie o właściwości postępowania niemal namacalnie uderzyło w trójkę espów. Jasper obliznął wargi szczęśliwy, że założył do rejestratora nową mnemonetę. Milt oderwał wzrok od Omara i przechwycił spojrzenie Simiego. Zastanawiał się, czy było to przypadkowe, czy Simi również poczuł nienawiść Godricha jak uderzenie fali zimnego powietrza. Gdzieś nad skroniami odezwał się lekki ucisk. Brownell zacisnął zęby. Gdyby nie Jasper, zaciągnąłby Simiego do WC i spróbował porównać odczucia, wyciągnął nawet rękę, żeby trącić Kusleya, ale przeszkodziło mu wejście do corralu Hala i Delfa. Barnaba otworzył usta, ale zamknął je pod wpływem pełnych napięcia spojrzeń, które rzucili im obecni w corralu espowie, wracając zaraz potem do obserwowania Godricha. Delf wyrzwał zza pleców Hala i pierwszy ruszył w ich stronę.

Godrich leżał nieruchomo, nawet nie drgały mu powieki, tylko minimalnie unosiła się pierś przy oddechu. Towarzyszyło jej falowanie kilkunastu wymierników, wynikało z nich, że Omar wciąż patroluje eter, systematycznie szukając wrespa. Napięcie nieco spadło, Godrich jakby świadom tego, przyspieszył. Milt jeszcze raz popatrzył na Simiego, ale Kusley nie odrywał spojrzenia od Omara. Przechwycił natomiast nerwowe spojrzenie Jaspiera, który co chwilę zerkał niespokojnie na własny fotel. Brownell zapomniał o Godrichu, cofnął się nieco i zajął ostrożnie obserwacją Butterwotha, wpił się wzrokiem w jego głowę i nagle zrozumiał, o co chodzi. W ułamku sekundy ulotniło się całe zainteresowanie seansem Godricha. W duchu obrzucił Jaspiera stkiem najwymyślniejszych obelg, ale powstrzymał się od jakiegokolwiek ruchu. Natomiast Butterwoth nerwowo poruszył się kilka razy, jakby nagle zaczął go uwierać kołnierzyk. Milt szybko odwrócił się.

Godrich wylądował. Otworzył oczy i kilka sekund leżał nieruchomo, potem delikatnym pchnięciem kolana odsunął płytę wzmacniacza i poderwał się z fotela. Jasper jeszcze raz rzucił szybkie spojrzenie na płytę przed swoim fotelem. Milt wstał i zanim ktokolwiek zareagował, zwrócił się do wszystkich.

- Mamy tu prawie cały skład, więc jest świetna okazja, żeby... Chcę wyjaśnić pewną rzecz. - Odwrócił się do Butterwotha i wycedził przez zęby: - Od kiedy to robisz?

Jasper wytrzeszczył oczy, kąciki ust lekko opadły.

- Jak mi powiesz co, to ci powiem od kiedy - powiedział spokojnie.

Brownell, opleciony zdziwionymi spojrzeniami czwórki espów, podszedł do fotela Butterwotha i chwilę stał nieruchomo. Już idąc do corralu, zorientował się, czym zainteresowany był Jasper. Teraz stał tyłem do reszty, starając się ukryć zadowolenie. Pchnął fotel i przysiadł na podłokietniku.

- No więc mówię: od kiedy nagrywasz nasze seanse dla własnych celów?

Wszystkie oczy skierowały się na Jaspiera. Drgnęły mu kąciki ust. Milczał.

- Ty bydlą-aku... - jęknął Delf.

Jasper nagle zerwał się i stanął w rozkroku z zaciśniętymi pięściami.

- Bo co?! - wrzasnął. - Każdy może nagrywać, czego się czepiacie?

- Może, ale swoje - powiedział Milt, wciąż siedząc na fotelu Butterwotha.

- Kto ci pozwolił włączyć w nasze sprawy?! - powstrzymując się od płaczu krzyknął Delf.

Jasper przeniósł na niego wściekłe spojrzenie. Zdawał sobie sprawę, że pogarsza tylko swoją sytuację, ale jakiegokolwiek hamulce przestały działać. Poczucie krzywdy, niesprawiedliwości zagarnęło go wysoką falą i poniosło na głębinę.

- Zamknij się, pedi - rzucił z pogardą. - Normalni ludzie nie mają nic do ukrycia, to po prostu takie czy inne personifikacje walki. To nie moja wina, że masz się czego wsty...

Hal wykonał szybki ruch, najszybszy ruch w swoim życiu, potężnie trafił Jaspiera w mostek. Poza nim i Butterwothem, który po ciosie odleciał kawałek do tyłu i obsunął się po ścianie na podłogę, nikt się nie poruszył.

- Handlowałeś tym! - oświeciło Milta. - Ty parszywy gównojadzie...

Zsunął się z fotela i wolno zbliżył się do Butterwotha, który poderwał się z podłogi i stał, oddychając płytko. Prawą rękę trzymał na śródpiersiu, poruszył palcami, sięgając do kieszeni, a wtedy Hal poruszył się jeszcze raz i, zanim Milt zdążył otworzyć usta i powstrzymać go, całą siłą ramienia pomnożoną przez impet zwalistego ciała strzelił Jaspiera w twarz. Rozległ się trzask, zaraz potem drugi, gdy tył głowy Butterwotha zderzył się z metalową ścianą. Wiotkie ciało miękko opadło na podłogę, niemal bezgłośnie. W głuchej, nabrzmiałej przeczuciem ciszy poruszył się najpierw Barnaba, przestępujący z nogi na nogę, niestabilny jeszcze po skoku. Potem z tyłu pisnął podeszwami Godrich, ominął nieruchomych Milta i Hala, kierując się pod ścianę. Przykucnął przy olbrzymiej, rzuconej bezładnie na podłogę marionetce. Wpatrywał się chwilę w Jaspiera, a gdy Milt się poruszył i podszedł bliżej, popatrzył na niego z dołu.

- Przetracony kark - powiedział beznamiętnie. Sięgnął do kieszeni na lewej piersi Jaspiera. Niemal od razu wyjął z niej małego, płaskiego crossa 0,25. Wciąż siedząc na piętach podrzucił go kilka razy na dłoni, jakby chciał zapamiętać wagę pistoletu i podrzucił go wyżej, w kierunku Milta. Brownell złapał broń i rozejrzał się po obecnych, jakby powołując ich na świadków, wrócił spojrzeniem do ciała Jaspiera.

- Szkoda - stęknął Godrich, prostując się. - Lepiej, żeby wystartował...

- Nie jesteś przesadnie sentymentalny... - odezwał się Kusley.

- A niby dlaczego mam być? Przecież to wojna. Niech wam się nie wydaje, że różni się czymś od ataku czołgów czy dywanowego nalotu. Wojny nie da się prowadzić w białych rękawiczkach.

- Wydaje mi się... - zaczął Simi.

- Przepraszam, ale nie mam ochoty na dyskusję - przerwał Godrich. Zrobił kilka kroków w kierunku drzwi windy. Zanim się otworzyły, odwrócił się do wciąż nieruchomej grupki espów i dodał: - W każdym razie wolałbym to - wskazał ciało

Butterwotha - niż pranie, jakie go czekało.

Wsunął się do kabiny i zniknął za drzwiami. Milt włożył pistolet do kieszeni i przysunął się do wciąż nieruchomo stojącego Barnaby. Położył mu dłoń na ramieniu i spróbował tym gestem powiedzieć wszystko, ale Hal nie odrywał oczu od martwego Butterwotha. Milt szarpnął go mocno za ramię.

- Dziękuję - powiedział i jeszcze raz potrząsnął olbrzymem. - Miałem już tylko kilka sekund życia. A Jasper sam wydał na siebie wyrok, rozumiesz? - Hal wolno odwrócił się i popatrzył Miltowi w oczy. Szukał dla siebie usprawiedliwienia. - Gdyby nawet zdołał mnie zastrzelić i tak powędrowałby na fotel. Umarł, gdy sięgnął do kieszeni.

Z drugiej strony do Hala podszedł Delf, prawą ręką chwycił go za nadgarstek, a lewą ścisnął jego palce.

- Ja też dziękuję - powiedział.

Zerknął szybko na Milta, ale nie znalazł w jego spojrzeniu drwiny. Uśmiechnął się z wyraźną ulgą. Zrobił krok do tyłu, nie wypuszczając ręki Hala ze swych dłoni. Barnaba ponuro skinął głową Miltowi i nie odzywając się, zrobił krok, potem drugi. Delf, szczipły, wątpy jak wyrostek, ciągnął go za sobą do windy. Milt odwrócił od nich spojrzenie i głęboko wciągnął powietrze w płuca.

- Miewasz przecucia? - rzucił w powietrze.

- Raczej nie - ostrożnie, z namysłem powiedział Simi.

- A ja tak. Od pewnego czasu. Po wyjeździe pani prezydent poczułem, że coś się ruszyło. Ze nadejđą zmiany... - Wzruszył ramionami. - No i masz...

- A teraz?

Milta zastanowiła dziwna intonacja w pytaniu Simiego. Odsunął się od ciała Butterwotha, obszedł fotel, uruchomił zegaretkę i wywołał sekcję medyczną. Krótko poinformował lekarza o wypadku w bloku DEU, zaraz potem powiadomił o wszystkim generała Morra. Wreszcie skinął na Simiego.

- Wynieśmy go na korytarz i chodźmy do mnie. Musimy porozmawiać.

Nie umawiając się, wstrzymali oddech, podnosząc Butterwotha, a niosąc bezwładne ciało oddychali przez usta, jakby bojąc się zapachu śmierci. Minutę po ich wyjeździe na powierzchnię w korytarzu pojawił się wózek i dwaj sanitariusze.

- Chodźmy. - Milt trącił Kusleya i poszedł pierwszy. Simi milczał, dopóki nie znaleźli się w mieszkaniu Brownella, nie odzywał się, gdy Milt krótko poinformował Day o śmierci Jaspera. Usiadł w fotelu i obserwował czubek swojego buta. Podniósł wzrok dopiero, gdy Day powiedziała:

- Wiedziałam, że to gnida!

- Nie chciałbym zejść z tego świata z takim epitafium - powiedział.

- No to żyj inaczej - rzuciła zawzięcie i wyszła do kuchni.

Trzasnęły drzwi lodówki, zagrzechotały kostki lodu i brzęknęła butelka. Day wróciła do pokoju i zatrzymała się, patrząc po kolei na Brownella i Kusleya.

- To nie stypa - powiedziała, wysuwając nieco do przodu tacę z ładunkiem dla dwunastu osób. - Musi być jakieś święto, jeżeli sierżant Kusley odrywa się od swej gitary i odwiedza przełożonego i koleżankę.

Postawiła tacę na stoliku, wyczekująco popatrzyła na Milta, który zawahał się, ale podjął decyzję i sięgnął po butelkę, siadając w fotelu. Pokazał ją Simiemu i uzyskawszy aprobatę, nalał trochę do trzech szklanek.

- No więc to wygląda tak... - powiedział jakby kończąc zaczęta wcześniej rozmowę.

- Na zbiórce z kapitanem Screwburym poczułem bardzo wyraźnie, że oddział go nienawidzi. Nie wiem, czy była to jednoczesna, grupowa eksplozja, czy też ktoś z was samodzielnie wypromieniował z siebie parę kilo tego wspaniałego uczucia? W każdym razie było wyraźne jak powiew zimnego wiatru i tak je odczułem. Popatrzyłem nawet na flagę, ale wisiała jak śnieża flądra. Po raz drugi miałem podobne uczucie, gdy

Screwbury wykladał mi swoją teorię prowadzenia espwalki... Powiało od niego żarem maniaka, czułem się, jakbym stał w strudze płomienia z dyszy odrzutowca. Trzeci raz opuszczę - uśmiechnął się do Day - to prywatna sprawa, tym niemniej był i trzeci raz. Dzisiaj, tam na dole... - wskazał kciukiem podłogę - był czwarty. Kiedy Omar zasiadł na sedesie.

Uniósł szklaneczkę do ust, a gdy niemal dotknęła warg, odchylił głowę i niczym kowboj z archiwalnego westernu, wlał w usta zawartość naczynia.

- Chcę się teraz dowiedzieć - zapalił papierosa i wypuścił dwa kłęby dymu - czy wam też się to zdarzyło.

- Mnie nie! - zdecydowanie, po sekundowej przerwie powiedział Kusley.

Day odstawiła swoją szklaneczkę i opuściła głowę, puszyste włosy opadły, zakrywając twarz przed wzrokiem mężczyzn. Szybkim ruchem podniosła głowę, odrzucając włosy.

- Nie - powiedziała równie zdecydowanie.

Milt skrzywił się i cmoknął. Wyciągnął dłoń do butelki, ale zamiast ją chwycić, pomachał palcami w powietrzu i opuścił dłoń na kolano.

- Zatem albo mam omamy, albo... Możemy to sprawdzić? - Popatrzył na Kallleya.

Simi skinął głową i odstawił swoją szklaneczkę, nawet nie umoczył ust.

- Dajcie jakiś papier i pisak - powiedział do Day. - Kilkanaście kartek.

Day sięgnęła do kasety ściennej i wyjęła z niej, spod sterty pudełek i postrzępionych książek, blok papieru i pojemnik z trwałopisami. Simi popatrzył na Milta.

- Ty usiądź tam... - Wskazał miejsce o dwa metry odległe od stolika. - Tyłem do nas, a ty napisz na dziesięciu kartkach jakieś litery.

Milt przesunął fotel i odwrócił go. Usiadł tak, że widzieli tylko czubek jego głowy. Day szybkimi ruchami nakreśliła na kartkach duże litery i popatrzyła na Simiego.

- Teraz usiądź twarzą do mnie - polecił. - I pokazuj mi kartki tak, żebyś sama nie widziała jaka to litera. I staraj się nie przeszkadzać.

- Nawet nie wiem, jak bym to mogła zrobić - napastliwie rzuciła Day.

- Cicho tam! - zawołał Milt. - Przeszkadzacie mi w koncentracji.

Day podniosła pierwszą kartkę i pokazała Simiemu „S”. Kusley rozpiął guzik koszuli i wbił spojrzenie w kartkę. Starał się nie widzieć Day i jej uważnego spojrzenia, zacisnął zęby i zaczął czubkiem języka wyłamywać dziurę w podniebieniu.

- Zet? - powiedział Milt.

Simi uniesionym palcem powstrzymał Day od odzywania się i ponaglił, by pokazała następną kartkę. Milt poruszył się, jakby chciał się odwrócić i popatrzeć na nich, ale zrezygnował. Day uniosła kartkę z owalem „O”. Simi skoncentrował się.

- O? - zapytał Milt.

Day pokazała „I”.

- El - mruknął po chwili Milt.

- Cztery trafienia z dziesięciu - powiedział Simi po trzech minutach. - Siedź tam jeszcze! - Zatrzymał wstającego Milta i gestem przywołał do siebie Day. Przykucnęła obok jego fotela z plikiem kartek. Simi wyjął jedną i położył na stoliku. Day zmrużyła oczy, jakby blask niedbałego "A" kłuł ją w oczy.

- A! - prawie natychmiast powiedział Milt. Następne było widlaste „E”.

- E...

Simi położył dłoń na ramieniu wiercącej się Day i pokazał palcem drugiej ręki „T”.

- Te!

Następne było „J”.

- Jot?

Kolejną literą było „K”, Simi wziął kartkę i odwrócił ją do góry nogami. Milt milczał. Prawie pół minuty.

- To coś innego... - powiedział niepewnie. - Jakiś znaczek? Flaga? Ćśśś... - zamruczał coś pod nosem. - Topór? - Uniósł ręce do góry. - Poddaję się...  
- Dalej - ponaglił go Simi, wpatrując się w węzowe „Ś”. - Już było - es...  
- Powiedziałeś wtedy: zet! - nie wytrzymała Day.  
- No to pomyliłem się - zgodził się Milt. - Teraz widzę dużo wyraźniej. Simi wrócił do „K”, ale już w normalnej pozycji. Milt zareagował natychmiast:  
- Ka!  
- Dobra, wracaj tu. Nie ma sensu dłużej się wygłupiać... - skwitował sierżant.  
Zgarnął i wyrównał kartki, podczas gdy Milt przesuwiał fotel i nalewał sobie porcję brandy.  
- Nawet laik zrozumie, że jesteś znakomitym odbiornikiem. Zwłaszcza po wzmocnieniu, gdy nadawaliśmy oboje - powiedział Kusley. - Stuprocentowa niezawodność i w takich warunkach. - Pomachał palcami, pokazując nimi pokój; jego ściany i sufit.  
Uniósł swoją szklankę i zaprosił Day i Milta do uczczenia wspólnego odkrycia. Milt uśmiechnął się szeroko i pokręcił głową z niedowierzaniem, potem wlał w usta trochę brandy i znowu pokręcił głową. Parsknął cichym śmiechem.  
- Jak się czujesz? - zapytała Day. - Jak to jest: czytać cudze myśli?  
- Nieprzyzwoite. - Milt się roześmiał. - Któreś z was ma ociekające rują myśli... - urwał, widząc, że obojgu kamienieją twarze, a Day dodatkowo jeszcze się rumieni. - Przestańcie! Przecież żartuję! Nic nie słyszę!  
Zmieszany szybko zajął się papierosnicą i rozpalaniem nowego papierosa.  
- No tak.. - rzucił w przestrzeń Simi. - Dużo się w takim razie zmieniło - westchnął.  
- W fantastyce chyba nosi się czepki ze srebrnego drutu, żeby odizolować się od telepaty. - Uśmiechnął się lekko w stronę Day. - Będzie ci do twarzy w srebrnej siateczce z perłami, na przykład. Milt kupi ci na urodziny.  
- Przestań! - zawołała Day.  
- Właśnie - poparł ją Brownell. - Bo zabniemy tak daleko, że w życiu nie przekonam was...  
- Iluzja - roześmiał się Simi.  
- Co? - zapytali jednocześnie Day i Milt.  
- Kpienie, naigrywanie się. Łacina - wyjaśnił Simi. Dopił swoją brandy. - Jednakże należy się zastanowić, co dalej?  
- Na pewno musi to zostać między nami. Nie mam zamiaru przekonać się na własnej skórze - uśmiechnął się - co to ostracyzm.  
- Greka - uzupełniła Day.  
- Yhy. Ale nie mam pomysłu, jak można wykorzystać i czy w ogóle można. Przychodzi wam coś do głowy?  
- Mnie nie - powiedziała Day wstając. - Może zrobię kawy i napijemy się whisky. Lód się marnuje. - Wskazała szklany sześcian z topniejącym lodem.  
- Myślę - wolno zaczął Simi - że Volpertowie posługiwali się czymś podobnym Jakimś rodzajem telepatycznego kontaktu...  
- No, no?  
- I zastanawiam się, czy nie mógłbyś też spróbować z kimś...  
- Mam rozumieć, że proponujesz...  
- Nie, nie mam na myśli siebie. To by nam nic nie dało, może tylko nieco pewności siebie, ale gdybyś tak... - Popatrzył na drzwi do kuchni.  
- A-a-a... - Brownell odchylił się w fotelu i potarł czoło dłonią. - Można byłoby się dowiedzieć, jak ona ucieka z eteru... - powiedział cicho.  
- A jak się nie zgodzę? - dobiegło ich z kuchni.  
- Dlaczego miałybyś się nie zgodzić? - zapytał Milt.

- Bo się wstydzę, tępaku! - krzyknęła wściekła.  
- Z tym sobie poradzimy. - Odchrząknął niedbale. - Zostaw ten ekspres i chodź tutaj. Możemy się napić bez kawy. - Szybko powrzucał lód do szklanek i nalał ogromne porcje. - Wypijemy to i powiesz nam, jak to robisz, a ja spróbuję cię odczuć, dobrze?  
- Opowiadałam ci już, to nic nie daje...  
- Tak - zgodził się Milt - ale właściwie co innego mam na myśli... - Odwrócił wzrok od Day, która stała obok fotela z dzbankiem parującej kawy i popatrzył na Simiego. - Wpadłem kiedyś na pomysł, żeby podłączyć mieszkania do centrali. Chodziło mi przede wszystkim o to, by Sabo i Delf mogli pracować razem mimo Screwbury'ego, ale zacząłem od swojej kwatery. - Wstał i podszedł do pulpitu kompa. Bawił się kilkanaście sekund klawiaturą, a potem odwrócił się i teatralnym gestem wskazał ścianę. Trzy czy cztery sekundy nic się nie działo, potem płaszczyzna pękła w połowie wysokości, a połówki wtopiły się w podłogę i sufit. Kompletny wzmacniacz beknął cicho i jak wytrawny sztukmistrz, stopniowo odsłaniający kufer, w którym powinna się znajdować śliczna asystentka, a leży puszysty królik, włączył poszczególne sekcje, natychmiast uruchamiając testery i obciążając moduły próbnymi przebiegami. Milt przykucnął przy Day.  
- Polecimy? - zapytał. Przytulił się policzkiem do jej ramienia i wiedząc, że Simi tego nie widzi, leciutko pogłaskał jej prawą pierś. Day drgnęła, a Milt dodał: - Simi będzie czuwał nad nami. Jeśli pokaże się jakiś obiekt, natychmiast wyłączysz piec. - Popatrzył na Kusleya. - Zgoda?  
Day zrozumiała, że pytanie skierowane jest do niej. Objęła Milta za szyję i pocałowała w ucho. Poderwała się szybko na nogi.  
Milt przysunął jej fotel i podał hełm na giętkim wysięgniku, potem ustawił w szeregu z poprzednim swój fotel i nałożył na głowę drugi hełm. Niemal identycznymi ruchami poprawili się w fotelach. Day sięgnęła do stroika i trzymając go w ręku, włączyła hunter, a potem, po ledwo uchwytnym wahaniu, uruchomiła emisję. I odlecieli.

*Zamykam oczy i przypominam sobie fasadę pałacu Nanti-J. Wszystko widzę, ale jednocześnie nie wiem, który to już raz odkrywam... wściekam się na ułomność własnego umysłu, pamięci, wyobraźni. Zapamiętane obrazy są u mnie sprzężone z gałkami ocznymi -gdy przywołuję jakieś wspomnienie, gdy tylko nadlatuje - jest wyraziste, widzę wszystko. Ale gdy tylko się zbliży, to jest tak, jakbym zbyt blisko podszedł do budynku, widzę tylko kawałek, ten przed własnymi oczami. Gdy chcę zobaczyć pałac, widzę go tylko przez chwilę, potem, gdy usiłuję skoncentrować wzrok na jakimś szczególe, ucieka mi wszystko. Cały pałac w jakiś przedziwny sposób odsuwa się, jakby poganiany moim spojrzeniem, jakby był półkolistym mydłem, które chcę przytrzymać na dnie basenu czubkiem wskazującego palca. Wystarczy, bym odwrócił nieco spojrzenie zamkniętych oczu, a pałac nieruchomieje i kusi swym pięknem. I kolejny raz rzucam się nań pełen nadziei, że tym razem go złapię, przytrzymam. Jednocześnie jestem przekonany o bezsensowności takiego działania, nauczony tysiącami takich prób. Tępo, uparcie ponawiam, ponawiam, ponawiam... W końcu rezygnuję. Oddalam się od tego przedziwnym sposobem wtopionego w przezroczysty, ale wcale przez to nie przejrzysty kryształ, model zadziwiającego pałacu. Chwilę się zastanawiam, jak stąd wyjść. Czuję, że jestem otoczony miękkimi, ale stanowczymi ścianami, żeby wyjść muszę się kręcić, szukając pustki przed sobą, i wkraczać w tę pustkę, iść nią tak długo, aż wyczuję przed sobą ścianę. Po kilkunastu zwrotach czuję nagle, że coraz mniej razy się myślę. Odczuwam czyjąś obecność obok siebie, tak coś lekko frunie nade mną, wyraźnie wyprowadza mnie z labiryntu. Przyspieszam, ale nagle zwalniam. Dlaczego mam się kręcić, jeśli wystarczy wzlecieć i*

*zostawić labirynt w dole? Prostuję się na całą wysokość, wypęlam z siebie fałowym ruchem i o wiele lżejszy lecę nad labiryntem, który - jakby zawstydzony łatwością mojej ucieczki - zapada się i znika. Chwilę kotuję, żeby odnaleźć swojego przewodnika. Nie ma go, aż nagle uderza we mnie z tyłu, na kilka sekund skuwa mnie paraliżujący strach, ale zaraz potem wokół mnie eksploduje fala energii i wchłaniam ją całą. Nie ma nikogo więcej, ale to mnie nie martwi. Jestem ja, jestem Ja, JA! Chwilę wiruję dumny ze swej potęgi, a potem rozwijam się i niczym sterowana błyskawica, prosta, przeraźliwa mknę w stronę, gdzie wyczuwam czyjaś obecność...*

Sierżant Simi Laza Kusley nie miał wątpliwości, że tandem zadziałał - po kilkunastu sekundach emisji sygnał mocy empatycznej skoczył nagle i zatrzymał się na nieosiągalnej dotychczas nawet w połowie wartości. Jednocześnie Day i Milt rozluźnili się, oklapnęli w swoich fotelach. Simi podszedł bliżej i oparł dłoń tuż obok wyłącznika emisji, chociaż hunter uspokajał zielonym, równym światłem. Kilka minut Day i Milt leżeli nieruchomo, wzmacniacz systematycznie sondował eter, a potem serce Kusleya podskoczyło spazmatycznie, jak koła wozu, które trafiły na kilka grad na równej dotychczas powierzchni. Day wyraźnym, martwym, pozbawionym wyrazu głosem powiedziała: - Zostaw... Zostaw... Simi!

Pot wystąpił na czoło Kusleya. Spazmatycznie przełknął ślinę, omal nie krztusząc się nią, i łokciem wytarł czoło. Drugiej ręki nie odrywał od wyłącznika.

- Nie wyłączaj - odezwał się Milt.

- A jeśli ktoś już was załatwił? - wychrypiął Simi.

Nie otrzymał odpowiedzi. Dwa bezwładne ciała leżały w swoich fotelach. Wskaźnik huntera zmienił barwę. Nic nie mogło ich złapać, skoro dotychczas hunter milczał, pomyślał Kusley. Po co się zgadzałem na ten eksperyment, kretyn! I co teraz zrobić?

*...Ależ to jest małe i słabe?! Puchowy kłębek, który mógłbym zmiażdżyć kichnięciem! Ostrożnie wyhamowuję i badam psiaka. Wisi nieruchomo, najpierw wydaje mi się, że wzorem małych zwierząt udaje martwego, pełen nadziei na ocalenie, ale zaraz potem wyczuwam, że to nie jest zupełnie tak. On wcale nie jest bezbronnym maleństwem, a leży w ten sposób, bo po prostu tak chce. Jego bezruch i puszystość są mylące, ale nie jest też pułapką czy przynętą. Nudzi mnie. Śmigam wokół niego i odlatuję, przebywając z każdą sekundą miliardy mil. Wracam...*

Oba ciała poruszyły się jednocześnie i znowu znieruchomiały, ale już w inny sposób. Teraz niemal widoczna była zawarta w nich energia. Simi odetchnął i otarł pot z czoła, rękaw koszuli już niemal nie wchłaniał wilgoci. Kusley odczekał chwilę i widząc klasyczny powrót, pobiegł do łazienki i z ogromną przyjemnością włożył głowę pod kran z wodą. Gdy wrócił do pokoju, Milt gramolił się już z fotela, a Day nieco apatycznie przyglądała się jego niepewnym ruchom.

- Jesteście mi winni co najmniej dwa lata życia, każde z was! - powiedział Simi świadomy, że szeroki uśmiech rozlewa się po całej twarzy. - Wiesz, że rozmawialiście ze mną?

Milt potrząsnął głową i popatrzył na Day. Oparła głowę na zagłówku i przymknęła powieki.

- Day? Wszystko w porządku?

- Tak, tak... Usiłuję wszystko przemyśleć na gorąco... Jak rozmawialiśmy z tobą?

- Najpierw ty powiedziałaś, żebym zostawił... Pewnie chodziło o wyłącznik, właśnie



miałem go użyć. A zaraz potem ty powiedziałaś: „Nie wyłączaj”. Wykąpałem się we własnym pocie.

- Jeśli coś mówiłem, to nieświadomie, a na pewno nie zachowałem w pamięci tego wyczynu. Day, czy to coś było takie bezbronne?

- Nie, na pewno nie... Nie potrafię tego określić... - Chwyliła mocno podłokietniki fotela i wstała. Szybko odwróciła się od panelu wzmacniacza. - To było coś, czego nigdy nie widziałam, ani o czym nie słyszałam. Powiedziałabym, że to było coś jak zwinięty w kłębek wąż, gdyby nie to, że wąż kojarzy się nam zawsze z czymś niemiłym. W każdym razie to coś nie chciało się uaktywniać.

- Wszystko się zgadza... - Milt odwrócił się do Kusleya i stuknął go palcem w pierś. - Ten wresp po prostu nie miał ochoty na walkę. Nie bał się, nie palił do roboty. Po prostu był tam i... Nie wiem... Jakby zależało mu tylko na tym byciu...

Simi Laza Kusley zrobił dwa kroki do tyłu i po omacku chwycił butelkę. Milt z zapałem kiwnął głową i szybko podstawił swoją szklankę. Day podziękowała ruchem głowy.

- Masz świadomość wagi... - zawiesił głos Simi, gdy wypili i Milt rozpałił papierosa.

- Chyba tak - uleciało pod sufit z kłębami dymu.

- Myślicie, że agresja jest stymulowana obopólnie? - zapytała Day. - Ze jeśli żaden z espów jej nie okaże, to nie będzie walki?

- Kto wie? - sapnął Milt.

- To by znaczyło - Day podeszła do nich i przysiadła na oparciu fotela Milta - że nie ma żadnej wojny?

- Powiedziałbym inaczej, że może nie być wojny - wolno sprecyzował Kusley.

- Oboje przesadzacie, defetyści - mruknął Milt. - A kto załatwił naszych espów? Pierwsze ofiary były po naszej stronie, prawda?

- Nie wiadomo - wtrącił Simi.

- Niech ci będzie. Ale nie możemy wykluczyć, że wresp po prostu wiedział, że atakowanie nas nie ma sensu i dlatego potulnie czekał na nasze ruchy?

- Delf i Sabo również pracowali razem i wcale nie czuli się przez to mocniejsi - powiedziała Day.

- Ale Milt jest niewątpliwie znakomitym odbiornikiem, to może mieć decydujące znaczenie - westchnął Simi.

- I jeszcze jedno: może oni również, jak i nasza pani prezydent, wahają się co do dalszych losów naszych oddziałów? Może ten „potulny” jest jedynym takim egzemplarzem, jak u nas Day-uciekiniarka?

- Pogmatwałeś wszystko tak, że nie widzę żadnego praktycznego znaczenia naszego odkrycia! - szybko, niemal ze złością powiedziała Day.

- O to mi właśnie chodziło. - Milt objął ją w tali i lekko przycisnął do siebie. - Cokolwiek będziemy z tym robić, musimy to robić ostrożniej niż chirurg okulista. Pułapki czy w ogóle jakiegoś fortelu również nie możemy wykluczyć, prawda?

- Jak widzę, chcesz utajnić całą tę historię? - domyślił się Kusley.

- Na razie tak. Ty powinieneś porozmawiać z Delfem, ale tak, żeby nie nabrał przypadkiem ochoty na eksperymentowanie. Wystarczy jeśli przypomni sobie, jak wyglądały ich seanse. Pozostali niech działają jak poprzednio. A za kilka dni spróbujemy znowu - ja z Day. I wtedy przeżyjemy wszystko jeszcze raz.

- To nie jest dobre. - Day uwolniła się z objęcia Milta i wstała. - A jeśli to był sygnał tamtych? Może chcą - rozłożyła ręce i pomachała dłońmi - rozejmu, pokoju... Czy ja wiem? A jeśli będziemy dalej ich atakować, może stracimy szansę?

- A jeśli jakimś nieprzemyślanym ruchem podłożymy się? - po długiej chwili milczenia skierował w przestrzeń pytanie Simi.

- Właśnie... - po jeszcze dłuższej chwili ciszy powiedział Milt.



## Rozdział VI

- Gdzie wolisz usiąść? - Brownell ruchem dłoni omiótł całe swoje biurko. - Albo chodźmy do mnie?

Jock potrząsnął głową i powiedział:

- Lepiej tutaj. To mało używane pomieszczenie, mniej szans, że coś złapię. Mogę tam? - Wskazał palcem wąski, długi pas szczeliny nawiewu. - To działa jak kurtyna powietrzna - wyjaśnił. Przesunął fotel i usiadł w nim plecami do nawiewu.

- Siadaj, gdzie chcesz i od razu mów - zażądał Milt. - Jestem zaintrygowany jak diabli. Gadaj...

- Wiesz, to nie jest nic konkretnego. - Jock poprawił tkwiący w nozdrzach filtr. - W nocy miałem robotę... - Zamilkł na chwilę, skubiąc zębami skórę dolnej wargi. - Wszystko było normalnie, ale skończyło się nienormalnie... Gdybym miał rzeczywiście uczciwie zameldować o wyniku, to nie potrafiłbym. Ani nie wygrałem, ani przeciwnik nie uciekł... Wiesz co? To wyglądało, jakby ktoś nagle wyłączył światło, w związku z czym obaj bokserzy pomachali chwilę rękami i zde gustowani rozeszli się do swoich szatni. Cztery razy przejrzałem zapis i nic. Miałeś coś takiego?

Brownell zaprzeczył miną i ruchem głowy. Odepchnął się nogami i odjechał fotelem pod przeciwległą ścianę tuż obok wyciągu. Zapalił papierosa i puścił strugę dymu w dół. Wyciągnęła się w wąską wstęgę i zginęła w szczelinie. Dym z papierosa raźnie skoczył w dół, jakby doganiając kolebę.

- To właściwie wszystko - powiedział Jock, poruszając się, jakby chciał wstać i wyjść. - Muszę się przyznać, że jestem zdenerwowany. To mi się nie podoba.

Milt zgodził się mruknięciem. Jock odczekał kilkanaście sekund, po czym wstał i przeciągnął się. Zawahał się i dodał:

- I w ogóle... - Machnął ręką. - Ci nowi... Jeden czyta ciągle różne michałki i zadrecza wszystkich pytaniami o najdłuższe włosy świata, albo w jakim gatunku ciasta jest najmniej wody. Drugi - jak maszyna, wygląda na faceta, który różę traktuje wyłącznie jak materiał na konfitury...

- Wiem. - Milt wrzucił papierosa do szczeliny wyciągu. - Ale przecież zawsze było to zbiorowisko dziwaków.

- Taak... Może to tylko moje jakieś... - Jock zrobił krok w kierunku drzwi i zatrzymał się. - Powinno się chyba wprowadzić emerytury dla nas - rzucił w kierunku drzwi i nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

Brownell siedział kilka minut prawie nieruchomo. Przymknął oczy i zastanawiał się. Potem spróbował złapać kontakt telepatyczny z Day. W końcu wstał i zjechał do centrali. W swoim fotelu siedział Cunningham z jakąś książką w ręku. Obejrzał się i uśmiechnął do kapitana.

- W nocy nic się nie dzieje - poinformował Brownella - Jeszcze trochę i pobiję rekord w siedzeniu w fotelu. Pewna staruszka siedziała w fotelu trzy miesiące - dodał szybko. - A jeden facet spędził w samochodzie dziesięć tygodni, przy czym...

- Poczekaj! Miałeś już jakiś seans?

- Nie. Na moich dyżurach zawsze jest cisza. Oczy mnie bołą od czytania.

Brownell postarał się miną wyrazić współczucie, sięgając jednocześnie po papierośnicę. Wallace zareagował natychmiast.

- Papieros o wymiarze king size został wypalony w siedem sekund. Dwa lata temu - dodał szczęśliwy, jakby sam był twórcą rekordu.

Milt podejrzliwie przyjrzał się papierosowi i żeby zrobić przyjemność informatorowi, pokiwał w podziwie głową.

- Mnie wystarcza na jakieś trzy, cztery minuty - powiedział. - Akurat tyle, ile mi trzeba.

- A najdłużej był palony siedem minut i czterdzieści jeden sekund - natychmiast zaterkotał Cunningham. - Należy go trzymać cały czas w ustach i nie może, rzecz jasna, zgasnąć.

Pisnął hunter, łapiąc gdzieś na granicy swojego zasięgu wrogą emisję. Milt drgnął, a Cunningham rzucił książkę na podłogę i szybko naciągnął na głowę hełm. Wprawnie, choć nie tak żarłocznie jak Godrich, uruchomił moduły i „odleciał”. Milt uważnie obserwował go ze swojego fotela z papierosem w ustach. Gdy otworzyły się drzwi windy i energicznie wyskoczył z niej Jock, drgnął po raz drugi. Złamany pod własnym ciężarem słupek popiołu spadł na pierś i zostawiając szary pył, zsunął się po brzuchu na odsłonięty trójkąt siedzenia między udami. Cichy terkot namiernika zagłuszył przekleństwo Milta. Jock ruszył w stronę Milta, dużym łukiem obchodząc Wallace'a, a gdy skręcał lekko, by obejść z kolei Brownella, pisnął drugi hunter. Jock przyspieszył i szybko dopadł ścianek osłaniających jego fotel. Wsunął się do komory, jeszcze zanim ścianki do końca się podniosły i natychmiast je opuścił, ale zjechały w dół przezroczyste. Milt przesiadł się tak, żeby widzieć obu espów w akcji. Poczł ciepło wypalonego do końca papierosa na wewnętrznej stronie wskazującego palca. Szybko wyrzucił niedopałek. Ogarnęło go podniecenie, uświadomił sobie, że oddycha szybko i płytko, czuł mrowienie w koniuszkach palców, prawa stopa, jakby niezależna od umysłu, wybijała szybki skomplikowany rytm. Brownell zerwał się z fotela i dopadł kasety żywnościowej. Niecierpliwie postukiwał palcami w ścianę, zanim zaskoczony żądaniem komp zdołał zmieszać kilka składników i podać Miltowi mieszankę toni-I. Pisnął po raz trzeci hunter. Brownell długą chwilę patrzył na pulsujące oczko wykrywacza, czując nieprzyjemne kwaśne ssanie w żołądku. Nie odrywając spojrzenia od huntera, podniósł do wysokości piersi lewy przegub z zegaretką i wystukał okólną.

- Brownell - powiedział cicho. - Rezerwowa zmiana, proszę na dół.

Zażądał szybko jeszcze jednej szklaneczki napoju i przesunął się nieco, aby nie tracić z oczu obu espów. Z danych wyprowadzanych na wymierniki zewnętrzne wynikało, że prowadzą spokojne klasyczne walki, dziwna była tylko ilość wrespów w eterze. Gdy otworzyły się drzwi windy i do centrali weszli Hal z Delfem, Milt tylko zerknął na nich. Dzielił swoją uwagę między Cunninghama i Seykowitza. Obrzucał każdego trzy-, czterosekundowymi spojrzeniami, kątem oka zauważył, że Delf usiadł w swoim fotelu, a Hal waha się, ale w końcu siada w fotelu Sabo Volperta. Przeniósł wzrok na nowo tworzący się tandem, na krótko tylko odrywając od nich spojrzenie, by szybko zerknąć na dwu pozostałych. Łagodne westchnienie kolejnej windy zbiegło się z piskiem czwartego huntera. Kusley zatrzymał się tuż po wejściu do corralu i spokojnie przyjrzał się wszystkim espom, a potem podszedł do Milta. Szedł pod ścianą tak, by nie wchodzić mu w pole widzenia.

- Kolejna nowość. - Nie wiadomo było, czy to stwierdzenie, czy pytanie, ale Milt nie zaprzętał sobie tym głowy.

- Siądziesz?

- Jasne, ale ty nie siadaj - powiedział Simi. Brownell na pół sekundy oderwał spojrzenie od Delfa z Halem.

- Myślisz, że to coś znaczy? - zapytał, znowu patrząc na duet.

- To oczywiste. Cokolwiek by się działo, ty się nie miesza.

Kusley szybko dopadł swojego fotela i po kilku sekundach odłączył się od rzeczywistości. Brownell zapalił papierosa i uruchomił jeszcze raz zegaretkę.

- Godrich? Jesteś u siebie?

- Nie, w kręgielni - usłyszał nieco zdyszany głos Godricha.

- No to przerwij grę i przyjdź tu.

Rozłączył się, zanim Omar zdążył cokolwiek powiedzieć. Przesunął się kilka metrów bliżej windy i oparł plecami o ścianę. Połowa foteli była zajęta. Po raz pierwszy w

historii oddziału, wszystkich oddziałów. Jeszcze raz uruchomił zegarek i wystukał kod generała Morra.

- Kapitan Brownell - zameldował się, gdy zyskał połączenie. Odczekał trochę.

- Mów, jestem sam.

- Przeżywamy coś jak zmasowany atak - powiedział szybko. - Zajętych pięć foteli...

- W tej samej sekundzie pisnął kolejny hunter. - Właściwie sześć! Rozumiesz? Połącz się szybko z pozostałymi oddziałami i sprawdź, co się u nich dzieje.

- Milt? - Nawet ktoś nie znający Morra nie miałby trudności ze stwierdzeniem, że generał był bardzo zdenerwowany. - Zawiadomić?...

- Nie wiem. Na razie chyba nie. Włącz sobie podgląd na centralę i poczekaj trochę na rozwój sytuacji. Odmeldowuję się.

Syknęły drzwi windy Godricha. Milt opuścił lewą rękę, prawą wskazał Omarowi jego fotel.

- Masz ochotę?

Godrich skinął głową i pochylił ją. Kilka sekund stał tak, jakby przymierzał się do uderzenia głową niewidocznego wroga, potem wolno oblizał wąskie wargi i poszedł w kierunku swojego fotela.

- Godrich! - niezbyt głośno powiedział Brownell. - Nie wiem sam, czego od ciebie chcę, ale trzeba to dzisiaj zrobić inaczej niż zazwyczaj. Zobacz sam... Nigdy takiego czegoś nie przeżywalismy i nikt nie przeżywał. Czuję, że to nie jest zwykły atak, tylko większymi siłami, wobec tego chciałbym, żebyś seans potraktował wyjątkowo. Nie wiem... może nie rzucaj się tak od razu jak rozjuszony bawół? Może jakoś...

- Nie potrafię „jakoś”. - Omar zatrzymał się o krok przed swoim fotelem i odwrócił do Milta.

Był o wiele spokojniejszy od kapitana, przynajmniej zewnątrz, ale nie ulegało wątpliwości, że wewnątrz trzęsie się z podniecenia. Milt zrozumiał, że trzęsie nim gorączka myśliwego.

- No to nie siadaj - rzucił spokojnie. - Przepraszam, że oderwałem cię od gry.

Rzucił papierosa na podłogę i poszedł w przeciwną do Godricha stronę owalu centrali. Przez szybę przyjrzał się walce Jocka, potem przesunął do fotela Kusleya.

- Dobrze - usłyszał głos Godricha. - Obrzucę go płatkami róży.

Brownell przypomniał sobie, co o róży i Godrichu mówił przed piętnastoma minutami Seykowitz. Nie odrywając spojrzenia od wyłazników przed Delfem, skinął głową.

- Dobrze - powiedział i przesunął się za fotel Hala. Rzucił okiem na panel Cunninghama i tyłem, nie tracąc z pola widzenia całej centrali, wycofał się pod ścianę. Zerknął na zegarek i odetchnął z ulgą, widząc, że Day wróci najwcześniej za czterdzieści minut. Co prawda z danych na ekranach i wyłaznikach można było sądzić, że walki przebiegają normalnie, pomyślnie dla wszystkich, ale i tak nie obeszłoby się bez awantury.

- Milt! - usłyszał z zegareki. - We wszystkich oddziałach stan alarmu. Prezydent już powiadomiony.

- No to połącz się i zapytaj o wyniki - powiedział szybko Brownell. - U mnie wszyscy wygrywają, z czym w takim razie mamy do czynienia? Z atakiem samobójców? Uważaj! - dorzucił szybko, widząc, że Simi wraca. - Jeden już skończył.

Niecierpliwie postukiwał zębami o zęby, czekając, aż Kusley odłączy się od kompa i wstanie. Potem machnął dłonią w kierunku foteli i usiadł pierwszy. Simi nie patrząc na niego, zamyślony, z miną człowieka, który usiłuje coś sobie przypomnieć czy zrozumieć, usiadł i chwilę patrzył w blat stołu. Milt się nie odzywał, bliski eksplozji.

- Coś dziwnego... - powiedział wolno Kusley. - To nie była walka... On tylko pokazał się i uciekł, wiesz? Jak dzieciak, który coś przeszkrobał i ucieka na widok

matki... - Zdezorientowany popatrzył na Milta.

- Na ekranie wygrywał - równie niepewnie powiedział Brownell.

Simi prychnął i wyciągnął rękę w kierunku papierośnicy Brownella.

- Bo ja byłem w porządku - powiedział, wypuszczając sobie przed twarz duży kłęb dymu. Cofnął się przed nim. - Ciekaw jestem... - Pomachał dłonią, chcąc widzieć inne fotele.

Jock podniósł się ze swojego i zrzucił hełm. Chwilę stał, masując kark. Potem odwrócił się i widząc kłęby dymu nad stolikiem, pokazał go palcem.

Kusley skoczył i przesunął repeser na pełną moc. Obłok dymu poderwał się i zniknął w rozszerzonych blendach sufitowych. Seykowitz odczekał na wszelki wypadek jeszcze kilkanaście sekund i podniósł swoje ekrany. Wyszedł spod nich, ale zatrzymał się tuż obok fotela.

- Zwiął - powiedział rozbawiony. - Zanim zrozumiałem, co się dzieje, tylko mignął i jego sygnał zamknął. - Wzruszył ramionami. - Jak na niego powiedziane było dużo. Przesząpił z nogi na nogę. - Tak byłem skoncentrowany, tak przyczajony, że gdy zaczął uciekać, jeszcze bardziej się sprężyłem. Sam się spętałem. A co u ciebie?

- To samo - lakonicznie rzucił Simi. Uspokoił się już. Zgasił papierosa i pytająco popatrzył na Milta. - Założę się... - zaczął i przerwał, przypomniawszy sobie Jaspera. - Wszyscy będą mieli to samo. Tylko wtedy taki rozległy atak ma sens. Tyle że nie wiem jaki... - zamilkł, widząc spojrzenie Milta.

Jock znowu przesąpił z nogi na nogę. Zakołysał się, zaczynając krok w kierunku wind, i natychmiast zrezygnował z wyjścia. Zamiast tego cofnął się do swojego fotela i opuścił ściany. Z kilku dysz trysnęły strugi mieszanek wyjaławiających. Usłyszeli ich syk, gdy Jock włączył mikrofon w swojej kabinie. Równocześnie przypomnieli sobie o pozostałych espach. Walki Delfa, Hala, Cunninghama i Godricha przeciągały się. Milt zdążył wypalić papierosa i sięgnąć po nowego, gdy w zupełnej ciszy usłyszał głośną czkawkę. Szerokie ramiona Hala drgnęły i usłyszeli jeszcze raz ten sam dźwięk. Wymierniki Delfa zasygnalizowały pożegnanie z eterem, on sam szybko odwrócił głowę w stronę Hala, a dopiero potem zerwał z głowy hełm i rzucił o podłogę. Stał już na nogach, gdy Hal czknął po raz trzeci i zaczął sennie podnosić się z fotela. Delf klepnął go po kolei w oba ramiona.

- Udało się! - zawołał z uwagi na Godricha o wiele ciszej, niżby chciał. - Widziałeś?

Hal uśmiechnął się, ale nie był zadowolony jak Delf. Popatrzył ponad jego głowę na Milta i pchnął lekko Delfa w jego kierunku.

- No i jak? - zapytał Brownell pozornie spokojnie.

- Okay...

- No to czemu jesteś taki zdechły?

- W końcu... Zaraz! - ożywił się Hal. - Ty nie wiesz, jak się skończył seans!

Wreszcie uciek! Nigdy dotychczas czegoś takiego nie było, zanim go dobrze namierzyliśmy, nie? - Popatrzył na Delfa.

Volpert pokiwał potakująco głową. Milt uniósł dłoń.

- Przepraszam cię, Hal. Ale powiedz mi, co się stało w końcu? Wszystkie walki dzisiaj kończą się tak samo, wycofaniem wreszcie, ale u was stało się coś innego. Co?

- On wrócił - powiedział Delf. Popatrzył na Hala. - Tak było? Najpierw uciek, a potem, gdy wracaliśmy, poczułem, że coś mnie łapie. Ohydne... - Zadrżał, jakby trafił w strugę lodowatego powietrza. - Zimna śliska łapa usiłowała mnie wciągnąć... - Skrzywił się. - Jakbym był myszą, którą ktoś chce za ogon wyciągnąć z nory. - Znowu z dołu do góry popatrzył na Hala.

- Uhu. Ale już było za późno, byliśmy na powrocie - dodał Barnaba.

Milt zaczerpnął pełne płuca powietrza i wypuścił je z głośnym sykiem przez wydętą wargi. Popatrzył po kolei na wszystkich espów. Pokręcił głową, jakby uwierał go

kołnierzyk.

- Mieliliśmy kupę gówna, do którego już przywykłem, i jeszcze mi ktoś dorzucił świeżego łajna - powiedział ze złością.

Uderzył z całej siły pięścią w kolano i otworzył usta, ale Delf, stojący bokiem do zajętych jeszcze foteli, odwrócił spojrzenie, kątem oka widząc poruszenie Cunninghama. Milt wypuścił powietrze z płuc i obejrzał się. Wallace poruszył dłońmi, podniósł je i potarł złożonymi palcami nos. Potem szybko wstał, zdzierając hełm, i odwrócił się. Zaskoczony wyczekującymi spojrzeniami dziesięciorga oczu zatrzymał się w miejscu i biegał spojrzeniem po obecnych.

- Jak ci poszło? - zapytał głucho Milt.

- Dobrze... To znaczy, nie przegrałem. - Cmoknął i szarpnął głową. - Gdybym przegrał, tobym nie wrócił - poprawił się. - Nie mówiono nam na kursie, że można się wycofywać, a on - wskazał kciukiem do tyłu, w panel wzmacniacza - nie dopuścił do walki...

- Uciekł? - szybko wtrącił się Delf.

- Tak... - Szeroko uśmiechnął się Wallace.

- Tylko? Czy jeszcze coś było? - sprecyzował Simi.

- Nic więcej. - Pokręcił głową Cunningham. - A dlaczego się tu zebraliście? Co się...

- Czekaj! - przerwał Brownell, widząc przygasające wyładowania na panelu Godricha.

Omar poderwał się prawie natychmiast. Energicznie, ale ostrożnie, by nie uszkodzić, profesjonalnym ruchem zsunął hełm i położył na siedzeniu fotela. W przeciwieństwie do Cunninghama nie był zaskoczony widokiem zgromadzonego w centrali niemal całego oddziału, a jeśli był - znakomicie panował nad swoją twarzą. Podszedł bliżej, zostawiając wciąż nieruchomego Wallace'a za sobą, i powiedział:

- Zlikwidowany.

Udało mu się jednym słowem poruszyć wszystkich obecnych. Spokojnie, nie zauważając efektu, patrzył w oczy Brownella. Milt zrozumiał, że czeka na coś.

- Powiedz w kilku słowach, co się działo - powiedział.

- Wycofywał się, ale udało mi się go dopaść - spokojnie rzucił Godrich. - Coś nie tak? - dodał.

Milta opanowało przeświadczenie, pewność, że pytanie było zadane tylko dlatego, że gdyby go nie było, stałoby się to podejrzone. Godricha zupełnie nie obchodziło, co się stało. Był zainteresowany tylko jednym - walką. I zwycięstwem. I wcale nie oczekiwał pochwał, interesowała go reakcja Milta. Jakby zdawał sobie sprawę z tego, co się działo w centrali.

- Oczywiście, że nie tak - wycedził Milt. - Mówiłem ci, że coś jest dzisiaj inaczej i żebyś potraktował to równie wyjątkowo. Prawda? A co ty mi zrobiłeś? Zafatwiłeś jakiegoś faceta, który najprawdopodobniej dostał dzisiaj rozkaz nietykania wrespa. Dzieje się coś ekstra, a ty jak gdyby nigdy nic, walisz cepem na prawo i na lewo!

- Co to jest cep? - spokojnie zapytał Omar.

Miltowi udało się zdusić w sobie chęć poderwania się i wymierzenia kopniaka w krocze Godricha. Zamiast tego niespodziewanie dla samego siebie uspokoił się w ułamku sekundy, z premedytacją zacisnął zęby i wytrzeszczył oczy, symulując wściekłość. Zwarł palce w pięści. Jednocześnie spróbował przechwycić myśli Godricha. Niezgrabnie, świadomy nieefektywności tego co robi, napiął mięśnie przepony i karku, wbił spojrzenie w oczy Godricha, i wszystko to bez skutku. Omar spokojnie sparował wysiłek, chłodnym błyskiem ciemnych oczu nie zdradzając ani ułamka swego wewnętrznego świata.

- Dobrze - wycedził w końcu Milt. - Formalnie jesteś w porządku...

- Co to znaczy: formalnie? A pod jakim względem nie jestem w porządku? Zdaje mi się, że naszym zadaniem jest walczyć i likwidować wrogich espów. - Wzruszył

ramionami i rozejrzał się po twarzach espów.

Brownellomal nie powtórzył jego ruchu. Powstrzymał się i zamiast szukać u innych poparcia, podszedł do stolika i sięgając po leżącą na nim papierośnicę, powiedział:

- Wykonujemy tu tyleż niebezpieczne, co delikatne zadanie. Co znaczy niebezpieczny, wiemy wszyscy. - Odwrócił się i teraz on szybkim spojrzeniem obrzucił wszystkich z wyjątkiem Godricha. - Musimy się zorientować co do znaczenia tego drugiego terminu. - Ruszył do windy, lawirując między rozstawionymi jak pionki na nie istniejącej szachownicy podwładnymi. - Do zobaczenia.

Jeszcze zanim zamknęły się drzwi za Miltem, Godrich przeciągnął się i skomentował wydarzenia: - Nerwowy ten nasz kapcio. - Uśmiechnął się do podłogi i uzupełnił wypowiedź: - Miota się, sam nie wiedząc, czego chce. Dużo mówi o ochronie sympatycznej atmosfery, ale rozmija się w działaniu z własnymi słowami.

Przeciągnął dłoń po czole, głowie i skończył na karku. Beznamiętnie popatrzył na Simiego i uśmiechnął się, uruchamiając minimalną liczbę mięśni.

- Odczep się od niego - niespodziewanie twardo odezwał się Hal.

Godrich poszerzył nieco uśmiech, nadal nie kierując go do konkretnej osoby. Lekki ruch przepony zdradził, że prychnął pogardliwie.

- Masz duże serce - powiedział, wyraźnie oddzielając od siebie słowa. - Zmieścisz w nim również Brownella?

Hal miękkim ruchem przysunął się bliżej i nieco zmrużył oczy. Godrich nerwowym błyskawicznym ruchem odwrócił się do niego i wykrzywił twarz w pogardliwym, nienawistnym uśmiechu. Kilka sekund trwali w bezruchu, potem Hal jakby oklapł, opuścił ramiona i sapnął głośno.

- Jesteś chory. Z nienawiści... I zazdrości!

Godrich szarpnął się jak uderzony prądem, przez twarz przebiegł mu skurcz i natychmiast wydusił na nią szyderczy uśmiech.

- Zazdrosny?! - wrzasnął. - O kogo? O tę cycatą zlewkę na górze czy o tego dupka tu na dole? - Gwałtownym ruchem dźgnął powietrze, wskazując dłońią Delfa.

Nie dokończył ruchu. Ramię Hala wykonało niewyobrażalnie szybki łuk i z góry opadło na jego przeżącą się rękę. Miękki, przygłuszony trzask wyprzedził o pół sekundy skowyt Omara. Zaraz potem, zanim ktokolwiek zdążył chociażby szerzej otworzyć oczy, lewa pięść Barnaby trafiła Godricha w skroń i niemal wyhamowując, poleciała kawałek dalej, a podążające za nią ciało Hala uderzyło lewym bokiem w opadającego na podłogę przeciwnika. Barnaba uniósł jeszcze raz prawe ramię i wolno je opuścił, widząc, że uderzenie nie sprawiłoby różnicy nieprzytomnemu Godrichowi, który plasnął o podłogę bezwładnie, z nienaturalnie wykręconym, złamanym prawym przedramieniem. Plama krwi na rękawie koszuli załśniła i zachłannie rzuciła się do rozszerzenia swojej powierzchni. Kusley odzyskał władzę nad własnym ciałem i rzucił się, chcąc odciągnąć Hala od Godricha. Delf i Cunningham jęknęli, każdy w innej tonacji. Jock Seykowitz zatrzepotał dłońmi i pobiegł do swojej kabiny. Gdy Simi, odtrącając Hala, pochylał się nad ciałem Godricha, matowo połyskujące ścianki opadły ku podłodze, tłumiąc odgłos torsji konwulsyjnie drgającego Seykowitza.

- Nie mam pomysłu - poskarżył się Milt, gasząc papierosa w popielniczce.

Generał Morr poruszył brwiami i ramionami, starając się nie patrzeć Brownellowi w oczy. Bał się, że Milt zauważy jego troskę w spojrzeniu, zakłopotanie spowodowane wyglądem Brownella. Oczy miał podkrążone przez ciężkie, czarne obwódki, jak ślad działalności początkującego charakteryzatora, spuchnięte worki pod powiekami sugerowały kamienne czterodniowe chłanie, a nerwowy, chorobliwy blask oczu - serię narkotycznych seansów. Pięć dni temu Morr przerażony wyglądem Brownella przeprowadził delikatny wywiad, którego wynik wykluczył alkohol i narkotyki.

- To nie twoja wina - powiedział. - Od trzech tygodni tylko dwa razy wymacaliśmy



wrespa i od razu uciekł. Albo mamy do czynienia z totalną zmianą taktyki, albo cała ta myślowojna od początku nie była tym, za co ją braliśmy... A oddział też nie miał ostatnio łatwych dni...

Nabrał powietrza, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale zrozumiał, że nie jest w stanie powiedzieć niczego, co nie byłoby truizmem. Pomasował kark i plasnął dłonią w wierzch uda. Niczym echo rozległ się sygnał zegaretki Brownella. Zamarli obaj na kilka sekund, a potem Milt wolno, jakby wystraszony uruchomił tele i przeniósł się na łącze gabinetowe.

- Brownell...

- Milt! - krzyknęła Day. - Przyjdź tu szybko! Hal... - załamał się jej w tym miejscu głos.

- Już idę - powiedział Brownell i rozłączył się. Siedział jednak nieruchomo i patrzył na generała. - Od tego dnia... Przez cały czas coś szumi mi w głowie - powiedział cicho. - Budzę się z przeświadczeniem, że nie spałem ani sekundy, co jest nieprawdą, ale to równie męczące jak bezsenność. I ciągle wydaje mi się, że ktoś czy coś do mnie mówi. Wiesz... Jakby ktoś przyłożył usta do grubej szyby i krzychał coś, dociera do ciebie tylko buczenie, jesteś na granicy zrozumienia, ale tylko na granicy. Ani jedno słowo nie nabiera sensu.

- Może to obcy język?

- Nieee... - Milt poderwał się i z ociąganiem ruszył do drzwi. Zanim dotknął dłonią klamki, odwrócił się do Niclasy Morra. - Musimy się zastanowić, jak wyprowadzić mnie z tej zabawy. Wyszły ze mnie wszystkie flaki, koniec... Klepnął dłonią w klamkę i wyszedł, zanim generał zdobył się na jakąkolwiek odpowiedź. Nie zauważając wózka, powłókł się na piechotę, by odsunąć jak najdalej w czasie chwilę, w której będzie musiał wejść do bloku DEU i popatrzeć na Hala. Leniwie jak w gęstym oleju, przez chaos myśli, w jakim był pogrążony od kilkunastu dni, przebijała się informacja o psychicznej śmierci Barnaby, ale kotłowanina strzępków pomysłów, wspomnień, obrazów zmywała wiadomość, jakby była mu najzupełniej obojętna. Milt szedł po połyskującej gładkiej jezdni, usiłując się opanować, wzbudzić w sobie współczucie, wyzwolić odrobinę energii i dopiero wściekłość na myśl, że słabo panuje nad swym umysłem, przyspieszyła nieco jego marsz. Odrobinę szybszym krokiem obszedł blok i wszedł najpierw do swojego mieszkania. Niemal biegiem dotarł do łazienki, gdzie przed lustrem spoliczkował się i natychmiast splukał uderzenie pod długim strumieniem zimnej wody, a potem, wycierając twarz w pokoju, wlał w siebie - po raz pierwszy od osiemnastu dni - sporą porcję whisky i z radością, czując zmianę w szybkości krwioobiegu, ruszył do windy. W centrali powitała go pustka, zdziwiony chwilę rozglądał się po owalnym pomieszczeniu z fotelami, jakby wyszukując skrytki, potem wolno uruchomił zegaretkę i zapytał Day, co się dzieje.

- Jesteśmy na korytarzu - powiedziała cicho.

Brownell rozłączył się i wszedł do pierwszej windy od prawej. Wyniosła go na korytarz. Tuż za drzwiami na podłodze, z kolanami podciągniętymi pod brodę i oplecionymi ramionami, plecami oparta o ścianę siedziała Day. Obok niej, również oparty plecami, w kucki siedział Simi Kusley. Trzy metry od nich stał Seykowitz. Cała trójka miała puste spojrzenia skierowane gdzieś w przestrzeń, na ściany, przez ściany... Żadne z nich się nie poruszyło, gdy Milt wyszedł z windy.

- Co się... - Milt zawahał się i dokończył: - ...działo?

Po chwili milczenia Jock, nie zmieniając pozycji, przekręcił lekko głowę i popatrzył na Milta.

- Hal wpadł. To wszystko.

- Byłeś przy tym?

- Tak. Day też.

- No to powiedzcie dokładnie, jak do tego doszło.

Jock westchnął głęboko przez nos, na moment filtry głębiej wsunęły się do nozdrzy. Simi zerknął z dołu na Brownella i ponownie skierował spojrzenie w ścianę. Głowa Day wolno uniosła się. Nie patrząc na Milta, powiedziała:

- Pojawił się sygnał... - głos miała suchy, drewniany, brzmiał w korytarzu jak szurgot silimerowej płyty po gasfalcie. - Hal z Delfem podłączyli się i odlecieli. Przyszedł zagipsowany Godrich, usiadł w swoim fotelu i wystartował. Potem... Potem wyglądało, że wracają. Nagle Delf wrzasnął i zemdłał, a Hal... - Opuściła głowę i oparła czoło na splecionych przedramionach.

W zupełnej ciszy pisnęła podeszwa buta Simiego, gdy się podnosił, potem tylko irytujące sapanie Jocka przeszkadzało ciszy zapanować w korytarzu. Kapitan sięgnął do kieszeni i w pół ruchu opuścił dłoń, przypominając sobie, że papierosnica została w gabinecie generała.

- Delfa wysłaliśmy do lazaretu. Ten przypadek pójdzie już na konto innej jednostki, za dużo przypadków u nas - powiedział Simi. Oderwał się od ściany i ominął najpierw Day, a potem Milta, wolno kierując się w koniec korytarza. Przystanął i przez ramię spozjrzał na Milta. - Omar wygrał swój seans...

Zrobił kilka kroków i zniknął w swoim pokoju, chwilę później ruszył za nim Jock. Milt odczekał, aż zniknął za rogiem i wtedy dopiero podszedł do Day i przykucnął przy niej.

- Chodźmy. - Położył dłoń na jej barku i poruszył lekko palcami. Nie drgnęła, więc przesunął dłoń na ramię i wstając, pociągnął za sobą, a gdy Day się podniosła, objął ją i poprowadził do swojego mieszkania. W pokoju usiadł w fotelu i posadził Day na kolanach, wtuliła głowę pod jego brodę i znieruchomiła. Milt objął ją i nagle poczuł, że do jego mózgu wdziera się fala obcych uczuć. Zaskoczony i oszołomiony drgnął jak człowiek siedzący w cichym i mrocznym pokoju, do którego wpada nagle przez szeroko otwarte na jaskrawy dzień drzwi wataha wrzeszczących ludzi, z których każdy usiłuje przekrzyczeć innych. Zalała go fala rozpaczy i strachu, niemocy i wdzięczności za samo swoje istnienie, umysł Day otworzył się przed nim jak książka i jej stronicę przeleciały przed jego oczami w zawrotnym tempie. Najpierw próbował czytać, ale szybko zrozumiał, że nie jest to zajęcie na kilka minut. Otworzył usta, ale natychmiast zrezygnował z mówienia o niespodziewanej możliwości telepenetracji, a w zamian spróbował wypchnąć ze swojego mózgu wszystkie śmiecie, wszystko co złe, nieprzyjemne, odetchnął głęboko, jakby miało mu to pomóc w oczyszczeniu ducha, przytulił się do Day i nieumiejętnie, bez wprawy, napinając niepotrzebnie mięśnie karku i wysuwając do przodu żuchwę, wyemitował do jej umysłu porcję spokoju, łagodnego uspienia... Po kilku sekundach świadomego modelowania swoich myśli zrozumiał nagle, że lepszą metodą jest poddanie się niekontrolowanemu strumieniowi myśli i sterowanie nim tylko o tyle, by nie dopuścić doń ostatnich wydarzeń w bloku DEU. Pomyślał o tym, co czują jego palce, zatopił się we wspomnieniach pierwszej ich nocy, odkrywaniu pieszczot, ruchów, pocałunków... Stracił kontrolę nad samym sobą, zasnął, śniąc barwny, podniecający sen, widząc ścianę z kolorowym perspektywicznym widoczkiem z Wohoaepa i czując ciepło ciała Day na swoich udach, brzuchu i piersi. Zatracił poczucie czasu, dopiero drgnięcie Day wyrwało go z transu.

- Milt?... To ty?

Wydał z siebie całą serię cichych, zakłopotanych chrząknięć i przytrzymał głowę Day, żeby nie mogła popatrzeć mu w oczy.

- Wiesz, że to było piękne? - zapytała Day gdzieś z wysokości jego mostka.

- Nie wiem, skąd mam wiedzieć?! - mruknął z udawanym niezadowoleniem.

- Dlaczego... Poczekaj! Puść mnie! - podniosła głowę i z bliska spojrziała mu w oczy. - Dlaczego wciąż się maskujesz? Dlaczego nie jesteś sobą, ukrywasz prawdziwe

uczucia?

- A jak wy to sobie, sierżancie, wyobrażacie? - Milt zrozumiał, że zastosował standardową osłonę, przechodząc na lekki, kpiący, ironiczny ton, ale dokończył w tym samym stylu: - Mam chodzić w koszulce z napisem „Jestem dobry!”?

- Jesteś głupi!

- Zdecyduj się...

Day parsknęła śmiechem i zerwała się z kolan Brownella. Chichocząc, wyszła do kuchni. Milt odprowadził ją spojrzeniem, które po zniknięciu Day za ścianą zatrzymało się na monitorze kompa. Milt zastygł w bezruchu, bojąc się ruchem głowy wytrącić z umysłu myśl, nagły błysk pomysłu, który nie zdążył się sformułować, smagnął tylko cienkim biczem, co odezwało się falą zimna na karku i w żołądku. Brownell rozpaczliwie przeszukiwał własny mózg, obawiając się, że kilka sekund zwłoki pozwoli niespodziewanej myśli ukryć się pod zwałem innych odczuć. Rozciągnął wargi w dziwnym uśmiechu-grymasie, przez zęby wciągając powietrze, i nagle runął do kompa, gorączkowo wyszarpując klawiaturę i trzęsącymi się palcami wystukując kod inauguracji. Z boku zobaczył cień sylwetki Day wchodzącej w pole widzenia.

- Cicho-cicho-cicho-na-Boga-nic-nie-mów! - wyrzucił z siebie jednym tchem.

Mrucząc jedną nutę, popędzał komp, troskliwie podsuwając mu wciąż nowe menu, aż w końcu dostał się do informacji z centrali. Zażądał sprawdzenia z dzisiejszej feralnej sesji Hala z podziałem na sekundowe odcinki czasu, a potem na drugiej połowie ekranu porównał je z sesją Omara Godricha. W pewnej chwili zatrzymał płynne przesuwanie się do góry linijek cyfr i liter. Kilkanaście długich sekund wpatrywał się w ekran, a potem wściekłym uderzeniem pięścią w klawiaturę zmiażdżył ją. Poderwał się z fotela i stanął przed Day z zaciśniętymi pięściami. Chwilę stali skamieniały, personifikacje Furii i Zaskoczenia, pierwsza poruszyła się Day.

- Co się stało? - wykrztusiła.

- Albo... - głos wydobywał mu się z krtani z chrapliwym furkotem, jakby przechodził przez jakiś wiatraczek dzielący poszczególne dźwięki na jeszcze mniejsze cząstki - zwariowałem, albo... - przerwał i nie troszcząc się o osłupiałą Day, wydarł z gniazda zdemolowaną klawiaturę. Cisnął nią o podłogę i pobiegł w kierunku drzwi, zawrócił już z korytarza i trzymając się framugi, wsunął głowę do mieszkania. - Zawołaj tu Simiego! - Zniknął za płatem ściany i natychmiast pojawił się z powrotem. - Albo wszystkich: Jocka i Vallace'a. Bez Omara. Szybko...

Wrócił, zanim Day trzęsącymi się palcami zdołała wystukać kody obu espów, taszczył ze sobą klawiaturę wydartą z gniazda w swoim biurze. Nie zwracając uwagi na rozmowę Day z Jockiem, kilkoma ruchami podłączył panel do kompa i jeszcze raz wyciągnął na ekran porównanie czasu seansów Hala i Omara. Potem, zanim którykolwiek z wezwanych zdołał dotrzeć do jego mieszkania, wyciągnął z baru butelkę szkockiej i nie szukając szklanki, przelał jedną piątą do swojego gardła. Odwiecznym gestem wytarł wargi wierzchem przedramienia i popatrzył na znieruchomiałą na poręczy fotela Day.

- Nie przejmuj się - powiedział bez zwyczajowego przy takich słowach uśmiechu. - Chyba jednak nie zwariowałem... - Postarał się wydusić z siebie uśmiech i zaraz zaniechał usiłowań. Szarpnął ręką i podniósł do ust zegaretkę, wystukując po drodze jakiś kod. - Genera... Z generałem Morrem. Pilne! - Odczekał kilka sekund, niemal całując mikrofon. - Niclas?! Nie mam czasu na wyjaśnienia. Przyjdź tu szybko, do mojej kwatery, ale naprawdę szybko! - wykrzyczał, gdy tylko w głośniczku rozległ się jakiś dźwięk.

Przerwał połączenie i popatrzył na Day. Miał rozmazane spojrzenie, nie zauważające szczegółów, osób. Patrzył na nią tylko dlatego, że wyróżniała się kolorową plamą na tle pastelowej ściany. Wiedziała o tym i już chociażby dlatego nie poruszała się,

wiedząc, że jej ruch zmusiłby go do poruszenia się, przerwania toku myślenia. Zastygła w bezruchu aż do chwili wejścia Wallace'a Cunninghama - poruszyła głową na jego widok, a zeszła z oparcia fotela dopiero na widok Jocka. Milt poruszył się również, chwilę niezbyt przytomnie przyglądał się obu espom, a potem, gdy szybkim krokiem wszedł Simi Kusley, odchrząknął i popatrzył na Day.

- Daj nam szklaneczki. Zanim przyjdzie generał, napijemy się po jednym.

Day wyszła do kuchni, a Milt przyjrzał się trójce podwładnych i oblizał wargi.

- Poczekajmy na Morra. O tym powinni wiedzieć wszyscy - powiedział.

Nic nie mówiąc, minął Cunninghama i wszedł do łazienki, cała czwórka wymieniła spojrzenia, ale trwali w milczeniu, zahipnotyzowani pluskiem wody i parszaniem Milta. Brownell i Morr weszli jednocześnie do pokoju. Generał szybko zlustrował espów i usiadł w fotelu. Milt potrząsnął głową i przetarł twarz dłońmi. Przesunął się tak, by mieć wszystkich na widoku.

- To Omar Godrich zabił Hala - powiedział. - Proszę... - Wskazał palcem na ekran monitora, na który nikt z obecnych wcześniej nie zwrócił uwagi. - Oto porównanie czasu seansów Hala i Godricha. Wynika z nich jednoznacznie, że w chwili, kiedy Hala zaatakował wreszcie, Omar nawiązał kontakt bojowy. Hal... przegrał, a w tym samym ułamku sekundy Omar zyskał na potencjale. To niewiarygodne, ale zegar jest bezbłędny.

Day poruszyła się i powiedziała cicho:

- Milt?! - ale zamilkła i nie dokończyła zdania, widząc, że Morr skoczył do kompa i z Simim wiszącym mu nad ramieniem przegląda zestawienie.

Kilkanaście sekund trwała cisza. Morr okręcił się razem z fotelem i w napięciu popatrzył na Brownella.

- No i co? Mam rację?

- Masz - powiedział generał, a Simi skinął głową.

- Ale dlaczego? - odezwała się Day.

Odpowiedziała jej napięta cisza. Brownell sięgnął do kieszeni i po raz drugi przypomniał sobie, że zostawił papierośnicę w gabinecie Morra, zerknął na Day, a ona kiwnęła krótko głową i wyjęła z kasetki ściennej paczkę silver top i podała mu ją. Gdy Milt ruszył do kuchni, odezwał się Morr:

- Spróbujemy to od razu wyjaśnić. - Uruchomił zegaretek, zawahał się, ale przestawił połączenie na łącze pokojowe. - Foxer? Połącz mnie błyskawicznie z psychotrenerskim Godricha! Czekam... - Przymknął powieki i poruszył zuchwą, jakby rozcierał między zębami ciężkie ponaglające przekleństwo. Milt wrócił z kuchni, zostawiając za sobą dużą chmurę dymu i przystanął tuż obok drzwi, opierając się plecami o ścianę. Morr unikał spojrzeń, przyglądał się uważnie ścianie, która całą swą płaszczyznę rzuciła na pożarcie jego wzrokowi. - Halo? Generał Morr, proszę sprawdzić mój kod 1275S... - Odczekał chwilę i kontynuował: - Chcę wiedzieć i proszę to ująć w przystępną formę, kim pana zdaniem jest niejaki Omar Godrich, niestety nie pamiętam kodu.

- Nie trzeba... - Usłyszeli miękki soczysty baryton, jędrnie pulsujący w pomieszczeniu. - Pamiętam go. Tylko nie rozumiem, o jaki rodzaj oceny panu chodzi, generale.

- Jeśli można, jego stosunek... Przepraszam, pański kod? -Morr szybko wystukał przewidywane przez lekarza cyfry na klawiaturze i uspokojony kodem dostępu mówił dalej: - Chodzi mi o jego stosunek do innych ludzi, awersje do zachowań pozanormatywnych, fobie... I tak dalej.

- Omar Godrich - psychotrenerski mówił teraz wyraźnie wolniej, dobierając słowa - typ raczej tolerancyjny, nie stwierdziłem zahamowań rasowych czy jednostkowych... Hm... Jedyne, co można by pod fobie podciągnąć, to zazdrość, zazdrość o szczęście.

Zdecydowanie negatywnie reagował na widok ludzi zadowolonych, szczególnie jeśli zadowolenie dotyczyło partnera, jakiegoś związku...

Milt szybko wyszarpnął z uchwytu przy klawiaturze pisak-myszkę i nakreślił kilka słów na ścianie, po czym trącił Morra w ramię i pokazał mu napis na ekranie. Generał rzucił okiem na kilka słów i przeczytał je na głos:

- A geneza tej zazdrości? Skąd to się wzięło? - dodał, jakby obawiając się, że psychotreneer może nie zrozumieć słowa „geneza”.

- Trywialna sprawa. Zginęła jego dziewczyna. To znaczy nie zginęła... - Lekarz zawahał się. - Szczerze mówiąc, nie interesowałem się jej losami. Wiem tylko, że Godrich ją stracił. Chyba nie chodziło o śmierć w sensie fizycznym, ale też nie porzuciła go... - Niemal zobaczyli wzruszenie ramion rozmówcy. - W każdym razie mój podopieczny miał bardzo wyraźnie sformułowany w umyśle zarzut wobec sprawców tego nieszczęścia. To nawet stało się przyczyną sklasyfikowania go jako przydatnego do jednostki B. Dość szczególna możliwość dowolnego ukierunkowania agresji...

Morr przeczytał na ekranie napisane przez Milta kolejne pytanie.

- Czy może pan coś więcej powiedzieć o tej dziewczynie Godricha?

- Nnie... Jak mówię, coś się z nią stało, Godrich popadł w depresję agresywną, kilka razy wpadał w szal w zupełnie zwyczajnych okolicznościach: na ulicy, w domu. W końcu trafił do kliniki, skąd został przeniesiony do nas.

Brownell pokazał mu na migi, że można kończyć wywiad. Morr podziękował lekarzowi i rozłączył się, nie odrywając spojrzenia od Milta.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał.

- Ta dziewczyna... - szybko rzuciła Day, wyprzedzając Milta.

- Tak. Gdy dowiemy się więcej o niej, będziemy wiedzieli więcej o Godrichu. Siadaj do kompa i dawaj jego kartotekę... - Brownell pokazał generałowi klawiaturę i ponaglił ruchem trzepoczącej dłoni. Sam zbliżył się do przyniesionej przez Day tacy i hojnie napełnił pięć szklaneczek. Roznosząc je, gdy podszedł do milczącego przez cały czas Cunninghama, pochylił się do jego ucha i cicho zapytał:

- Znałeś go?

Vallace pokręcił głową i sięgając po szklaneczkę, wyjaśnił równie cicho:

- Byłem w innym ośrodku szkoleniowym. Później Godrich przyjechał do nas i stamtąd razem dowieziono nas do waszej jednostki. W czasie podróży zamieniliśmy może z pięć zdań. Wydawało mi się, że uważa mnie za kogoś gorszego od siebie, więc nie pchałem się z przyjaźnią.

Milt skinął głową i rozdał resztę szklanek. Zawahał się, stając obok klawiatury i generała, ale potem odszedł i usiadł pod ścianą przy Day. Wypalił dwa papierosy pod rząd, zanim Morr odchylił się w fotelu i zdumiony, w milczeniu popatrzył po kolei na wszystkich obecnych.

- Chyba wszystko jasne... Dziewczyna była espem, w górnej części tabeli klasyfikacyjnej. Do końca nie wiadomo, co się stało, ale została zaatakowana, gdy urwała się z obozu i była z Godrichem w łóżku. Gdy ich znalezione, ona była... wiadomo jaka. Godrich w pierwszej chwili wyglądał na równie wyżyłowanego, ale okazało się, że to tylko stupor. Wszystko wskazuje na to, że się kochali, gdy ona została wymordowana, a on wpadł w szok. Przy okazji leczenia wyszły na jaw jego szczególnie przydatne dla nas właściwości, o których chyba wcześniej on sam nie miał pojęcia. W każdym razie, poprzez kompy został przydzielony do innego ośrodka, gdzie go wyleczono i zaproponowano służbę u nas. W kartotece podkreśla się szczególną nienawiść do wrespów, rozumiałą, jeśli wziąć pod uwagę sprawę tej dziewczyny.

- Tak, tylko nikt nie wziął pod uwagę, że nałożenie dwu dominujących w jego

umyśle trendów - zazdrości i nienawiści do wrespów, może spowodować, że Godrich zacznie zwalczać espów... - odezwał się niespodziewanie Jock.

Generał pokiwał głową. Vallace otworzył usta, ale zamknął je, nie wydając dźwięku. Brownell rzucił niedopałkiem w kierunku szpary pochłaniacza. Klapka błyskawicznie uchyliła się, a mocne westchnienie wessało śmieć. Milt podniósł się z podłogi i podszedł do szafki wystającej na kilka centymetrów ze ściany. Otworzył ją i wyjął kaburę z malutkim, wykonanym ze spieków twardszych od stali, colibrem 0,38. Niewielki kaliber broni rekompensowała pojemność magazynka i znakomita celność. Pociski, mimo dużej siły przebicia, wyhamowywały w celu, powodując zadziwiające przy swej wielkości rany. Rozejrzał się po obecnych i wyciągnął rękę z pistoletem w stronę Simiego.

- Pójdiesz ze mną? - A gdy Simi skinął głową, rzucił colibra i wyjął z szafki drugi. - No to chodźmy. - Skierował się do drzwi i przepuszczając Simiego, powiedział do Morra: - Na wszelki wypadek wstrzymaj przepustki i wyślij kilka patroli.

Morr natychmiast uruchomił zegaretkę i wydał rozkazy. Potem na dwie raty wychylił swoją porcję whisky i odchrząknął, jakby chciał coś powiedzieć. Nie odezwał się jednak. Wstał tylko i bez pytania dołał sobie drugą, równie sporą porcję, potem, przypomniawszy sobie o pozostałych, trzymaną w ręku butelką, ruchem brwi wskazał najpierw Day, a potem, gdy odmówiła gestem, Vallace'owi. Cunningham szybko dopił resztkę ze swojej szklanki i podszedł do generała. Strużka alkoholu przesunęła się i ominęła krawędź naczynia, gdy Milt wpadł do pokoju i zatrzymał się tuż za progiem.

- Zwiął! Pół godziny temu sprawdził moje sesje w kompie i widocznie zrozumiał, że jestem na tropie...

Zrobił dwa kroki i z rozmachem usiadł w fotelu. W drzwiach pojawił się Kusley z colibrem w kaburze. Morr odstawił butelkę na stolik i sięgnął prawą dłonią do zegaretki.

- Poczekaj! - Milt szybko uniósł dłoń. - Poczekaj! - powtórzył. - Jestem przeciwny wysłaniu pościgu za Godrichem.

- Dlaczego? - Cunningham wyprzedził swoim pytaniem takie samo pytanie innych.

- Obawiam się, że Godrich już wie, że może oddziaływać na ludzi nawet bez pomocy aparatury. Jestem pewien, że tak jest. Nie pytajcie, skąd wiem, ale tak jest. Jeśli wyślemy kogoś za nim, to ten ktoś będzie bez szans. Godrich może doprowadzić do szumu wokół sprawy, a na pewno szum się zrobi po serii niewytłumaczalnych zabójstw i samobójstw... - Wstał z fotela i popatrzył na Morra. - Chodź, Niclas, musimy porozmawiać.

Wyszedł pierwszy, a za nim posłusznie, bez pożegnania, ruszył Morr. Po długiej chwili bezruchu i ciszy poruszył się Simi - podszedł do wciąż otwartej szafki i z rozmachem

wrzucił do niej swojego colibra. Potem usiadł w fotelu i chwycił stojącą na stoliku szklaneczkę.

- Nawet się nie pożegnał... - powiedział niewyraźnie z powodu filtrów Jock.

- Kto? - zainteresował się Cunningham.

- Milt - kwaknął Jock i wyszarpnął z ust kłęb filtra. Poruszył wargami, masując językiem zdrętwiałą jamę ustną, a potem, ku zaskoczeniu obecnych, chwycił swoją szklaneczkę i jednym ruchem wlał całą jej zawartość w gardło. Grdyka poruszyła mu się kilka razy. - Zabrał spluwę, nie zauważyliście?

## Rozdział VII

- Pani prezydent, rozmowa na linii szóstej. Włączyć czy umówić na później?

Ella westchnęła i znużonym gestem ułożyła głowę na dłoni opartego na biurku ramienia. Lewa ręka niekontrolowanym gestem odsunęła na bok pisak-myszkę. Palce wybiły prosty rytm na blacie biurka.

- Odbieram - powiedziała, jednocześnie sięgając do klawiatury tele. - Słucham.

- Ella... Tu Milt... - Brownell odczekał kilka sekund, dając pani prezydent czas na zwalczenie zaskoczenia. - Mam do ciebie sprawę. Mogłabyś się jakoś ze mną spotkać?

- Milt?! - Ella wyprostowała się w fotelu. - Możesz do mnie przyjść?

- Nie bardzo... Wolałbym, żebyśmy się spotkali gdzieś w mieście. Może zjemy kolację?

- Świetnie... - powiedziała ostrożnie, nie wierząc w szczerść jego słów. - O której i gdzie? Jestem dzisiaj wolna przez cały dzień.

- No to już! Będę czekał na rogu Piątej i Blue Sky.

- Mówiłeś, że chodzi ci o kolację... - roześmiała się Ella. - A jest druga... Dobrze, za pół godziny tam będę. Zgoda?

- Rzecz jasna! Czekam...

Ella Trewinkard wyłączyła tele i odpychając się od biurka, opadła plecami na oparcie fotela. Mebel posłusznie rozłożył się, pani prezydent splotła dłonie na karku i pogрузzyła się w penetrowaniu wzrokiem sufitu tak zwanego małego roboczego gabinetu, tego, w którym nie pojawiała się prasa, w którym nie przyjmowała oficjalnych przedstawicieli, w którym mogła naprawdę popracować. Duży reprezentacyjny gabinet, z jego pseudooknami i oszczędną, wyliczoną z niesłychaną dokładnością dekoracją - sztandarami, godłami, pamiątkami po wielkich poprzednikach, fotografiami z college'u i spotkań z wybitnymi światowymi politykami, denerwował ją i wykluczał koncentrację. Dlatego poleciła mały salonik, przylegający do gabinetu, przerobić na rzeczywisty pokój do pracy, zamontowane również tam pseudo wyregulowała tak, że udawało prawdziwe okno, a więc nie dawało niemal panoramicznego widoku. Tu wreszcie poczuła się na tyle dobrze, że mogła pracować. Stary, mechanicznie rozkładany fotel, zamiast współczesnego, sterowanego głosem, bezszmerowo rozkładającego się z milimetrową dokładnością mebla z tworzyw używanych do podróży kosmicznych, wprawiał w zakłopotanie sekretarza, a ją w nieodmiennie - chociażby z tego właśnie powodu - dobry nastrój. Uniosła nieco stopy i mocno opuściła je z powrotem, fotel posłusznie kiwnął się, Ella powtórzyła ruch, amplituda kołysania wzrosła i utrzymywała się na tym poziomie kilka minut, podczas których Ella Readlef Trewinkard bujała się jak dziecko, usiłując pozbyć się niedobrych, opartych na złych przeczuciach myśli. Drgnęła, gdy komp po przeanalizowaniu jej ostatniej rozmowy i zapamiętaniu terminu spotkania uruchomił melodyjny sygnał i bezbarwnym głosem beznamiętnie oznajmił:

- Spotkanie za dwadzieścia minut, pani prezydent.

Ella zgrabnie zeskoczyła z fotela, który jakby nie wierząc, że można było tak go potraktować, kiwnął się jeszcze kilka razy, po czym ostro, nienaturalnie, gwałtownie wyhamował i złożył się. Pani prezydent przeniosła się do swojej łazienki i w dwie minuty przymierzyła przed ekranem kosmekompa kilkanaście wariantów makijażu, wybrała i wykonała jeden z proponowanych zestawów, stojąc w bezruchu, obejrzała siebie z kilku perspektyw i pozycji, po czym, zadowolona z efektu, wywołała sekretarza.

- Mam prywatne spotkanie. Wychodzę bez obstawy, dam znać, gdzie jestem i jak się można ze mną połączyć.

- O, to niemożliwe, pani prezydent. Dwaj członkowie ochrony muszą być w pobliżu.

- Ale to prywatne spotkanie i nie będziemy dyskutować! Za piętnaście minut dam znać. Dziękuję!

- Pani prezydent - nie rezygnował sekretarz - jeśli coś się stanie, postawi się tego człowieka w stan oskarżenia za spowodowanie sytuacji zagrażającej bezpieczeństwu państwa... - zawiesił głos.

Ella wykonała jednoznaczny gest w stronę głośnika interkomu.

- Dobrze, Join. Przekonałeś mnie - powiedziała uprzejmie. - Prywatny samochód, dwaj najmniejsi ludzie z twojej załogi. Już schodzę.

Szybko przeszła przez sekretariat, Join stał sztywno, frontem do niej, personalna winda uwolniła ją od pełnego wyrzutu spojrzenia i zawiozła na parter. Na wyjazdowej estakadzie czekał już niewielki surgeod i młoda kobieta z dużo starszym od siebie, dystyngowanym szpakowatym na skroniach mężczyzną. Ella uśmiechnęła się do nich i odpowiedziała na przywitanie, a potem, widząc, że dziewczyna wyprzedziła ją i zablokowała swoim zgrabnym ciałem drzwi do miejsca kierowcy, zmarszczyła nos i wsunęła się na tylne siedzenie. Dżentelmen w ubraniu w cienkie czarne prążki na szarym tle wsiadł z przodu. Wyjechali boczną, najbardziej niepozorną i najczęściej przez Ellę wykorzystywaną bramą bezpośrednio na ulicę. Po kilku minutach podjechali na umówione miejsce. Milt stał na rogu z papierosem przyrośniętym do ust, rozlącym spojrzeniem obserwował ciemne, deszczowe chmury, wiszące nad centrum miasta. Gdy Ella otworzyła okno i zawołała go, zbliżył się i pochylił do okienka.

- Dzień dobry, pani prezydent - powiedział oficjalnym tonem. - Proponuję, żebyśmy się przesiedli do mojego wozu. - Wskazał palcem białe przysadziste monte rico, jednocześnie podał mężczyźnie z przedniego siedzenia kartonik zamalowany kilkunastoma pasmami o różnej długości i natężeniu barwy. Mężczyzna wsunął kartonik do szczeliny zamaskowanego pod standardowy komp telekońcówki komputera rządowego. Dziewczyna siedziała pozornie niedbale, w półobrocie, ale Milt widział, że jej lewa ręka zsunęła się z opiętego cienką tkaniną biodra i zawisła tuż przy krawędzi fotela, gdzie musiała być schowana jakaś broń czy co najmniej paralizator. Komp pisnął i nie podając żadnej informacji, wypluł kartonik Milta. Ella jeszcze raz uśmiechnęła się do pary z korpusu ochrony i wyszła z samochodu. Wsunęła dłoń pod ramię Milta i dała się podprowadzić pod monte rico. Oczekwała, aż Milt włączy się do ruchu i zapytała:

- Jesteśmy tu prywatnie czy poważnie?

Brownell zerknął na wsteczny panoramik, zlokalizował samochód ochrony, a po chwili wypełnionej manewrami przy zmianie pasma, popatrzył na Ellę.

- Porwanie... - Groźnie wytrzeszczył oczy i wyszczerzył zęby.

- Och!... - omdlałym głosem powiedziała pani prezydent, chciała dodać coś jeszcze, ale przyjrzała się Brownellowi i zrozumiała, że był to ostatni żart z jego strony. - Dokąd jedziemy?

- Wyjedziemy na pasmo sterowane i pogadamy... Kilka minut jechali w ciszy, dopiero gdy znaleźli się na niemal pustej autostradzie i podłączyli do pasmowego sterownika wtopionego we wstęgę gładfaltu, Milt odsunął się z fotelem od kierownicy, zapalił papierosa, poczęstowawszy uprzednio Ellę - odmówiła - i po wypuszczeniu pierwszego kłębu dymu powiedział:

- Interesujesz się jeszcze naszą wojną? - Popatrzył na nią i szybko dodał: - Przepraszam. - Chwył jej dłoń w swoje palce i uściśnął. - Nie wiedziałem, jak zacząć, więc wybrałem najgorszy z wariantów. Chodzi mi o to, czy zwrócono ci uwagę na pewne anomalie? Nie? Może w innych jednostkach nie mają tak bystrych kapitanów... Od trzech tygodni praktycznie trwa zawieszenie broni. Poprzedzone zresztą generalną zmianą taktyki przeciwnika.

Krótko wprowadził panią prezydent w wydarzenia sprzed dwudziestu dni, kończąc



na tych najnowszych - sprzed doby.

- Tym razem powiem ci, co o tym myślę, bo wydaje mi się, że powinnaś mieć kilka wariantów działania. - Wrzucił niedopałek do popielniczki i natychmiast zapalił drugiego papierosa. Zerknął do tyłu na wóz z parą ochroniarzy i przeniósł wzrok na Ellę. - Przeciwnik, kimkolwiek jest, proponuje zakończenie walk. Nie wiem - rozejm, rokowania, może po prostu wycofanie się z wojny bez korzyści terytorialnych, propagandowych czy jakichkolwiek innych. Jeśli to nie są Ziemianie, to w ogóle konflikt może być nieporozumieniem, co łatwiej było zrozumieć im niż nam. Zresztą to wszystko jakby stało się nieważne wobec Godricha. On może zawalić wszystko, jest w stanie walczyć bez pomocy wzmocniaczy, jestem tego pewien. Zresztą zbudowanie wzmocniacza również nie jest problemem. Tak więc Godrich musi zginąć. Nie wyobrażam sobie, jak można go unieszkodliwić inaczej. I nie widzę innej możliwości wykonania tego wyroku, jak własnoręcznie. Obawiam się, że nikt inny nie będzie w stanie tego zrobić. Nikt prócz mnie go nie wytropi. I tu liczę na twoją pomoc. Potrzebny mi dostęp do najnowszych informacji i raportów kryminalnych. Mam nadzieję, że Godrich zdradzi się jakimś działaniem z wykorzystaniem swoich zdolności telehipnotycznych. To pierwsza prośba, i druga - zabraniam ci w jakikolwiek sposób mi pomagać. Nie da się wtedy uniknąć rozgłosu i cała wojna wyjdzie spod koca. Jeśli walczyliśmy z ziemskimi wrespami, to damy im do ręki niebagatelny atut - oni, niezidentyfikowani, schowani w głębokim cieniu, będą mogli do woli oskarżać nas o agresję. Rozumiesz to chyba?

Zgniółł w popielniczkę peta i wygodnie rozparł się w fotelu, opierając plecami o drzwi. Ella siedziała prawie identycznie, tyle że wzrok miała skierowany gdzieś w gigantycznej długości pasmo gałęzistej pszenicy, tuż obok autostrady. Po chwili milczenia, zakłócanej tylko ledwo wyczuwalną, z kół na karoserię przenoszoną wibracją i regularnym, co dwadzieścia sekund odzywającym się sygnałem pilota meldującym OK, kiwnęła głową.

- Rozumiem. Ale nie bardzo mogę się pogodzić z tym, że bierzesz całą odpowiedzialność na siebie. Może podzielimy się: ty go wyszukasz, a... - zawahała się, szukając odpowiedniego słowa - resztę zrobi ktoś inny. Mamy w końcu służby specjalne...

- Nie znam się na tym - prychnął Milt. - Ale z tego, co widziałem w kinach i tak dalej, w takich sprawach musi wystąpić łańcuch „wyroków” - zabójca musi być zabity przez kogoś, kto musi być zlikwidowany, żeby mieć pewność, że już nikt nie dojdzie do przyczyny pierwszego zabójstwa, to jest bardzo życiowe... To pierwszy problem. Drugi to trudności techniczne. Godrich dysponuje niesłychanie mocnym polem psi, nie mam co do tego wątpliwości. Może zmusić zabójcę, żeby zabił się sam, albo kilkadziesiąt innych osób, albo ciebie... Przyznam się, że w tajemnicy przetestowałem siebie i wiem, co to jest; nie patrz tak na mnie. - Uśmiechnął się słabo, widząc zdziwienie na twarzy Elli. - Jestem również supertelepata. Nie jestem pewien, czy lepszym od Godricha, ale z pewnością mogę przynajmniej jakiś czas mu się oprzeć. Natomiast jeśli, zmuszony okolicznościami, opanuje jakiegoś fachowca, to właśnie to może podsunąć pomysł działania na dużą skalę. To potężny, chory umysł.

- Nie, Milt, nie mogę pozwolić...

- Ależ ja cię nie proszę o pozwolenie! - wyskandował Brownell świadom, że nie jest miły dla Elli. - Ja to i tak zrobię i, wybaczone, ale nie jesteś w stanie mi w tym przeszkodzić. Potrzebny mi jest tylko dostęp do raportów i to wszystko. Nic, ani kropli więcej.

- Kapitanie Brownell... - Ella odchrząknęła i nałożyła na twarz maskę oficjalnego niezadowolenia.

- Pułkowniku, jeśli już. Pułkowniku. - Milt przesunął się i znowu ścisnął jej dłoń. -

Zrozum, tylko tak można to rozwikłać. Wytropię go i zabiję. I, oczywiście, postaram się uniknąć aresztowania. Na pewno nie pójdę na policję przyznać się. Ale gdyby... gdyby nie udało mi się uciec - zabraniam ci w jakikolwiek sposób się mieszać, mieszać państwo do tej historii. W najgorszym wypadku grozi mi kilka lat więzienia. Dobre sprawowanie i te inne historie, ale ty się nie wtrącaj! Jeśli nie przyrzekniesz mi tego, to skorzystam ze swych umiejętności i zmuszę cię do tego. Wybieraj.

Znowu odezwał się pilot. Tranzytowe opony nawinęły na siebie dwukilometrową wstęgę szosy, zanim Ella podniosła oczy i popatrzyła na Milta. Dwa razy otwierała usta i zamykała je, zanim, w końcu, powiedziała:

- Zgadzam się z twoim planem, ale musimy wymyślić jakąś asekurację dla ciebie...

- Nie trzeba, poradzę sobie. Umówmy się, że hasłem będzie tuzin jedynek, dobrze? Albo nie... - Machnął dłonią z niezadowoleniem. - Coś prostego, ale szybkiego w obsłudze... Może jedynka, dwie dwójki, trzy trójki? O! Niech będzie. A teraz, skoro zakończyliśmy oficjalną część spotkania, może byśmy zawrócili i zjedli gdzieś ko... Napili się czegoś?

- Nie, Milt. Za bardzo przypominałoby mi to pogrzeb Bolta.

Brownell wyciągnął prawą rękę i zaprogramował powrót. Odwrócił się do Elli i szeroko uśmiechnął.

- Kto to był, ten Bolt?

- Dość bogaty facet, który cztery lata temu pomyślał sobie, że z powodu zgonu pozbawi siebie fajnej imprezy - własnej stypy. Dlatego pewnego dnia zaprosił ludzi na swój pogrzeb i przyjęcie. Podobno nawet bywalcy twierdzili, że znakomicie się bawili, a wszyscy uczestnicy „stypy na żywo” takie same zorganizowali dla siebie. Czy to nie urocze?

- Zaiste, niegłupie. - Milt z uznaniem pokiwał głową. - Rzeczywiście, co mi z tego, że na mój pogrzeb przyjdą ludzie, jeśli ja tego nie będę widział? Nie zobaczę, jak schleje się X, jaką fryzurę ma Y... Cwany gość z tego Bolta. Czy ta historia ma jakąś puentę?

- Mało ci?

- Aż prosi się o, na przykład, taką końcówkę: na jego własny prawdziwy pogrzeb nikt nie przyszedł, ponieważ odbyła się już „stypa na żywo”.

Monte rico łagodnie wszedł w prawy zjazd na pasmo powrotne, Ella wychyliła się w stronę Milta. Naturalnym gestem Brownell objął panią prezydent i pocałował delikatnie najpierw w szyję, tuż pod uchem, a potem, gdy wóz wrócił na poprzedni poziom i rozpędzał się do powrotu, w usta. Ella dość szybko oderwała się od niego i wróciła do poprzedniej pozycji.

- Potrójny błąd - powiedziała. - Całujesz prezydenta na oczach ochrony, myślisz przy tym o innej i nie starasz się tego jakoś wytłumaczyć. Dobrze to świadczy o twoich zdolnościach telepatycznych, ale źle o znajomości bon tonu.

I widząc zmieszanie na twarzy Milta, roześmiała się głośno, a po pierwszym parsknięciu rozśmieszyło ją to jeszcze bardziej. Szpakowaty dżentelmen w samochodzie za nimi uniósł lewą brew na widok bezgłośnie śmiejącej się pani prezydent i spojrział na swoją seksowną towarzyszkę.

- Kelner!

Młody chłopak w żółtych spodniach i o ton ciemniejszej koszulce zbliżył się, zgrabnie omijając foteliki i gości. Zanim otworzył usta, Milt powiedział:

- Jeszcze raz to samo i telefon.

Młodzian w wyważony sposób skinął głową i szybko pomaszerował do sali z barem. Brownell zaczerpnął powietrza i dokończył cuba libre. Chwilę obracał szklanek w palcach, potem naczynie wylądowało na blacie stolika, a Milt odkrył, że wodna kurtyna znakomicie naśladuje lustro: na tafli spływającej po szybie wody widniało

odbicie jego własnej, ozdobionej od kilkunastu dni krótką brodą, twarzy. Przyjrzał się jej i przy okazji zlustrował twarze kilku gości tak jak i on nad sztuczną klimatyzację przedkładających nieco wyższą temperaturę, ale i przyjemnie wilgotne, aromatyczne powietrze. Mieli zwyczajne, przeciętne twarze.

- ...Bez przesady! - dość głośno powiedział chudy pięćdziesięciolatek. - Byłem pół roku temu w tych sławetnych emiratach arabskich. Żadna rewelacja.... I tak samo jak my - wyjął z kieszeni dziesiątkę - lubią te małe zielone ludziki! - Roześmiał się z dowcipu i pomachał towarzyszowi przed nosem banknotem. - Przekonałem się o tym, kiedy poznałem jedną wyemancypowaną kobitkę. Zobacz... - Schował banknot i po sekundowej szarpaninie wyjął z tylnej kieszeni płaski portfel i gestem policjanta pokazującego swoją legitymację, otworzył go ruchem palców jednej dłoni. - Ma już swoje lata...

- A nawet kilka cudzych! - błyskawicznie wtrącił kompan.

- Ojej-jej! - Pokręcił głową opowiadający. - Nie muszę... - Dobra, dobra, nie złość się.

Wrócił kelner i postawił przed Miltem pękata, obłą szklanke i płaski aparat tele. Brownell spokojnie upił trochę zimnego rumu z colą i dyskretnie rozejrzał się dookoła siebie.

- ...a ona mi mówi, że bardziej od zakochanych lubią gwiazdki astronomowie i oficerowie. No to ja...

Brownell wystukał na klawiaturce kilkanaście cyfr, a gdy rozbłysła dioda, wcisnął w ucho słuchawkę i szybko umocował na szyi laryngofon.

- Niclas? - zapytał. - Posłuchaj... Nie wiem, czy się nie mylę, ale sądzę, że mam ślad. Dwa dni temu tu, w Bullimare, wyskoczył z okna mieszkania jeden ze szkolących się espów. Pozornie wszystko ma ręce i nogi - rzuciła go dziewczucha, ale ja mam na ten temat inne zdanie. I nie mam nic innego do roboty, więc tu jestem. Poczekaj... Nie chcę żadnej pomocy. Załatwię to sam, natomiast ty zaczniesz działać, jeśli mnie się nie uda. Tylko wtedy. Co dwa dni będę do ciebie dzwonił, jeśli opuszczę trzy seanse łączności, zaczniesz się martwić, jak wybrnąć. Nie wcześniej. Jasne?

Słuchał chwilę, zerkając w lustrzaną tafłę szkła i wody. Mężczyźni dzielący się wrażeniami z wakacyjnych podbojów roześmiali się głośno.

- No to niby wszystko w porządku. Pozdrów wszystkich i Day. Zadzwoń dzisiaj do niej. Cześć. - Rozejrzał się i nie widząc w pobliżu kelnera, zostawił pieniądze na blacie stolika i wyszedł na rozpaloną południowym słońcem ulicę. Skorzystał z oferty najbliższego sklepu z odzieżą, zaopatrując się w ciemną czapkę z dużym daszkiem i olbrzymie, słoneczne okulary pozwalające, przy pewnej wprawie, na obserwację tego, co dzieje się z tyłu. Ruszył piechotą, pozornie bez celu, w rzeczywistości czujnie nasłuchując, czy gdzieś na dnie umysłu nie odezwie się sygnał informujący o bliskości Godricha. Spędził tak dwie godziny. Potem, gdy upał zelżał i więcej ludzi po południowej drzemce wyległo na ulicę, a tym samym wzrosła szansa natknięcia się bezpośrednio na Omara, wstąpił do salonu samochodowego. Po chwili pertraktacji wynajął patrę, szybki kabriolet z płóciennym dachem, choć klerk intensywnie go przekonywał, że jedynym naprawdę klimatyzowanym modelem jest masywny bester. Po trzech godzinach bezładnej jazdy Milt uznał, że połowę miasta ma „przesłuchaną”, zatrzymał się na najbliższej stacji, zapełnił zbiornik metyliną, uznał za dobry pomysł kupno planu miasta i okolicy i zrealizował go. Przez dłuższą chwilę pochłonięty był typowaniem drogi, którą miał zamiar obsadzić, w końcu wybrał trzecią co do natężenia ruchu, niedawno przebudowaną i unowocześnioną Stradę 224 wpadającą w Bullimare z południowego zachodu. Bez kłopotu dostał się do niej i tuż za miastem, niecałe dwa kilometry przed strefą włączania się do zautomatyzowanego ruchu, zjechał na olbrzymi, pusty parking, odrzucił dach i wygodnie ułożył się na rozłożonych

siedzeniach. Dym papierosa prawie pionowo wznosił się ku niebu, gdzie na olbrzymich płachtach air-surfingowych ślizgało się po strugach prądów kilkunastu winderów. Gdy papieros skończył się, pstryknął niedopałkiem na oślep poza brzeg karoserii i odetchnąwszy głęboko, dość łatwo osiągnął nieustannie trenowany od niemal dwóch miesięcy stan, który na własny użytek nazywał telepatyczną rynną. Jak zwykle poczuł, że łagodnie obsuwa się, ześlizguje w swoim umyśle do partii mentyki, uruchomienie których pozwalało korzystać z niedawno odkrytych właściwości telepatycznych i teledawczych. Poczuł się lekki niczym spirala papierosowego dymu, bez trudu określił kierunek i - choć robił to już kilkanaście razy - któryś z kolei raz odczuł radość i ulgę, gdy udało mu się usłyszeć Day.

- Day! Poznajesz mnie?

Jak zawsze kilkanaście sekund straciła na opanowanie zaskoczenia. Zmusiła się do uporządkowania bezładnego natłoku myśli, jak zawsze wyczuła jej złość na samą siebie, łagodnie się wtrącił i uspokoił dziewczynę.

- Zachowujesz się, jakbym cię nakrył na czymś nieprzyzwoitym. Co robisz?

- Dłubię w zębach, nie zakrywając tego dłonią. Wystarczy? - Nie przelicytujesz mnie! Ha! Oglądam film o pozyskiwaniu chińskiego miodu...

- No to co?

- Widzę, że nie masz pojęcia, jak to się odbywa?! Otóż Chińczyk siedzi obok wylotki i łapie każdą wracającą do ula pszczołę. A potem, wyobraź sobie, doi ją...

- Fu! Rzeczywiście...

- Masz pojęcie, ile trzeba wydoić takich pszczoł, żeby uzbierać szklanekę miodu?

Dlatego kosztuje osiem razy drożej niż...

- Przestań, ty zboczeńcu!

- Dobrze... Już nie będę. Powiedz, co u ciebie? - Przecież już wszystko wiesz...

- Ale wolę, jak opowiadasz. Możesz nawet dalej dłubać w zębach.

- Cały czas to robię. Co do nowości to nie mam żadnych. W eterze bez zmian, cisza. Dyżurujemy bez przekonania. Morr wysłał rozkaz wstrzymania nowych przydziałów do jednostki. Marazm. A ty?

- To samo. Posiedzę kilka dni w Bullimare, mam nadzieję trafić tu na ślad

Godricha.

- Milt...

- Mów.

- Jesteś pewien, że się nie mylisz?

- Tak. Zadałaś mi to pytanie chyba z dziesięć razy. Kilka innych osób dodało swoje sześć razy, a ja sam pytałem się siebie dwieście, trzysta, tysiąc razy...

- Nie złość się...

- Nie złościę się. Gdyby tak było, chodziłbym na okrągło wściekły. Nie. Mam pewność. Lepiej stań przed lustrem i przyjrzyj się sobie, chcę wiedzieć, jak...

Milt poczuł nagle jakiś dziwny metaliczny powiew w transmisji. Zdarzyło się to po raz pierwszy od kiedy odkrył, że łączność telepatyczna jest o niebo lepszym sposobem komunikacji niż tele czy nawet wizjofon. Sprężył się i prawie w panice szarpnął głową, uderzając skronią w podłokietnik.

- Milt... Milt! Co się stało?

- Day, kończymy. Szarpie mnie za ramię policjant, pewnie zaparkowałem nie tam, gdzie trzeba. Odezwę się później albo jutro. Całuję.

Błyskawicznie zwinął się i skoncentrował. Dołożył starań, by wytłumić do maksimum własną emisję, a jednocześnie delikatnie, niczym płatkami ukwiału, skontrolować najbliższe otoczenie. Te telemuśnięcia przyniosły efekt, Milt poczuł twardą nieprzyjemną emisję, właściwie nimb telepatyczny. Wydawało mu się, że Godrich nie dba o emisję - tło otaczające go przez cały czas. Nie dba albo nie

spodziewa się, że po tym tropie można go odnaleźć. Być może w ogóle nie wie o wszczętych przez Milta poszukiwaniach. Sygnał był słaby, Brownell mógł już go zidentyfikować, ale Godrich był na tyle daleko od kabrioletu, że Milt nie mógł, może jeszcze nie umiał, określić położenia niebezpiecznego espa-wrespa, potrzebował jednak informacji o kierunku poruszania się czy pobytu Godricha. Spróbował pozbawić swoją emisję cech indywidualnych, żeby w razie wyłapania jej Omar nie rozpoznał swojego byłego przełożonego. Ostrożnie, delikatnie wysuwał mackę - emisję - coraz dalej, sondował eter wokół siebie aż w końcu, gdy znowu poczuł tło Godricha, gdy sprecyzował kierunek, błyskawicznie się wycofał. Usiadł teraz w samochodzie i chwilę intensywnie porównywał informację z konfiguracją terenu. Godrich musiał wyjeżdżać z miasta, ale nie szosą, na której czyhał na niego Milt. Wyszarpnięta szybkim ruchem z kieszeni w drzwiach mapa rozdarła się na zgięciu, drugi zamierzony ruch dokończył zniszczenia. Milt odrzucił niepotrzebny fragment centrum i po chwili resztę. Zanim dach nakrył go swoją płaszczyzną, silnik zawył i pospiesznie przekazał prawie całą swą moc kołom. Brownell wyskoczył z parkingu drugim wjazdem, pod prąd i dopiero potem włączył się do ruchu. Wyduślił z wozu całą moc, rzucił go w pustą drogę łącznikową i po kilku minutach wypadł na Szosę Południową, którą, jak sądził, wyjechał z Bullimare Godrich. Najpierw wcisnął pedał gazu do oporu i gnał tak dwadzieścia minut z papierosem w ustach i palcami zaciśniętymi na kierownicy, potem, gdy komputer drogowy gniewnie zasygnalizował ostrzeżenie, poddał się i włączył do sieci sterującej, ale nie ustawał w molestowaniu o najszybsze pasmo ruchu. Dziesięć minut później komp zlitował się i patra z Miltem w środku wyskoczyła z rzadkiego szeregu samochodów i pognała do przodu wyraźnie szybciej niż inne samochody. Brownell, nie spuszczać oka z szosy przed sobą, uważnie obserwował doganiane pojazdy, ich kierowców i pasażerów. Znowu ostrożnie zapuścił się w eter i nagle, wpadając na inny pomysł, wycofał się i jeszcze raz wystartował, ale nieco inaczej. Sondowanie było odważniejsze, bardziej zdecydowane i niosło ze sobą ślady informacji, zupełnie inaczej niż poprzednie, bezosobowe, sterylne, wyjałowione. Gdyby Godrich wyczuł dotyk, powinien sądzić, że namierza go kilku espów, że jest osaczony przez grupę ludzi.

Wychwycił nieświadomą emisję Godricha, nieco mocniejszą niż pół godziny temu, nie zauważył żadnych oznak niepokoju, przyjął więc, że Godrich wciąż jest nieświadomy pościgu. Wyjął colibra i kilkoma ruchami rozładował broń i rozebrał na części. Po złożeniu zarepetował kilka razy i strzelił w boczne drzwi, nie zakładając magazynka. Magazynek z trzaskiem wsunął się w gniazdo, ciche „kłak” bezpiecznika zakończyło przygotowania. Nie odrywając oczu od paska szosy przed sobą, Brownell sięgnął do tyłu, znajdując na siedzeniu torbę z kilkoma puszkami piwa. Po omacku, orientując się w kształcie puszek, znalazł prince'a i z przyjemnością wypił. Potem rzucił puszkę na podłogę i zapalił papierosa. Szosa przed nim była pusta, wydawało mu się, że czeka go po kilku kilometrach łagodny zjazd, za którego garbem może już zobaczyć wóz Godricha. Wystukał umówiony z Ellą cyfrowy szyfr i z radością skonstatował, że może za jego pomocą dostać kod, jakim posługiwały się na tej szosie wozy służbowe. Uruchomił go i przyspieszył jeszcze, pozostawiając kierowanie wozem komputerowi, dla siebie zastrzegając tylko sterowanie prędkością. Wcisnął gaz do oporu, tak że na łagodnym garbie wypite piwo zabulgotało w żołądku. Zaraz za szczytem stoku pojawiła się żółta ballamba z białym dachem. Godrich musiał być w tym samochodzie, Milt poczuł to wyraźnie, jak człowiek chodzący z zamkniętymi oczami po plaży czuje, kiedy wchodzi do wody. Zwolnił - zbyt szybko zbliżająca się patra mogła zastanowić Godricha - i sięgnął po broń. Lewą ręką otworzył oba boczne okienka. Zbliżał się szybko do ballamby, panując nad sobą, usiłując nie zdradzić się niekontrolowaną emisją, ale gdy do wozu Godricha zostało tylko kilka metrów, poczuł

niespodziewanie espunderzenie. Zrozumiał, że Godrich wyczuł jego własne tło i natychmiast zaatakował. Przestrzeń przed Brownellem pękła, boleśnie parząc całe ciało; ostra, naszpikowana kolcami obręcz zacisnęła się wokół szyi. Po półsekundowym bezruchu, pełen zaskoczenia skoncentrował się i zniwelował ból, odepchnął emisję Omara, zobaczył znowu szosę przed sobą i idiotycznie pomalowany wóz Godricha po swojej prawej ręce. Pędzili obok siebie, patrząc na drogę, dopiero po chwili obaj niemal równocześnie zwrócili ku sobie głowy. Twarz Godricha nie wyrażała żadnego uczucia, może tylko mdłe, obojętne spojrzenie sygnalizowało jego stan. Milt spróbował podnieść rękę z pistoletem do góry i zrozumiał, że nie jest w stanie wykonać tego ruchu. Skoncentrował się, zmobilizował wszystkie swoje umiejętności i runął na Godricha. Natychmiast poczuł ugięcie esppancerza przeciwnika, ale poczuł też, że nienawiść Godricha do espów rekompensuje mu własną słabszą emisję. Czuł twardość skorupy Omara, wiedział, jak potężnym uczuciem jest nienawiść, jak zawzięty, szalony w swym uczuciu przeciwnik może być groźny, nawet jeśli jest dużo słabszy. W ich wypadku siły były prawie równe, co natychmiast postawiło Milta w gorszej sytuacji. Nieustannie napierał na Godricha, zmieniając natężenie i kierunki emisji, nie dając tamtemu czasu na skoncentrowanie się i wymyślenie strategii ofensywnej. Próbował też markować chęć uniesienia prawej ręki, tej uzbrojonej, gdy tymczasem tak naprawdę chciał sięgnąć do sterownika, by wyłączyć komp i uderzyć w wóz Godricha - wtedy komputer drogowy na pewno usiłowałby wyrównać wypadający z drogi samochód, co przy ich prędkości musiałyby zakończyć się kapotowaniem. Próby nie przynosiły jednak rezultatów. Całe ciało Brownella było jak wciśnięte w ciasny, sztywny, kamienny pancerz. Godrich czuł się chyba podobnie, jego twarz straciła obojętny wyraz, była to teraz maska szaleńca - wytrzeszczone oczy nabiegłe krwią, wyszczerzone zęby, w kąciку ust ciągnący się strumyk śliny. Wyglądał coraz gorzej, ale naciskał na Brownella mocniej i mocniej, zupełnie jakby w żarze wypalanego ciała hartował się jego duch, którego używał do walki. Brownell poczuł, że długo tak nie utrzyma Godricha, zawył coś i nie troszcząc się o paraliżowanie ruchów Omara, uderzył z całej siły w jego umysł. Godrich szarpnął się, jego głowa uderzyła w ramę okna, barkiem przydusił na chwilę klakson, ale nawet na ułamek sekundy nie osłabił miazdzącego nacisku na Brownella. Wręcz przeciwnie - wychylił się z okienka w stronę patry i makabrycznie uśmiechnięty, z krwawą pianą na wargach, zaczął odsuwać od siebie blokadę Brownella. Milt zrozumiał, że ma tylko jeszcze kilka, może kilkanaście sekund, zanim Godrich przełamie jego emisję i zabije go. Zobaczył, jak wolnym ruchem Godrich unosi ramię, w okienku pojawia się dłoń z ogromnym rewolwerem. Rozpaczliwie skoncentrował się ponownie na ręku Godricha, ale ten w zamian spętał mu w przeraźliwym uścisku płuca i wolniej wprawdzie, lecz nadal wysuwał lufę przez okienko. Brownell widział to wyraźnie, choć oba wozy wpadły w purpurowy zmierzch. Ogromna dziura lufy patrzyła już prawie w oczy Milta. Wycofał całkowicie swój nacisk, uderzył, wycofał, uderzył... Najwyraźniej działało to na Godricha jak uderzenia owadów w szybę samochodu. Wskazujący palec poruszył się na spuście, krwawa mgła prawie zupełnie przesłoniła ten widok i wtedy Godrich jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy, choć wydawało się to już niemożliwe, wrzasnął coś, targnął całym ciałem do tyłu. Lufa własnego rewolweru zakreśliła łuk i niemal oparła się o jego czoło. Brownell poczuł, że może znowu oddychać, z wyciem wciągnął powietrze i jeszcze raz uderzył w Godricha. Uniósł dłoń i oddał cztery strzały, celując w głowę Omara. Huk uderzył w uszy i natychmiast, jak wyrzucony przez okno liść, został gdzieś poza nim. Tył głowy Godricha eksplodował i mętym, czerwono-białym kwiatem uderzył w dach samochodu, wrywając w nim dziurę o poszarpanych brzegach. Oszołomiony Brownell, spazmatycznie oddychając, patrzył na pędzącą nadal obok niego ballambę, której kierowca zniknął mu z oczu, zniknął z

życia. Poczł krole potu zalewające oczy, przetarł je przedramieniem i gwałtownie zdjął nogę z pedału gazu. Ballamba wystrzełiła do przodu wraz ze swoim bezgłowym kierowcą. Brownell złamał dwa papierosy, zanim trzeci udało mu się wsunąć między wargi i zaciągnąć potężnie. Żar pochłonał połowę papierosa, opanował na tyle trzęsionkę, że mógł otworzyć puszkę piwa i krztusząc się, wypił połowę. Dopiero kilka minut później, gdy wyprzedził go jakiś wóz, którego pasażerowie, starszy pan i dziewczyna wyglądająca na jego córkę, przyglądali mu się uważnie, zerknął w lusterko i postarał się wygładzić rysy twarzy. Usilnie pracował nad własną twarzą, odnajdował poszczególne mięśnie sterujące wargami, powiekami, utrzymujące żuchwę. Prawie odnalazł własne ciało, niemal opanował drżenie rąk i przetrenował w lusterku kilka wariantów uśmiechu, gdy w staroświeckim lusterku wstecznym zobaczył, jak na szosie za nim ląduje kopter policyjny. Tuż za zakrętem w poprzek szosy stały cztery policyjne wozy, silnik zgasł na sygnał komputera drogowego, a następny sygnał uruchomił hamulce. Za wozami przykucnęli policjanci, wystawały tylko głowy w kaskach z kuloodpornymi przesłonami. I dłonie z zaciśniętymi w nich śrutówkami. Nieco dalej stała ballamba Godricha, a jeszcze dalej, już poza zasięgiem strzału, stał wóz, obok którego starszy pan trzymał za rękę dziewczynę, wyglądającą na jego córkę.

## Rozdział VIII

Wizjer w celi odsuwał się bezszelestnie, ale po trzech miesiącach pobytu w bezosobowym pomieszczeniu, wyjąłowionym z wszelkich cech normalnego pokoju, Milt nauczył się nawet przez sen rozpoznawać chwilę, kiedy strażnik pochyła się i zawsze z zainteresowaniem w oczach przygląda mu się. Odczekał chwilę i odwrócił się.

- Chodź - powiedział klawisz i otworzył drzwi. - Masz gościa.

Milt spokojnie podniósł się, pomaszzerował przez drzwi i nie oglądając się na strażnika - dalej, do sali widzeń.

- Babeczka - powiedział z tyłu klawisz, doganiając Milta. - Będzie na ciebie czekała? - zainteresował się.

- Wiesz, że ciekawskim robią się wrzody na dwunastnicy, a medycyna jest wobec tego schorzenia bezsilna? - rzucił Milt i skręcił w odnogę korytarza.

- E! - Strażnik dogonił go i szedł obok. - To by w ogóle nie było dziennikarzy.

- Toteż idą do piachu w czterdziestym roku życia... Strażnik otworzył usta, ale Milt zatrzymał się przed drzwiami i niecierpliwie machnął dłonią. Weszli i zobaczyli Day. Strażnik dyskretnie zatrzymał się zaraz za progiem i nawet nie kłócił się, gdy Milt wskazał pulpity i wykonał gest, jakby przekręcał w czymś kluczyk. Po prostu podszedł do pulpitu i wyłączył nagłośnienie swojej kabiny, z której obserwował więźnia i gościa. Milt podszedł do Day i nagle wytrzeszczył oczy. Day uśmiechnęła się sztucznie i szepnęła:

- Możemy rozmawiać?

Milt potrząsnął głową, jakby spędzał z niej jakieś owady i popatrzył pytająco na strażnika. Ten uspokajająco pokiwał głową.

- Uspokój się i nie podskakuj - powiedziała Day głosem Elli Readlef Trewinkard. - Musiałam się z tobą zobaczyć, a przecież zabroniłeś mi się wtrącać do tej historii...

Milt, nie odwracając się, zerknął na strażnika, pochylił się i pocałował „Day” w policzek. Cieniutka błona, podgrzana skórą Elli, była całkiem przyjemna w dotyku. Poprowadził ją, chichocząc, do stolika z fotelami. Zapalając papierosa, parsknął cicho śmiechem.

- Milt - powiedziała Ella poważnie. - Mam zamiar wnieść o ułaskawienie i...

- Wykluczone! Nie ma żadnych okoliczności łagodzących, a sfabrykowanie ich jest równoznaczne z ujawnieniem wszystkiego.

- Ty zwariowałeś! Jesteś masochistą? Przecież musimy coś zrobić!

- Posłuchaj jeszcze raz. - Milt wychylił się do niej i nakrył jej dłoń swoją. - Zabiłem człowieka. Nie przyszło mi to łatwo, ale trzeba było to zrobić. A teraz ty chcesz doprowadzić do tego, że mój... wysiłek czy jak to nazwać... pójdzie na marne. Nie czujesz? Wiesz, jak się czuje człowiek, który robi coś, stara się, łamie siebie, a potem mówią mu: „A po coś się tak szarpał? Nikt cię o to nie prosił!”

Umyślnie uderzył w ton urażonego, skrzywdzonego człowieka. Czuł, że zadziała to skuteczniej niż suche, racjonalne argumenty. Ella pokręciła głową i kilka razy otworzyła usta.

- Milt, to nie tak...

- A jak?! - niemal krzyknął, usiłując wzmocnić efekt swoich słów. - Jak mam się czuć? Zabiłem człowieka... - ściszył głos do szeptu. - Mam do końca życia uważać, że zrobiłem to niepotrzebnie? Bo tak to będzie. Można było oficjalnie przyznać się do wszystkiego i rozpisać łowy na Godricha, może zginęłoby kilka osób, być może trzeba by było zbombardować jakieś małe miasto, żeby raz na zawsze się go pozbyć. Ale skoro zabraliśmy się do sprawy inaczej, to nie można teraz bawić się w sentymenty. Jeśli to cię przekonuje, to uświadom sobie, że jednak zabiłem człowieka. To raz. Po



drugie - zdecydował, że trzeba dać Elli szansę na wycofanie się z twarzą z propozycji - zupełnie inaczej będzie to wyglądało, jeśli po odsiedzeniu jakiegoś czasu poproszę o rewizję procesu i wtedy będziesz mogła dyskretnie mi pomóc. Ale dopiero wtedy sprawa przyschnie, opadną namiętności, pojawią się inne ekscytujące tematy.

Rozumiesz?

- Uważasz mnie za idiotkę?

Westchnął i wzruszył ramionami.

- Odgrywasz tu niezły spektakl obliczony na sentymentalną kretynekę - syknęła.

- Nieprawda. - Zgasił papierosa i natychmiast zapalił drugiego. - Po prostu usiłuję nie dopuścić do zmarnowania własnego wysiłku. To prawda, że chwytam się, czego mogę... W każdym razie zabraniam ci jakiegokolwiek działania. A jeśli mimo to zaczniesz coś kombinować, zaprzeczę wszystkiemu. Ostrzegam.

- Dobrze. - Potarła czoło i, zapomniawszy o masce, zdziwiła się, czując pod palcami obcą, sztuczną skórę. - To może inaczej... Nie możesz nakłonić sądu do wydania łagodnego werdyktu? Prasa powyje trochę, ale rzucimy im szybko coś podniecającego...

Brownell cmoknął i unióśł na sekundę brwi.

- Niestety, nie. - Popatrzył na Ellę i spróbował się uśmiechnąć. - Jestem pusty... Bezsilny... - Wzruszył ramionami. - Coś się stało, nie wiem. Może to widok eksplodującej czaszki Godricha, może to ten pojedynek na szosie... - Jeszcze raz wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia... W każdym razie nie mogę się zmusić do korzystania z tych właściwości, które jeszcze trzy miesiące temu miałem. Może za pół roku, za rok. Może już nigdy...

- A może... - zaczęła.

- Nie, El... Day - poprawił się. - Nic nie kombinuj. Wcale nie cierpię, porozmawiaj z... panną Federiz, ona wie, że wszystko jest w porządku. Mam takie przeczucie, naprawdę - i widząc, że zupełnie mu nie wierzy, dodał: - Możesz mi nie wierzyć, ale jestem zadowolony z tego, co się stało, i zupełnie nie obawiam się przyszłości. Tylko żeby nikt się nie wtrącał. No?

Ella chwilę patrzyła na blat stolika, potem przeniosła spojrzenie na strażnika dyskretnie ziewającego w łokieć, i w końcu na Milta.

- Ataki zupełnie ustały. Dalej nie wiem, co robić: zwiijać interes czy trzymać jednostki w pogotowiu. Druga strona też ma ten kłopot. Może jakoś się wszystko samo ułoży...

- Może. - Ella wstała i pochyliła się nad Miltem, opierając się jedną ręką na jego ramieniu. Pocałowała go w policzek i bez słowa wyszła.

Milt podniósł się i skierował do swoich drzwi. Klawisz wyszedł z kabiny z płaską paczką w dłoni.

- To dla ciebie. - Podał ją Miltowi. - Z biblioteki - wyjaśnił. - Jeszcze zdążysz przeczytać, do ogłoszenia wyroku masz cztery godziny.

- Dobra.

W celi Milt rozpakował książkę i długo wpatrywał się w stronę tytułową, potem przerzucił kilka stron i wywołał strażnika.

- Coś ty mi przyniósł? Alfred Bester *The Demolished Man*? To jakaś fantastyka! Zamawiałem...

- Nic nie wiem! - wtrącił klawisz niezadowolony z przerwania zażartej dyskusji o meczu. - Dałem zamówienie, odebrałem książkę. Jak nie chcesz, to nie czytaj, ale i tak już nie zdążę jej wymienić. Po wyroku już tu nie wrócisz!

Trzasnął drzwiami. Milt rzucił książkę na stół i rzucił się na łóżko. Kilka minut leżał z papierosem w ustach wycelowanym w sufit. Potem strzelił niedopałkiem w stronę węzła higienicznego, gdzie wessał go śmietnik, i sięgnął po książkę. Zaczynał czytać z

niechęcią, po kilku stronach oderwał się i długo myślał, marszcząc brwi ze spojrzeniem wbitym w ścianę. Wrócił do czytania, jeszcze dwa razy oderwał się i po kilka minut rozmyślał nad treścią. Skończył czytać godzinę przed ogłoszeniem wyroku i czas ten spędził, niszcząc systematycznie zawartość swojej papierošnicy. Dopiero gdy zobaczył, że zostały mu dwa papierosy i dwadziešcia minut czasu, wziął prysznic i długo czyścił zęby, pozbywając się specyficznego smaku w ustach. Ostatniego papierosa zapalił, gdy strażnik wszedł i nic nie mówiąc, przystanął w progu. Spokojny przemierzył długi, kręty korytarz aresztu, zjechał windą na niższą kondygnację i przemaszerował niemal stumetrowy odcinek korytarza. Wszedł do sali, gdzie kilkadziesiąt osób publiczności i dziennikarzy swobodnie rozmawiało jeszcze o jakichś swoich sprawach. Szybko pochylił się do adwokata i zapytał:

- Posyłałeś mi jakąś książkę?

- Eee... - Zmarszczył czoło Jen Kinoy. - Chyba coś o przygodach barona Munchhausena...

- Nie! Teraz, dzisiaj! Science fiction o unii telepatów?

- Dzisiaj? Nieee... Po co?

- To szybko przejdź do tego szpakowatego mężczyzny w trzecim rzędzie, nie tam! Obok faceta z filtrami w nosie... No! I zapytaj go o to samo, pośpiesz się...

Kinoy z ociąganiem, ale dość szybko wstał i wsunął się w szeregi foteli dla publiczności. Wrócił po trzech minutach, i w chwili gdy młodzietki, smarkaty woźny łamiącym się głosem wykrzyknął: „Proszę wstać, Sąd idzie!”, wyszeptał:

- Nic o tym nie wie, kto to jest?

Milt nie odpowiedział. Zmrużył powieki i myślał intensywnie, patrząc ponad głową sędziego. Dopiero gdy sędzia odchrząknął i wymamrotał: „Proszę wprowadzić ławę przysięgłych”, oprzytomniał i uważnie szukając jakiejś informacji w twarzach wchodzących, przyjrzał się ławie. Siedem czy osiem osób wyraźnie wrogo zerknęło w jego kierunku, kilkoro z nich miało dość jasno wypisany na twarzach triumf. Lekki szmer przeleciał po sali. Sędzia stuknął młotkiem.

- Proszę oskarżyciela, żeby jednym zdaniem przypomniiał sedno swojego toku dowodzenia! - powiedział niewyraźnie.

- Winny morderstwa z premedytacją, o czym dobitnie świadczy chociażby włamanie do sieci komputerowej w celu pościgu za ofiarą oraz posiadanie najgroźniejszej broni ręcznej współczesnego świata!

Oskarżyciel usiadł swobodnie, z wdziękiem oparł się łokciem o barierkę i posłał lekki uśmiech w kierunku łoży prasowej. Dziennikarze stukali zawzięcie w klawisze stenopisów.

- Proszę obronę, żeby jednym zdaniem przypomniiała sedno swojego dowodzenia!

- Zabójstwo w obronie własnej, o czym świadczy potężny rewolwer, który poszkodowany trzymał w chwili śmierci w dłoni!

Kinoy usiadł równie swobodnie, ale powstrzymał się od siania uśmiechów. Milt wolno oparł się plecami o barierkę i - tak by nikt tego nie zobaczył - wytarł spoconą dłoń o nogawkę więziennego kombinezonu. Chciał zerknąć na Day, gdy nagle poczuł coś jak powiew aromatycznego wiatru. Dziwne mrowienie przebiegło od czubka głowy do koniuszków palców. Policzki zapiekły, nasiąkając purpurą, a na czole dziwny stan zaowocował perlistym potem. Milt popatrzył w dół, na swoje dłonie, świadomy, że głowa porusza się, jak gdyby była umocowana na wytartych, zacinających się przegubach. Palce dłoni, mimo że leżały na kolanach, drgały - lekko unosiły się i opadały, delikatnie pukając w nogi. I nagle wszystko minęło, głowa gładko uniosła się, palce wyprostowały i zacisnęły się w pięści na próbę; opadły zjeżone na karku włosy.

- Panowie przysięgli! — powiedział sędzia, najwyraźniej nie zauważając, nie

wyczuwając żadnych powiewów. - Ogłoście po kolei swój werdykt!

Przysięgli zaczęli podnosić się od lewej strony. Pierwszy poderwał się niski grubas, obrzucając przy tym Milta pełnym niechęci spojrzeniem. Pełen świadomości swej pozycji otworzył usta i nagle jakby się skurczył, zająknął i powiedział:

- Niewinny?...

Opadł na krzesło z ustami, które zapomniał zamknąć i z dołu zerknął z dziwnym wyrazem twarzy na wstającego z godnością sąsiada. Zgrabny, szczupły, krzepki sześćdziesięciolatek o aparycji kolonialnego oficera odchrząknął i powiedział:

- Niewinny.

Stał jeszcze, gdy podniósł się i wymamrotał coś jego sąsiad. Sędzia niecierpliwie machnął ręką.

- Proszę siadać. A pana proszę o powtórzenie. - Wskazał palcem przysięgłego.

- Niewinny...

Przysięgły tak szybko usiadł z powrotem, że sprawiało to wrażenie, jakby ktoś podciął mu nogi. Milt otworzył szeroko oczy i popatrzył na swojego obrońcę. Nieumiejętnie maskowane zaskoczenie dobitnie ukazywało stan jego ducha.

- Niewinny! - pisnęła któraś z przysięgłych.

Oskarżyciel siedział z twarzą zalaną czerwienią, sygnalizującą bliską apopleksję. Jego pomocnik szarpnął kołnierzyk koszuli. Jaskrawożółty guzik prysnął i potoczył się po podłodze w stronę sędziego.

- Niewinny!

- Niewinny!

- Niewinny...

Milt odwrócił się w stronę publiczności. Day włożyła do ust knykcie wskazujących palców i gryzła je, nie czując bólu. Generał Morr i Simi Kusley wychylili się do przodu, niemal dotykając brodami głów siedzących przed nimi dziennikarzy.

- Nie... winny...

- Ee... Niewin-ny... Tak...

- Bez komentarzy! - warknął sędzia. - Dalej proszę!

- Niewinny.

- Niewinny! - Niewinny...

Skrzypnęło krzesło pod naciskiem ostatniego siadającego przysięgłego. Cała dwunastka wyglądała na oszołomioną, ale jednocześnie zadowoloną, jakby zrzucili jakieś brzemie. Kinoy otrząsnął się pierwszy. Posłał lekki uśmiech dziennikarzom, choć nie miał szans, by to zauważyli. Wstał i klepnął Milta w ramię.

Sędzia stuknął młotkiem w podstawkę.

- Wobec jednomyślności ławy przysięgłych wyrok nie podlega apelacji żadnej z biorących udział stron. Milt Brownell! Jest pan uniewinniony i wolny.

Woźny nie zdążył wykrzesać z siebie głosu, gdy stary poderwał się i niespodziewanie raźnie zniknął za drzwiami. Brownell przeskoczył przez barierkę, uściśnął dłonie Kinoya i jego pomocnika, ale tylko dlatego, że zastąpili mu drogę. Szybko przedarł się przez grupkę dziennikarzy do Morra.

- Chodźcie za mną. Wszyscy i natychmiast! - warknął.

Pierwszy wyskoczył z budynku sądu i niemal oślepiiony błyskami fleszy dotarł do parkingu. Poczekał tu na resztę espów, wsiedli do czterech samochodów i odjechali, zostawiając na parkingu rozhisteryzowanych pismaków. Pokazał tylko Simiemu kierunek na najbliższą polanę parkową i pierwszy wyskoczył z wozu, gdy zajęchali na jej środek.

- No to teraz mówcie! - krzyknął. - Po cholere się wtrąacie? Mogła być wsypa jak wszyscy diabli. Zabroniłem robić cokolwiek, co mogło doprowadzić do dekonspiracji. Tak czy nie?!

- Ale o czym ty mówisz? - zapytała Day.  
- Jak to o czym? Co wy mi tu uszy szpachlujecie? Skąd wziął się ten wyrok?  
- Uspokój się. To nie my... - Morr wysunął się na czoło zdezorientowanej grupy espów. - Ja byłem przekonany...  
- Przekonany że co?  
- Że to ty sam... - wtrącił spokojnie Simi.  
- Nie róbcie ze mnie idioty! - złowieszczym tonem powiedział Brownell. - Może jeszcze ja sam przysłałem sobie do celi książkę o wspólnocie telepatów?  
- Poczekaj. Powiedz od początku! - Uniósł rękę Morr. - Nic nie rozumiem.  
- Dostałem powieść o unii telepatów. O tym, jak to fajnie jest razem, wspólnie, grupowo i tak dalej. I zaraz potem ktoś zmusił ławę przysięgłych do wydania przeraźliwie tendencyjnego wyroku. Przecież tu nie ma o czym dyskutować!  
- W tym kontekście nie. Rzeczywiście. Ale... - Morr odwrócił się i przez jedno, a potem drugie ramię obejrzał wszystkich espów. - Ja się nie liczę. Czy ktoś robił coś takiego, o czym mówi Milt?  
Cztery głowy wykonały zgodny przeczący ruch. Milt wściekle przyjrzał im się po kolei, ale im dłużej wpatrywał się w ich oczy, tym wyraźniej widział w nich szczere zdziwienie.  
- Może to ty sam? - zapytał Simi. - Nieświadomie! - dodał szybko, widząc reakcję Milta.  
- Wykluczone... Poczekajcie... - Brownell szybko sięgnął do kieszeni i zapalił papierosa. - Tuż przed ogłoszeniem wyroku poczułem coś... Chyba obcą emisję... A wy? - Znowu zgodny, przeczący ruch czterech głów. - I jeszcze coś... - Zaciągnął się mocno. - Gdy jechałem obok wozu Godricha... On uzyskał przewagę... Jeszcze sekunda i walnąłby mnie... I nagle zwiotczał. Byłem przekonany, że po prostu stracił siły. Potem ta książka. I powiew emisji w sądzie... - skończył zdanie niemal szeptem. Rozejrzał się po obecnych. - Ktoś mi pomógł. Jeśli nie wy... To kto?  
Cisza trwała niemal minutę. W końcu Simi Laza Kusley kopnął czubkiem buta kępkę stokrotek.  
- Jeśli było nam wszystko jedno, z kim walczymy, to teraz tym bardziej nie powinniśmy się przejmować, z kim jesteśmy w sojuszu. Chodźcie, postawię wam kolejkę.  
- Nie, to ja stawiam! - wrzasnął nagle Milt i chwycił w objęcia Day. - Zwłaszcza, że generał Morr jest mi winien wyrównanie do pensji pułkownika za półtora roku. Jedziemy! I niech drży piwo!